

## Spis treści

Wstęp.....	1
Kiedyś byłem mały. ....	2
Dom i jego mieszkańcy .....	11
Ogród.....	16
Mam brata.....	20
Koledzy .....	22
Psy i inne zwierzaki.....	30
Szkoła .....	37
Wakacje .....	47
Ogień .....	51
Sport .....	52
Religia.....	54
Święta .....	55
Militaryzacja .....	27
Zabawy i inne zajęcia .....	62
Zakupy .....	70
Kulinarria.....	72
Kontakt ze światem .....	78
Wielkie wakacje.....	79
To se ne vrati, czyli opowieści z dawnych czasów.....	90
Hormony atakują.....	99

## Wstęp

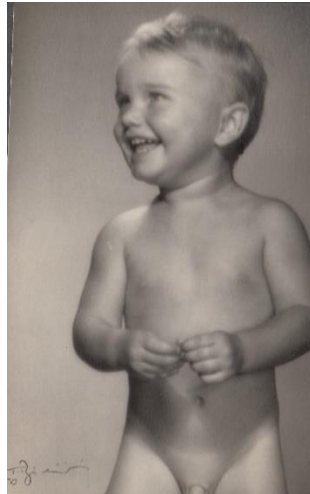
Spoglądając wstecz, można z łatwością zauważyć, że wspomnienia, te bliższe i te bardzo dalekie, składają się ze zdarzeń, które można próbować umieścić w czasie, jednak ogromną większość stanowią oderwane obrazy i subiektywne impresje. Niektóre z nich mają tendencję do idealizowania ich w miarę upływu lat, lecz dotyczy to przede wszystkim nostalgicznych wspominków czegoś, co już nie wróci, lub niespełnionych marzeń. A nawet i z tych można zamoczoną w acetonie ściereczką usunąć pozłotkę i wydobyć zawartość w postaci zbliżonej do ówczesnych warunków. Oczywiście będę posiłkował się również zapamiętanymi relacjami czy opowiadaniem. Nie zamierzam też opierać ich o zdarzenia historyczne czy polityczne, poza tym, co było wówczas dla mnie odczuwalne. Staram się również unikać używania nazwisk, gdzie nie jest to konieczne, aby nie wywoływać dość

często zdarzających się uwag lub wręcz oburzenia osób, które uważają że moje subiektywne przedstawienie zdarzeń sprzeczne jest z ich własnym o nich przekonaniem.

Łańcuszki zdarzeń są raczej krótkie i nie istnieje ścisła chronologia. Brak jest jakiegś osi czasu i zdarzenia podporządkowane są jedynie impresjom.

Można sobie to wyobrazić w formie odpowiadających tytułom rozdziałów pokoikach, gdzie na ścianach wiszą malowane słowami obrazki.

## *Kiedyś byłem mały*



*Ojciec podśmiewał się ze mnie, oglądając to zdjęcie, ale wtedy jeszcze nie bardzo wiedziałem dlaczego.*

Wydaje mi się, że moim pierwszym wspomnieniem był wieczór wigilijny, gdy mama, trzymając mnie na rękach, otworzyła drzwi do pokoju, w którym stała choinka. Była dla mnie wtedy lśniącem kolorowym zjawiskiem, które, jeśli bym potrafił, pewnie byłbym w stanie jeszcze dzisiaj namalować z pamięci.

Mieszkaliśmy wtedy w Milanówku na pierwszym piętrze domu, którego parter zajmowali właściciele. Lokal składał się z dużej kuchni z płytą węglową na cztery fajerki i pokoju. Nie było bieżącej wody i trzeba było ją przynosić ze studni z „dobrą wodą” z posesji po przeciwnej stronie ulicy. W ogrodzie wprawdzie też była studnia, ale płytka i woda nadawała się jedynie do mycia.

W kuchni stał stół z krzesłami i brązowy tapczan czy kanapa służąca mi za posłanie. Na wychodzących na schody drzwiach był wieszak na rozmaite robocze ciuchy, w tym zielony gumowany płaszcz przeciwdeszczowy. W pokoju była jesionowa szafa pamiętająca jeszcze przedwojenne czasy w majątku ojca i rozkładany stół z tego samego okresu.

Nie było wprawdzie bieżącej wody ani kanalizacji, ale był prąd. W pokoju było jedno gniazdko i pod ścianą biegł do nocnej lampki zespół przedłużaczy. Lampka bardzo mi się podobała. Składała się ze spiralnie zakręconego słupka przechodzącego w

zachowującą ten motyw podstawę. Wszystko z ciężkiego odlewu w zielonkawym kolorze starej patyny.

Nie było oczywiście mowy o dzisiejszych bezpiecznych połączeniach i nierzadko dwa bolce wtyczki rozłączały się z luźnym gniazdem. Oczywiście kiedyś próbowałem je znów połączyć, ale chwyciłem za te końcówki i zaczęło mnie boleśnie trzepać, a na dokładkę nie mogłem oderwać wścibskich paluchów. Zwabiona wrzaskiem mama przybiegła i jakoś mnie odczepiła, ale na obu palcach miałem szare bąble w miejscach, gdzie stykały się z końcówkami.

Z braku kanalizacji moim bardzo ważnym narzędziem był nocnik. Trzon kuchenny nie miał wokół, zwykłej w bardziej luksusowych wersjach, mosiężnej poręczy. W rezultacie gdy wstałem z nocnika, dotknąłem boleśnie gołym brzuchem krawędzi rozgrzanej płyty. Nie bardzo zgadza mi się geometria (wysokość pępka/wysokość kuchni), ale pewnie musiałem wejść na jakiś stołek.

Wtedy empirycznie przekonałem się, że od prądu i gorących przedmiotów należy zachowywać bezpieczny dystans.

Ogród okalała siatka z bramą i zamykaną na klucz furtką. Rosły tam drzewa owocowe i porzeczki. Poza wspomnianą już studnią była tam drwalka na węgiel i chlewik dla hodowanych przez gospodarzy świń. Za tym chlewikiem stał ocynkowany parnik, z którego czasem podjadałem gotowane kartofle, zanim gospodarz nasypał do nich otrąb. Były pyszne i pewnie dlatego uwielbiam je w każdej postaci (z wyjątkiem surowych) do dziś.

W jednym miejscu pod płotem leżała duża sterta słomy, pewnie na ściółkę dla zwierzątek, ale o tym później.

Gdy byłem jeszcze wyjątkowo mały, byłem podobno ciężko chory. Więcej ze mnie wychodziło niż wchodziło. Widziałem zachowaną ampułę wody fizjologicznej o pojemności 250 ml, którą podobno otrzymywałem w „szare jak popiół” plecy. Na szczęście tego nie pamiętam. Ojciec twierdził, że rozgryzł problem dedukcyjnie i empirycznie. Podobno winny był produkt pod tytułem Cukier Nutrosan, którym byłem karmiony. Po odstawieniu doszedłem do siebie i, jak na razie, dalej idę.

Z ciekawości sprawdziłem i marka jest po 70 latach nadal na rynku, ale mam nadzieję, że już nie zabija niemowląt. Potem też oczywiście zdarzało mi się zachorować, ale nigdy bardzo poważnie.

Wiąże się z tym wczesna migawka, gdy wolno było mi po jakimś przeziębieniu już być na dworze, ale siedziałem w spacerowym wózku i mama podwiozła mnie pod krzak porzeczki, żebym mógł je sobie sam zrywać.



*Tutaj wprowadźcie nie w czasie porzeczek, ale wózek służył potem mojemu bratu. Zapamiętałem napis na tabliczce KONKON. Okazuje się, że była to przedwojenna polska marka producenta wózków dzieciennych. Solidna robota!*

Pierwszy urlop miał miejsce w Knyszynie. Miałem wtedy niecały rok i nie pamiętam nawet kształtów mamki, co musi o czymś świadczyć. Wiem jedynie z opowiadań, że opiekunka wołała do mamy: „Proszę pani, Jacek wiszczy!”.



*Knyszyn*

Jako osoba żądna wiedzy już we wczesnym dzieciństwie byłem otwarty na działania eksperymentalne. Gdy ktoś pyta mnie, jak długo palę (często lekarze są tacy nachalni), odpowiadam zgodnie z prawdą, że od wieku 3 lat.

Otóż kiedyś mama wybrała się na targ, a ja obudziłem się wśród pościeli. Ojciec palił dużo i miał takie blaszane pudełko, w którym trzymał „wykruchy”, połówki i szklane cygarniczki. Spać mi się dalej nie chciało, bawić się nie było z kim, więc z nudów postanowiłem spróbować „być jak tata”. Już samo otwarcie tego pojemnika było wyzwaniem, ale w końcu się z tym uporałem. Wsadziłem jedną połówkę do cygarniczki, wziąłem z kuchni zapałki i dalej zapalać. Namarnowałem sporo zapalek, bo nie wiedziałem, że trzeba „ciągnąć”, jednak i to udało mi się w końcu odkryć. Było super! Puszcząłem dymy, a że połówek było sporo, szło mi nieźle. Zabawa skończyła się zniecka, gdy wpadła gospodyni z dołu, myśląc, że się pali. Nawet specjalnie nie oberwałem od mamy po jej powrocie, bo wystarczyło, że spojrzała na moją zieloną buzię i zażawione oczy, więc zamiast mnie złościć, przytuliła mnie i umówiliśmy się, że ojcu nic nie powiemy.

Podobnie zresztą było z alkoholem. Kiedyś w czasie jakiejś uroczystości (chyba imieniny) było trochę gości i atmosfera była coraz bardziej zabawna. Mama wyszła do kuchni, żeby przynieść jakieś danie, a goście zaczęli się podśmiewać, że wypiją jej stojący na stole pełny kieliszek. Niewiele się zastanawiając, uniemożliwiłem te zakusy i jednym ruchem wypilem go sam. Pamiętam, że było to piękne naczynko na

wysokiej nóżce z żółciutką zawartością – cytrynówka. Myślę, że musiało mi smakować, bo do dzisiaj za kołnierz nie wylewam.

W tym czasie nastąpił również mój pierwszy kontakt z językiem angielskim. Nie znałem wprawdzie liter, ale utrwalił mi się obraz żółtej puszkę z napisem *Powdered Whole Milk* z UNRA.

Moja ciotka tak nazwała swoją sukę (nie Milk, tylko Unra) i mimo panoszącej się dyktatury proletariatu beztrosko, a czasem nawet natrętnie, wykrzykiwała na ulicy tę, nielubianą przez dyktującą część proletariatu, nazwę.

Do nauki języka angielskiego podchodziłem w późniejszym życiu niezliczoną ilość razy, jednak poza pasywną orientacją nie udało mi się osiągnąć dostatecznego poziomu, aby móc się nim swobodnie posługiwać.

Ojciec w niedzielę siadywał przy stole w pokoju i coś pisał albo czytał. Kiedyś wleciał przez okno jakiś ogromny chrząszcz i ojciec pokazał mi koniec ołówka, który ta bestia solidnie nadgryzła.

Istniało jedno tabu, którym były narzędzia. Nie wolno było ich ruszać, a tym bardziej wnosić z domu. W pamięć wryły mi się *klapczązki*, czyli stare, jeszcze przedwojenne kombinerki. Kiedyś znalazłem je zapomniane gdzieś i zabrałem, łamiąc zakazy, do ogrodu. Zabawa w końcu mi się znudziła i wróciłem do domu, tyle że bez *klapczązek*. Sprawa szybko wyszła na jaw i dostałem polecenie je natychmiast odnieść. Problem w tym, że nie miałem pojęcia, gdzie je posiałem. Wyobrażając sobie straszliwe tortury, które mnie czekają, gdy wrócę z pustymi rękami, łąziłem szlochający i usmarkany tam i z powrotem, ale do domu wrócić się bałem. W końcu ojciec zszedł, żeby mi pomóc, i znalazł je w piasku przed drwalką. Musiałem się zobowiązać, że narzędzi nigdy, przenigdy dotykać nie będę. Na wszelki wypadek leżały odtąd na szafie, gdzie nie miałem szans się do nich dostać.

Podczas którychś kolejnych imienin podchmielony biesiadnik posadził mnie na tej szafie. Poczułem się jak w jakimś sanktuarium, ręce trzymałem na kolanach, żeby przypadkiem nie dotknąć któregoś ze zgromadzonych tam skarbów.

W Milanówku mieszkały dwie siostry ojca. Ciotka Maria z mężem i dwojgiem potomstwa zajmowała willę, wyposażoną dostаточно w gosposię i opiekunkę dla syna. Bywaliśmy tam w święta i było bardzo elegancko. Oczywiście zabawy też. Kiedyś bawiliśmy się w pociąg z ustawionych w rzędek, jedno za drugim, krzesel i byłem bardzo dumny jako maszynista. Naśladowałem odgłosy lokomotywy, szurając dwiema szczotkami po przewieszonym przez oparcie dywaniku, a pasażerowie wiercili się w „wagonach”.

Wuj Edward utrwalił mi się w postaci zdystansowanej osoby z zawsze takim samym protekcyjnym uśmiechem. Ojciec zwykle nie używał w rozmowie jego imienia, tylko nazwiska. Ciotka Maria była bardzo serdeczna, ale wyczuwało się zdecydowanie i surowo zarysowane granice dopuszczalnego zachowania dziecinnych gości. Mimo to wspominam te wizyty z przyjemnością.

Kiedyś dostałem tam na gwiazdkę blaszany niebieski samolocik, który niestety długo nie przetrwał prób latania, gdyż był skonstruowany do nakręcania i jeżdżenia. Byłem

zrozpaczony i widząc to, mama za pomocą zaczarowanego młotka z szafy przybiła do starego trzonka od okrągłego pędzla poprzeczną deseczkę jako skrzydła. Okrągłe miejsce po szczecinie imitowało śmigło, a obły kształt trzonka kadłub. Próbowałem parę razy, czy lata, ale nie bardzo to wychodziło, tyle że przynajmniej się nie rozleciał.



*U ciotki Marii był nawet telefon, co na owe czasy było niesłychaną rzadkością.*

Ojciec pracował w tym czasie w PLL Lot



*Ojciec z mamą w Warszawie – lotniczy „schnitt”*

i dzięki temu jedne z wakacji spędziliśmy w nieczynnym już ośrodku szybowcowym w Tęgoborzu. Niezapomniany jest zapach nagrzanego letnim słońcem smołowanego drewna, z którego zbudowane były baraki mieszkalne.

Po szkole szybowcowej pozostała stolarnia i fachowcy. Jeden z nich zrobił dla mnie dwa latające modele szybowców. Brązowy latał wspaniale, a drugi żółty dość niemrawo. Po kilku próbach zostawiliśmy żółtka na stoku i puszczaliśmy tylko ten brązowy.

Ojciec uciął sobie kawałek gumowego kabla służącego do rozpędzania startujących szybowców, który aż do śmierci służył mi za narzędzie ochrony osobistej.

Na wycieczki chodziliśmy do lasu i nad rzekę Łososinę.

Kiedyś leśniczy prowadził rodziców na grzyby. Po pewnym czasie moje nogi odmówiły posłuszeństwa i powstał dylemat. Szukanie grzybów z dzieckiem na rękach jest dość niepraktyczne, więc postanowiono bachora porzucić. Posłanie z

igliwia przykryto kocykiem i żebym się nie bał dzika, leśniczy położył obok swoją dubeltówkę. Zostawili dziecko na pastwę lasu! Zostałem spokojnie, bo przecież „miałem” dubeltówkę, i bawiłem się, robiąc z igliwia gniazdko, po czym zasnąłem. Wracająca drużyna grzybiarzy obudziła mnie i w gniazdku znalazłem parę laskowych orzechów. Leśniczy z podejrzanym uśmiechem powiedział, że pewnie gdy spałem, wiewiórka włożyła mi w prezencie do gniazdko te orzeszki.

Rzeka Łososina, zasobna w ryby, płynie piękną kamienistą doliną. Kiedyś w upalny, słoneczny dzień obserwowałem miejscowych łowących na „podrywkę”. Zanurzaliby siatkę na elastycznym drzewcu w wodzie i po chwili gwałtownie wyciągali ją, wyrzucając ryby na kamienisty brzeg. Oglądałem z ciekawością srebrzyste, trzepoczące się wśród kamieni ryby, które były potem zbierane do koszy.

Łososina zasila pośrednio jezioro Rożnowskie. Korzystając z sąsiedztwa, ojciec wziął mnie nad ten piękny górski zbiornik wodny. Wypożyczył kajak składak i przystąpił do zabezpieczania dziecka. Miałem jakąś dętkę przywiązaną do pleców i fajną czerwoną z niklowanym wentylem z przodu. Na głowie nie miałem na szczęście żadnej dętki, ale pewnie tylko dlatego, że nie było odpowiednio małej. Nie miałem więc ani ja, ani on powodu do obaw i spokojnie ruszyliśmy na prawie trzydziestometrową głębię.

To były wspaniałe, słoneczne wakacje. Na dokładkę jeden z miejscowych równolatków wprowadził mnie na strychu w arkana masturbacji. Mogę to również traktować, podobnie jak wczesny kontakt z innymi używkami, za częściową inicjację seksualną.

Jedne z wakacji spędzaliśmy nad morzem w Uście i siostra mamy, ciotka Alina opowiadała, że po przyjeździe pędziłem w stronę plaży z podniesionymi rękami, krzycząc: „Morze! Morze!”. Sam pamiętam jedynie, że wszedłem na betonową płytę, z której sterczał gąszcz stalowych zagiętych prętów, i nie bardzo wiedziałem, jak się wydostać. Musiała to być jakaś pozostałość z tak przecież niedawnej wojny.



*Morska przygoda na stateczku spacerowym Panna Wodna*

Babcia z trójką dzieci po wywalczonym powrocie z Kazachstanu zatrzymała się na rekonwalescencję w gospodarstwie brata dziadka. Mały Krzysiek, gdy dostał tam po

przyjeździe kromkę chleba z kotлетem, ugryzł dwa razy, a resztę schował w sienniku na później. Może zapamiętał któreś kazachstańskie Boże Narodzenie, gdy babcia z narażeniem na surową karę zdobyła gdzieś dwa jajka, żeby zrobić coś bardziej uroczystego od codziennej kaszy. Wyszła, żeby spróbować „skombinować” jakiś tłuszcz. Po powrocie z przerażeniem stwierdziła, że mały właśnie kończy jeść drugie jajko.

Byłem tam też z wizytą, ciesząc się możliwością poznawania gospodarowania na wsi. Kiedyś postanowiłem czynnie włączyć się w zajęcia gospodarskie i zebrałem w kurniku kilka jajek. Rączki miałem malutkie, więc włożyłem je po prostu do kieszeni kurtki. Jak można się domyślić, wywaliłem się i mama z wątpliwym entuzjazmem musiała doprowadzić ubranie do stanu używalności.

Z wujem poszedłem kiedyś do gręplarni i zobaczyłem, co dzieje się z owczą wełną po ostrzyżeniu, a ciotka przędła z tego wełnę na kołowrotku.

Starsi chłopcy pokazali mi, jak można w rzeczce młynówce łapać rybki „na oczko”. Na końcu wędziska była pętelka i jeśli udało się ją zręcznie i ostrożnie podprowadzić do ryby, mogła paść łupem cierpliwego łowcy.

Brat mamy, Krzysztof, przyjeżdżał czasem do Milanówka. Bardzo się z tego cieszyłem, bo nie miałem żadnego towarzystwa, a wuj był tylko 10 lat starszy ode mnie i rozumieliśmy się doskonale. Bitwy na poduszki dostarczały nam obydwu masę radości i Krzysztof zaśmiewał się do łez, gdy po udanym ciosie zataczałem się jak pijany, aby w końcu paść na kanapę.

Bardzo lubię jajecznicę, ale kiedyś (musałem być jakiś chory) smakowała mi tak, jakby dodał do niej mąki.

Później opowiadał mi, jak wracając do domu, widział mnie w niebieskim, wydzierganym przez mamę na drutach ubranku, gdy rozpięty na zamkniętej na klucz furtce patrzyłem, jak się oddala.

Związana z ubrankiem była też opowieść siostry mamy, Aliny, o niezwykle skutecznych metodach wychowawczych mojej rodzicielki.

Staliśmy podobno na peronie EKD (belgijskiej Elektrycznej Kolejki Dojazdowej), gotowi do wyjazdu do Warszawy. Z jakiegoś powodu sprzeciwiałem się okolicznościom czy też ich brakiem i jako wyraz tego sprzeciwu rzuciłem się z wrzaskiem na beton peronu (w nowym ubranku!!). Mama bez słowa wzięła mnie wrzeszczącego pod pachę i zaniósła za budynek dworcowego szaletu. Po dwóch odgłosach jakby uderzeń w coś miękkiego ryk raptownie ustał i wróciłem za rączkę ze śladami łez na licu. Wprawdzie sam tego nie pamiętam, jednak nadal uważam to, wbrew apologetom bezstresowego wychowania, za doskonały sposób zaakcentowania dopuszczalnych granic zachowania.

Mogę z ręką na sercu potwierdzić, że nie miało to negatywnego wpływu na całe moje życie. Całkowicie zgodne, choć raczej bardzo surowe, wychowanie przez obydwój rodziców, poza może pewnym rodzajem „nienormalnej” początkowej nieśmiałości, wykształciło wytrzymały (psychicznie) kręgosłup i niezwykle odporną skalę wartości, szacunek dla rzeczywistych autorytetów i dojrzałą pewność siebie.



*Kręgosłup fizyczny zaczął mi ostatnio dawać do wiwatu i gdyby nie piękna i słodka rehabilitantka, mogłoby to być zupełnie nie do wytrzymania.*

W drwalce na podwórku było miejsce na węgiel do gotowania i ogrzewania w zimie. Oczywiście trzeba było zapas co jakiś czas uzupełniać. Służył do tego wóz z koniem i skład opału. Nadchodziła pora jesiennej wyprawy po węgiel. Ojciec przygotował mnie do tej operacji i uplótł ze sznurka do snopowiązałki, którego kłęb nostalgicznie zachowany był w mieszkaniu, zgrabny bacik. Poszliśmy z mamą do umówionego pobliskiego wozaka i ruszyliśmy do składu węgla. Siedziałem dumnie na koźle między mamą i wozakiem i machałem moim bacikiem, chociaż nie sięgał nawet do ogona ciągnącego wóz konia. Węgiel wysypany został przed drwalką, aby umożliwić ojcu wniesienie go do środka, a zaprzęg oddalił się „w kierunku zachodzącego słońca”.

Widocznie ta podróż jakoś mi się szczególnie utrwaliła, bo jeszcze zanim węgiel zniknął w drwalce, po prostu „wyparowałem” z ogrodzonej i zamkniętej na klucz posesji. Zdesperowani rodzice odszukali mnie w końcu w zagrodzie tego wozaka wraz z moim bacikiem. Przypuszczam, że po prostu polubiłem tego konia, a w pokonaniu płotu pomogła mi ta sterta słomy.

Dzisiaj sam siebie podziwiam za ten wyczyn, wskazujący na skłonności poznawcze i zadziwiającą orientację w terenie. Nie jestem do końca przekonany, czy bardziej chodziło o odzyskanie pozycji na koźle, czy jednak przewrotną chęć wyrwania się z zamknięcia.

Za ogrodzenie wydostałem się dużo później, i to całkiem oficjalnie. Dostałem piękny trójkołowy rowerek i oczywiście chciałem go koniecznie wypróbować w terenie. Mama zgodziła się, z niejakimi oporami, wysłać mnie po coś do spółdzielni (tak nazywany był z reguły sklep spożywczy).

Wyposażony w jakąś monetę ruszyłem dumnie przez piaszczystą ulicę, jednak powrót był znacznie mniej dumny. Koło spółdzielni kręciły się miejscowe chłopaki i zwęszyły od razu ofiarę. Zabrali mi pieniądze i pogonili do domu. Wtedy jeszcze się jakoś trzymałem, ale kiedy jeden z nich zaczął grzmocić mnie po plecach podłużną blachą do pieczenia ciasta, zacząłem szlochający sprint. To prawie wcale nie bolało, ale ten łomot był przerażający. Do domu dotarłem z rykiem i na tym skończyły się moje próby poznania świata za furtką.



*Dumny cyklista – mniej dumny byłem w lecie po powrocie ze sklepu.*

Wcześniej miałem więcej animuszu, zwłaszcza że ojciec zawsze mi tłumaczył, że jak zjem jeszcze trochę tego ohydneho szpinaku, to będę miał tyle siły, że jednym

palcem popchnę jakiegoś chłopaka, a on się natychmiast przewróci. Powstała z tego historyjka o tym, jak podobno po zjedzeniu tego paskudztwa przebiegłem na górę, wołając: „Mamo, daj mi klucz do furtki, bo na ulicy jest chłopak do pchnięcia!”.

Innym obrzydlistwem był tran. Kiedyś mama dodała do butelki mleka, które bardzo lubiłem, łyżkę tranu. Zdezorientowany wypilem, ale znacznie szybciej wydostało się to ze mnie z powrotem.

Ojciec czasem śpiewał mi piosenki ze swojego dzieciństwa, rzeczywiście ludowe, a nie te radiowe Feliksa Dzierżanowskiego, których później nienawidziłem. Piosenka o czarce była smutna, zawsze chciało mi się wtedy płakać:

*Czajka biegła, czajka fruwała,  
Nie ma gniazdeczka, które zbudowała.*

Inna o młynie i kamieniach była ciekawa i tajemnicza, bo w tym młynie działy się dziwne rzeczy. Równie tajemnicza była dendrologiczno-ezoteryczna:

*Nie wyżenę gęsi z rana,  
Bo się boję Cupijana.  
A Cupijan siedzi w lipie  
I wytrzesca na mnie ślipie.*

Zdarzały się również odwiedziny u znajomych ojca. W willi państwa Burnosów miałem nawet okazję dosiąść wspaniałego bernardyna.

Z przekazów wiem, że podobno byłem dość dziwny, bo podczas wizyty zajmowałem się do tego stopnia samym sobą, że podobno „jakby mnie nie było”.

Utrwaliła mi się wizyta u państwa Moes z okazji imienin czy urodzin pani Moes. Obecni byli wszyscy synowie, a było ich jedenastu dorosłych i jeden trochę mniejszy. Wśród 22 skupionych w salonie nogawek spodni czułem się po prostu zagubiony jak w gęstym lesie. Nie wiem, czy bardziej pani, czy pan Moes byli zdeterminowani do doczekania się córki.

Odwiedzaliśmy też wiekowego profesora Pajewskiego, który siedział zanurzony w wielkim fotelu. Ojciec mówił mi potem, że miał do czynienia z ochroną przed korozją. Niestety nie udało mi się uwiarygodnić go w Internecie. Być może ojciec go po prostu tak tylko tytułował.

Pewnego wieczoru mama poszła po wodę naprzeciwko, a ja z ojcem byłem w ogrodzie. Nagle gospodyni krzyknęła: „Pali się!”. Rzeczywiście, w naszym kuchennym oknie widać było blask ognia. Ojciec popędził na górę i wrócił, cuchnąc spalenizną. Okazało się, że garnek, w którym mama topiła masło, po nieoczekiwanym ożywieniu się ognia pod płytą wykipsiał. Masło zapaliło się, ale na szczęście ojcu udało się zdusić ogień tym gumowanym płaszczem, który wisiał na drzwiach kuchni. Patrzyłem w górę i na tle ciemniejącego nieba gałęzie rosnącego obok domu orzecha wyglądały jak czarne cienie pogorzelska. Pomyślałem, że wszystko się spaliło, i od tego czasu szczerze boję się pożaru. Mieszkanie śmierdziało dobry miesiąc spalonym masłem, ale rodzice mówili, że całe szczęście, że nie zajęły się wiszące na drzwiach wejściowych ciuchy, bo byłoby wtedy strasznie.

Druga siostra ojca mieszkała znacznie skromniej ze wspomnianą uprzednio suką Unrą. Lubiłem tam chodzić, bo dwie „duże” córki chętnie się mną zajmowały i miałem okazję pobawić się z psem.



Zabawa z UNRA-ą

Wuja ojciec nazywał Jędrus albo *Szabrański*, co wcale nie było jego nazwiskiem. Później zaczęło mi coś świtać, ale nie będę kontynuował. Wuj malował i bardzo podobał mi się ozdobiony przez niego duży żółty abażur do lampy.

Tu kończy się milanowska historia, chociaż jej druga, późniejsza część miała dla mnie w życiu ogromne znaczenie. Pierwszy okres trwał do wieku moich około 5 lat.

Na czas przeprowadzki byłem właśnie u ciotki Teresy. W tym czasie była tam również mama wuja, która miała za sobą obóz w Ravensbrück. Kiedyś przypadkiem widziałem, jak myła się w miednicy, i byłem przerażony jej zwisającymi, cienkimi jak paski skóry piersiami.

Którego dnia spróbowałem na śniadanie dżemu z jarzębiny i wiem z pewnością, że już więcej go nie spróbuję. Smakował mi jak przyprawiony towotem.

Pobyt u ciotki Teresy pozwolił mi ominąć turbulencje przeprowadzki, a rodziców uwolnił od pętającego się pod nogami bachora.

Powodem przeprowadzki było zaproszenie ciotki mamy.

Zagrożona kwaterunkiem ciotka zdecydowała się na ściągnięcie „swoich”, żeby zabezpieczyć się przed przymusowym dokwaterowaniem „jakichś chamów”. Ciotka była jakby moją cioteczną babką, gdyż jej mąż (potocznie Lol) był bratem mojego dziadka Józefa, który zginął w Katyniu.

## *Dom i jego mieszkańcy*

Nowe otoczenie było bajkowe. Piękna łazienka z ciepłą bieżącą wodą i porcelanowa muszla ustępowa Columbus, która uwolniła mnie od nocnika. Do umywalki musiałem się przyzwyczaić, bo woda zawsze ściekała mi po rękach do rękawów. Od tego czasu mam na tym tle małą „traumkę”.

Był tam również bidet, który mnie od początku fascynował, ale jego przeznaczenie uświadomiłem sobie znacznie później. Na razie myłem w nim bardzo wygodnie nogi, no i ręce (przez te rękawy).

Duży pokój z białym kaflowym piecem i zaślepionymi płytą pilśniową drzwiami łączył się korytarzem z drugimi ślepyimi drzwiami z bardzo dużą, wyposażoną w szafki kuchnią.

Nad dolnymi szafkami był długi drewniany blat określany przez nas jako *bufet*. Była również spiżarka z okrągłym okienkiem na zewnątrz. Elegancka kuchnia węglowa na cztery fajerki miała jeszcze dodatkowo wysoki trzon grzewczy z białych kafli, jak piec pokojowy. Miała również mosiężną poręcz wokół, więc mój oparzony w Milanówku brzuch był tutaj bezpieczny.

Do kuchni przylegała malutka służbówka z oknem do ogrodu. Nie miała wprawdzie zamykanych drzwi, ale była dla mnie czymś wspaniałym. Miałem swój ką, który służył mi przez następne 13 lat.

W domu na piętrze mieszkała ciotka Janka z mężem Aleksandrem. Rozkład był taki jak na dole. Ciotka nazywała męża Lol, a wśród nas chodziło żartobliwe określenie „straszny dziadunio”. Dla mnie nie był on wcale straszny i bardzo go lubiłem, więc będę go nazywał po prostu dziadkiem.

Bywałem tam często, jednak nie zapuszczałem się poza kuchnię, gdzie właściwie koncentrowało się całe życie pierwszego piętra. Przyglądałem się szklanej kawiarence, w której dnie odbijały się pomarańczowe spiralki elektrycznej kuchenki. Do dzisiaj podziwiam dziadka, który nożem i widelcem sprawnie obierał małego pieczonego bekasa bez dotknięcia ptaszka palcami.

Dzisiaj nawet kurczaki nie unikają obmacywania.

Ciotka miała leciutki litewski akcent i wtrącała czasem dziwne słowa. Czasami graliśmy w *birulki*. Wysypywała na stół stosik różnych miniaturowych przedmiotów, filiżaneczek, dzbanuszków, czajniczków, sztuców i narzędzi ogrodniczych. Trzeba było je usuwać bez poruszenia innych. Potem ten trening przydał mi się do ulubionej gry w bierki.



*Bierki*

Kiedyś ciotka zaprowadziła mnie do pokoju, żeby pokazać mi swoją wielką palmę. Powiedziała, że gdy wyrasta nowy liść i wydostaje się ze swojego szpiczastego pancerza, rozlega się huk jak strzał z pistoletu. Byłem strasznie ciekaw tego trzasku, ale gdy tam byliśmy, akurat nic nie trzaskało.

Na ścianie tego pokoju zauważyłem taki sam przycisk jakby od dzwonka, jak w naszym pokoju na dole. Byłem szalenie ciekaw, gdzie się nim dzwoni. Okazało się, że po wojnie grasowały w okolicy bandy rabujące zasobne wille i właściciele starali

się zabezpieczyć przed rabusiami. W całym pasie przy naszej ulicy wszystkie domy miały syreny. Napadnięty włączał alarm i po chwili wyła cała ulica. Z reguły wystarczyło to, żeby spłoszyć bandziorów. Teraz syreny są odłączone, bo jak mówią słowa starej piosenki:

*Młodzież po barach, fruktowił spija  
Bo nad nami czuwa santa milicyja.*

Dziadek był myśliwym i wędkarzem „z wyższej półki”. Łowił tylko na spinning i na strychu widziałem kiedyś łososa, który wtedy wydawał mi się ogromny. Tamże pojawiały się ustrzelone dziki, jelenie i ptactwo.

Ojciec wyprawił kiedyś skórę z upolowanego dzika, która przez kilkanaście lat leżała przed tapczanem w naszym dużym pokoju. Wyszła dość sztywna, ale za to „niezniszczalna”.

Dziadek był chemikiem i kiedyś przyniósł niepozorny twardy i wytrzymały jak stal krążek – był to pierwszy plastikowy przedmiot, jaki widziałem w życiu.

Wśród tych licznych zainteresowań chyba jednak pierwsze miejsce zajmował samochód. Był to VW kabriolet, czyli niemiecki Kübelwagen. Amfibia w zielonym wojskowym kolorze fascynowała mnie bezgranicznie.



*Amfibia*

Dziadek stale coś w niej smarował, wymieniał, poprawiał i reperował, a ja asystowałem mu, a czasem nawet wolno było mi podać mu czy potrzymać jakieś narzędzie. Bardzo lubiłem zapach benzyny, smaru i w ogóle samochodu.

Z zapalem pompowałem też mosiężną „lutlampę”, której dziadek używał do różnych tajemniczych czynności.

Zmiana kierunku była sygnalizowana śmiesznym dzisiaj przyrządem.



*Kierunkowskaz ramieniowy*

Dostałem kiedyś takie zepsute urządzenie i znalazłem w środku cewkę i żelazny rdzeń, który poruszał żółte ramię kierunkowskazu.

Kiedyś dziadek nawet zabrał nas na przejażdżkę po miejscowym lesie. Gałęzie trzaskały w podniesioną budę, a ja byłem w siódmym niebie. Byłem oczywiście szalenie ciekawy, czy toto pływa, ale śruba ze złączem była zdemontowana, więc mogłem sobie to jedynie wyobrazić.

Był to wymarzony pojazd na polowania i wiąże się z nim pewna „myśliwska łacina”, o której napiszę w dalszej części.

Amfibię zmieniła potem Warszawa garbus, podobnie skrupulatnie pielęgnowana. Dotrwała sędziwego wieku lat 20, jednak pod koniec karoseria składała się w 90% ze szpachlówki pokrywającej łąty z jakiejś tkaniny.



*Tak wyglądała ta kareta, a zapach wnętrza i benzyny jest niezapomniany.*

Dziadek był czasem w nastroju filuternym i opowiadał zagadkę:

*Siedzisz spokojnie na leżaku i nagle słyszysz „chrum, chrum” – co to może być?  
??*

*To rdza żre płot.*

Tymczasem okazuje się, że płot został, a rdza zżarła jak na złość samochód.

Ciotka też polowała, ale głównie zajmowała się hodowlą wyżłów.

Z lewej strony domu werandę i przynależny do niej pokój zajmowała mama mamy, czyli babcia z bratem mamy Krzysztofem. Weranda była dużym przeszklonym pomieszczeniem, które nie było ogrzewane i w zasadzie służyło praktycznie jako miejsce do składowania rozmaitych rzeczy.

Do pokoju wchodziło się przez duży przedpokój, który przedzielony był przepierzeniem z płyty pilśniowej. Tam znajdowała się prowizoryczna kuchenka. Duży pokój ogrzewany był piecem kaflowym, do którego przyczepiony był tak zwany *termon*, opalany węglem jednofajerkowy przyrząd, na którym można było ugotować herbatę albo zagrzać zupę. Babci służyło to często do rozgrzewania duszy do żelazka. Rozgrzaną do czerwoności wyjmowała pogrzebaczem i ostrożnie wkładała

do tego archaicznego przyboru. W tym jednym pomieszczeniu była jedyna w całym domu kolorowa tapeta w kwiaty, która wydawała mi się czymś bardzo egzotycznym.

Nie było tam bieżącej wody i niestety trzeba było korzystać z ubikacji zewnętrznej. Dzisiaj nam, rozpieszczonym mieszczuchom, trudno jest sobie nawet to wyobrazić, zwłaszcza przy ówczesnych prawdziwych mrozach do 25° poniżej zera.

Po drugiej stronie przepierzenia mieszkała Wanda na podobnych warunkach jak babcia. Właśnie tych dwoje zaślepionych drzwi w naszym mieszkaniu prowadziło do jej pokoju i tego przedzielonego korytarza. Kiedyś było to jedno mieszkanie, jednak w warunkach kwaterunku zostało podzielone na mniejsze lokale. Warunki nie były oczywiście komfortowe, ale babcia i Krzysztof, po doświadczeniach kazachstańskich, byli szczęśliwi, że w ogóle mają jakiś kawałek solidnego dachu nad głową.

Wanda wydawała się pogodzona z losem i nie było można odczuć, że jest z tego mieszkania niezadowolona. Była osobą bardzo pogodną i sympatyczną. Zdobyła sobie od razu moją sympatię, gdyż mnie, smarkaczowi, pozwoliła zwracać się do siebie po imieniu. Chyba właśnie od niej przejąłem zamiłowanie do słońca.

Wanda pracowała w Żółwinie w hodowli jedwabników i każdą wolną chwilę przy słonecznej pogodzie spędzała na leżaku z twarzą do słońca.

W młodości musiała być piękną kobietą i zachowała tego niezatarte ślady. Z pewnością jednak nie tylko z tego względu miała stałego przyjaciela. Józio był wprawdzie trochę żonaty, ale jeździli jego jawą na wycieczki i słoneczne urlopy. Wanda była inspiracją Putramenta do postaci Miodoborskiej w Odyńcu.

Odwiedzała ją czasem pani Zosia. Była autentyczną hrabiną, którą jednak mąż, również hrabia, traktował zupełnie nie po hrabiowsku. Mówiło się, że ją bije i zachowuje się po chamsku.

Drobniutka pani Zosia często uczestniczyła w sobotnich spotkaniach przy brydżowym stoliku u nas w domu.

Na polowania z dziadkiem jeździł czasem Konstanty – Kot. Był on przedwojennym asem motocyklowym i inspiracją Putramenta do postaci Oleszkiewicza jw. Zbieżność nazwisk mogła wskazywać, że Kot i Wanda byli kiedyś trochę małżeństwem.

Krążyła historia o pewnym jesiennym polowaniu na jelenie. Obydwaj panowie wybrali się oczywiście amfibią. Dziadek został w samochodzie, skąd miał lepszy widok, a Kot ruszył dalej na piechotę. W pewnym momencie w ostatnich promieniach słońca wyszedł im niezły byk. Dziadek strzelił i trafił na komorę, tak że jelen zrułował w ogniu. Kot wrócił dumny ze słowami: „Ale go ładnie trafiłem!”. Dziadek zaskoczony odpowiedział: „Jak to? To ja go strzeliłem!”. Nie mniej zaskoczony Kot odpowiedział, że on też! Ruszyli więc do zdobyczy, żeby tylko stwierdzić, że jelen został pięknie trafiony, ale nie było jak ustalić, który z nich był tym szczęśliwcem. Obydwaj strzelali doskonale, ale któryś musiał nieźle spudłować. Spojrzeli na siebie sceptycznie i dopiero po odwróceniu jelenia na drugą stronę ukazały się DWA wyloty kul! Okazało się, że strzelili jednocześnie, nie słysząc strzału kolegi, i trafili w to samo miejsce, a ponieważ strzelali pod różnym kątem, kule wyszły w różnych miejscach. Brzmi



wprawdzie nieprawdopodobnie, jak myśliwska „łacina”, ale dziadek nie miał zwyczaju koloryzować swoich opowieści i teoretycznie było to możliwe.

„Na górze” bywali czasem ciekawi ludzie. Pan Jan, miły i rubaszny grubasek, opowiadał kiedyś, że w krematorium widział, jak trupy w ogniu zdawały się poruszać ręką czy nogą. Czytając później niezliczone książki o obozach, zawsze miałem przed oczami ten obraz. Nie wiem, czy pan Jan był tam gościem, czy „pracownikiem”, ale kontrast jego postaci z tym obrazem wrył mi się głęboko w pamięć.

Pod domem była duża piwnica. Było tam chłodno, a ponieważ nie mieliśmy lodówek, więc tylko tam można było jako tako przechowywać mięso czy napoje chłodzące, jak np. wspaniałe podpiwek. W jednym pomieszczeniu były zamykane siatką regały, gdzie przechowywane były przez ciotkę zimowe owoce.

W pralni stał hydrofor, opalana węglem kuchnia, w której wpuszczony był wielki miedziany kocioł i balia z tarą.



*Tara*

## **Ogród**

Prawdziwym cudem był jednak ogród. Zakładany przed wojną przez specjalistów, pozostał dla mnie niewyczerpanym źródłem wdzięczności, że los pozwolił mi przez tyle lat cieszyć się jego pięknem.

Wielki prostokąt składał się jakby z trzech części. Od strony ulicy Brzozowej rósł stary sosnowy las, który ciągnął się przez wiele posesji wzdłuż tej ulicy. Sosny lśniły w górnych partiach szczerym złotem w zachodzącym słońcu. Gęstwina gałęzi tworzyła parasol zamieszkiwany przez wiele gatunków ptaków. U podnóża rosły krzaki i trawa. Można było tam czasem spotkać pieczarki, fiołki albo usłyszeć szmer spłoszonego jeża.

Płot od strony Brzozowej wykonany był z drewnianych sztachet i zakończony furtką i bramą wjazdową w tym samym stylu. Na słupku furtki była mała, czarna ze starości, mosiężna tabliczka z napisem „Willa Idris”. Furtka otwierała się z charakterystycznym skrzypieniem i zawsze było to sygnałem, że ktoś się zbliża.



Z lewej strony na całej długości posesji był ceglany mur, a jego szczyt pokryty był gęsto ułamkami szkła. Ta długość była pokaźna. Teraz szacuję ją na przynajmniej 300 m. Wzdłuż tego muru biegła elegancka ścieżka, którą musiałem czasem gracować, i wtedy wydawało mi się, że ma ze trzy kilometry.

Szeroki wjazd skręcał w kierunku centralnie stojącego budynku. Wzdłuż muru rosło parę leszczyn, które nie tylko dostarczały orzechów, ale i doskonałe wędziska. Na samym zakręcie była przerwa w murze, jednak zamiast furtki była tam solidna ścianka z desek. Podjazd rozszerzał się przed wejściem do domu i ciągnął się dalej aż do - znajdującego się pod przeciwległym ogrodzeniem - budynku gospodarczego. Mieścił się w nim garaż, a po obu jego stronach dwa pomieszczenia na węgiel i ogrodowe narzędzia. Po prawej stronie była jeszcze jedna drewniana komórka i drewniana ubikacja nad betonowym dołem na nieczystości i odgradzoną częścią na popiół. Z lewej strony był ogrodzony siatką duży kojec dla psów ze stojącą na zadaszonym podejściu psią budą. Ogrodzenie po przeciwnej do muru stronie było z takich samych jak od ulicy drewnianych sztachet, jednak już od garażu zaczynał się grabowy, przycinany regularnie, wysoki na 2,5 metra żywopłot.

Na wysokości wejścia do domu zaczynał się ogród kwiatowy. Pod oknami naszego mieszkania biegła ścieżka (do gracowania!), a obok niej rabata, na której kwitły czerwone szałwie. W miejscu gdzie kończył się dom, rabata załamywała się w prawo pod kątem prostym. Tam rosły kolorowe floksy. Na jej końcu był mały klombik z wielkim krzewem białego bzu pośrodku.

Miałem tam swój ogródek skalny. Zajmowałem się nim chętnie w przeciwieństwie do gracowania ścieżek i sadzenia szałwii. Na tyłach domu była wnęka z ławeczką, a po drugiej stronie półokrągły taras. W wyźłobieniu tarasu, wzdłuż krawędzi rosły wspaniale pachnące różowe goździki brodate i skalne floksy. Te ostatnie miałem też w swoim ogródku. Taras był na wysokości wysokiego parteru, a jego półokrągła ściana porośnięta była pnączem.



*Tutaj nie było już pnącza, ale pręt je podtrzymujący był.*

Taras ocieniała wielka czereśnia. Jej czerwone owoce były czasem powodem grabieży. Gdy łażąc po drzewie, uzbierałem sobie koszyk, zakradał się do nich mój ojciec i „podżerał”. Uporałem się z tym jednak sposobem i pokazałem mu znajdujące

się w nich robaki. Mnie one zupełnie nie przeszkadzały, a jemu radykalnie odebrały chęć do plądrowania.

Naprzeciw ławeczki były dwa półokrągłe klomby, na których królowały dwa niesamowite drzewka bzu – z lewej pojedynczy amarantowy o wielkich płatkach i po przeciwnej stronie liliowy. Kiście były ogromne i jedna z powodzeniem wystarczyła do wypełnienia wazonu. W maju znajomi ciotki przyjeżdżali po te kwiaty z Warszawy. Na lewym klombie rósł wielki czerwony mak ogrodowy, a na prawym różowy, a może odwrotnie. Obydwa obramowane były gęstymi nasturcjami z ogonkami zawierającymi słodki nektar.

Zaraz dalej rosły dwie równiutkie tuje, tworząc jakby bramę do dalszej części ogrodu. Oczywiście ścieżka (do gracowania), a po obu jej stronach ciągnęły się dwie długie rabaty. Symetrycznie dominowały na nich idealnie okrągłe gniazda amerykańskich irysów. Były granatowe, ciemniejsze od zwykłych i miały węższe liście. Tworzyły gęste okręgi o średnicy prawie jednego metra i tak wysokie, że małe dziecko mogło się w nich z powodzeniem ukryć. Rabaty obrzeżały karłowate marcinki kwitnące pod jesień na niebiesko. Na granicy rabaty zamykał ją rząd zwykłych niebieskich i żółtych irysów. Tam też zaczynała się część łąkowo-owocowa ogrodu. Trawa w maju, przed pierwszym koszeniem, sięgała tu swobodnie do pasa.



*Tuje i irysy – ścieżka świeżo wygracowana*

Wybór owoców był oszałamiający, chociaż niektóre były objęte reglamentacją ciotki. Gruszki klapsy, małe drzewko jabłek anansowych (Ananas Berżeński) i rosnąca pod ścianą domu gruszka konferencja objęte były zakazem konsumpcji. Nie byłbym chłopakiem, gdybym nie skosztował jeszcze zielonych klaps czy innych zakazanych owoców, ale oczywiście starałem się, żeby nie rzucało się to w oczy. Naprzeciwko tarasu rosła morwa płacząca, tworząca prawdziwy namiot pełen czarnych soczystych owoców, od których paluchy zabarwiały się na czerwono.

Te paluchy jednak we wrześniu były z reguły nieusuwalnie ciemnobrązowe od skórek nie całkiem dojrzałych orzechów włoskich. Nie było jednak możliwości powstrzymać się od mozolnego dobierania się do białej zawartości, która po ostrożnym zdjęciu cienkiej, gorzkiej skórki smakowała doskonale.

Kępy malin, trójkolorowe porzeczki, wiele gatunków jabłek, wiśnie, czereśnie i śliwki tworzyły niewyczerpany rezerwuar witamin. Stare drzewa nie były nigdy przyskane i mimo to rodziły obficie co rok.

Z prawej strony wydzielony był kawałek ziemi na ogród warzywny, ale oprócz warzyw rosły tam czerwone i białe poziomki i truskawki. Ogródkiem zajmował się ojciec przy mojej, niezbyt entuzjastycznej, pomocy. W trawie pod rozłożystą papierówką rósł dziko szczypiorek i nieraz musiałem dreptać tam z nożyczkami, żeby nazbierać trochę do twarogu czy jajecznicy.

Z lewej strony domu wielka weranda okolona była następną ścieżką (do gracowania). Obok, pod wielką brzozą, w maju powstawał dywan konwalii, a na sąsiadującym trawniku pokazywały się wdzięczne, smukłe narcyzy.

Wschodnia ściana domu była całkowicie pokryta dzikim winem, które pokonawszy narożnik, wdarło się na drabinę pożarową znajdującą się po stronie południowej. Miałem surowy zakaz włożenia na nią, ale nawet mnie nie ciągnęło, bo była doszczętnie zarośnięta.

W ogrodzie panowały też inne narzucone przez ciotkę reguły.

Surowo zakazane były wszelkie zabawy z ogniem. Nie do pomyslenia było rozpalenie ogniska czy jakiegoś innego igraszki. Pożar lasu biegnącego przez wiele posesji mógł mieć katastrofalne skutki.

Poza wspomnianymi już zakazanymi owocami obowiązywał zakaz wchodzenia na wszystkie drzewa. Miałem wyznaczone dwa, które były do tego przeznaczone. Jednym z nich był „mój” umiłowany wysoki włoski orzech, na którym spędzałem bardzo dużo czasu. Niedaleko szczytu znajdowało się w rozwidlenie gałęzi, które było wygodne jak fotel, i na nim przesiadywałem z książką, pogrążony w intensywnym orzechowym zapachu i szeleście liści. Od ciągłego wchodzenia i schodzenia kora gałęzi była wytarta do białości.

Od tego czasu właśnie ten odcień miękkiej, jasnej zieleni podoba mi się najbardziej, a zapach liści orzecha wyczuwam na dużą odległość.

Drugim przeznaczonym dla mnie drzewem był jesion znajdujący się w niedalekiej odległości od wygodki. Tam miałem możliwość zawieszenia grubej liny gimnastycznej z żelaznym kółkiem, którą dostałem na imieniny. Huśtałem się na niej, korzystając ze sprężynującego konaru drzewa. Oczywiście 4 m długości dawały niezapomniane wrażenia. Po paru latach przepleciona przez żelazne kółko lina zaczęła się pomału przecierać, a ja stawałem się coraz cięższy. Przyznaję się do powstałej na tym tle konfabulacji, która miała zainteresować słuchających mnie znajomych. Otóż opowiadałem fałszywie i oszukańczo, że bujając się na czterometrowej linie, w pewnym momencie, w prawie poziomym wychyleniu, przetarta lina puściła, a ja zgrabnym lotem wylądowałem w drzwiach wygodki, dokonując jej doszczętniej destrukcji. Dodawałem jeszcze przewrotnie, że na całe szczęście konstrukcja wsporcza wytrzymała, tak że nie wylądowałem w dole kloaczny. Wstyd mi, ale opowiadałem to niejednym raz, pobudzając (w domyśle) wyobraźnię słuchaczy.

Jedna z prób wejścia na nieprzeznaczone do tego drzewo skończyła się przygodą. Niedaleko furtki rosło duże drzewo, na którym jesienią siadały całe stada szpaków.

Delektowały się bukietami jagód podobnych do dzikiego bzu, a może nawet był to dziki bez. Wystarczyło wtedy klasnąć w ręce i chmara ptaków zrywała się z łopotem.

Kobieta przychodząca pomagać mamie w wielkich praniach tym razem miała zamiast prania „popilnować” mnie. Akurat popilnowywała mnie, plotkując w furtce z jakąś znajomą. Wlazłem na to szpakowate drzewo na wysokość 2 – 3 metrów i wtedy złamała się podę mną wąż i sucha gałązka. Zwałem się z głuchym tąpnięciem jak wór na leśną ściółkę. Pracznka podbiegła i zawołała: „Jezusie, zabił się! Nie oddycha!”. Niestety nie mogłem jej wyjaśnić, że się myli, gdyż upadłem na plecy i na chwilę rzeczywiście zaparło mi dech. Szybko się pozbierałem, a moja bliska omdlenia opiekunka do powrotu mamy nie spuściła mnie ani na sekundę z oka.

Na początku nie mogłem się oddalać poza ogrodzenie, jednak ogromny wspinały ogród dostarczał tyle atrakcji, że w zasadzie nie tęskniłem za jego opuszczeniem.

## *Mam brata*

Kiedyś pojawił się znienacka mały Jurek.

Był ode mnie o 7 lat młodszy i dzięki temu przybyło mi obowiązków. Jak zwykle w tym wieku dzieci potrzebują snu - mój brat nie był wyjątkiem - tyle że jego sen był dość trudny do wywołania. Ta powinność spadała oczywiście na mnie i jeżdżąc po wygracowanych uprzednio ścieżkach jego kolaską, musiałem w jakiś sposób doprowadzić do zaśnięcia tego typu. Objawem snu były zamknięte oczy. Wpadłem więc na genialny, choć nieco radykalny, pomysł, ustawiając brata pod słońce, tak żeby te oczy po prostu musiał zamknąć. Nie twierdzę, że udawało się to za każdym razem. Wydawało mi się jednak, że to w jakiś sposób skróci czas usypiania i zwolni mnie do jakichś ważnych czynności, które miałem akurat w planie.



*Jurek z otwartymi oczami*

Mimo to zajmowałem się bratem bardzo chętnie, odciążając mamę w jej domowych obowiązkach.

Ten stan miał również i zdecydowanie dobre strony, bo np. pojawiło się w domu mleko w proszku. Teraz zamiast mozolnie kręcić kogel-mogel, wystarczyło rozrobić trochę proszku z cukrem i wodą, aby powstała pyszna słodka masa. Czasem nawet

dodawałem do tego kakao i smakowało prawie tak jak czekolada do picia u ciotki Janki.

W kuchni stała wielka stara kanapa z wysokim oparciem. Siłą rzeczy gdy mama była zajęta przy kuchni, powstawał problem z maluchem. Jego łóżeczko stało w dużym pokoju i trudno było odpowiednio szybko reagować na różne alarmy. Utrzymanie ruchliwego brzdąca na dość wysokiej kanapie również nie zdawało egzaminu. Nie pamiętam, kto dokonał epokowego wynalazku, ale pewnego razu w drewniane oparcie kanapy zostało wkręcone solidne kółko jako uchwyt do zwykłych szelek z odziedziczonego po mnie spacerowego wózka KONKON. Szelki pozwalały Jurkowi usiąść, jednak uniemożliwiały sturlanie się na podłogę. Siedzenie kanapy miało przedwojenne, mocne sprężyny i mały z niespożytą energią, trzymany szelkami, potrafił wręcz godzinami na nich podskakiwać.

Rozwiązanie to podziwiali goście, a niektórzy złośliwie porównywali to do jarmarcznej małpki na łańcuchu. Wynalazek był genialny, bo mama mogła spokojnie zająć się kuchnią, a ja nie musiałem stale być w pogotowiu. Zdarzało się, że zmęczony skokami Jurek zasypiał na siedząco, zwisając na szelkach, ale wtedy mama zanosila go do łóżeczka i wracała spokojnie do swoich zajęć.

Ta sceneria przypomniała mi anegdotyczną wprost opowieść, jak to stryj Tadeusz został sam w domu jako opiekun małej siostry Marii. Mała ciotka miała łóżeczko na sprężynach i podobnie jak Jurek lubila w nim podskakiwać. Stryj, w poczuciu obowiązku opiekuna, ostrzegał siostrę: „Marysiu, nie skacz tak, bo jeszcze wypadniesz!”. Nie wiem, z przekory, czy z ochoty, moja ciotka nadal podskakiwała i rzeczywiście za którymś razem wybiła się jeszcze mocniej i poszybowała ponad kratką. Uderzyła głową w podłogę i zaległa cisza. Stryj błyskawicznie skalkulował swoją krytyczną sytuację jako opiekuna. Położył się więc na tapczanie, udając, że zasnął. Liczył, że wyrok za niedopełnienie obowiązków będzie złagodzony przez fakt, iż zasnął ze zmęczenia. Na szczęście nic poważnego się nie stało i ciotka Maria przez całe życie odznaczała się nadzwyczajną bystrością umysłu. W ten sposób powiedzonko „upadł na głowę” straciło w tym wypadku na pejoratywnym znaczeniu.

Zdarzyło się jednak, że szelki nie zadziałały. Nie wiem, czy braciszek się sam uwolnił, czy ktoś zapomniał go przypiąć, dość że uległ, podobnie jak ja, przyciąganiu ojcowskiego pudełka z resztkami papierosów. Co gorsza, wyjął z niego brunatną od smoły szklaną firkę i pogryzł ją, mimo że zęby miał może cztery. Z przerażeniem zobaczyliśmy krew i ułamek firkę sterczący mu z buzi. Zaczęliśmy palcami wyciągać mu z gęby pokruszone szkło, ale oczywiście nie było pewności, czy czegoś nie połknął.

Lekarz nakazał spokojnie czekać i natychmiast meldować, jeśli zauważymy coś niepokojącego. Następne dni czekaliśmy przerażeni, czy coś się nie będzie dziać, ale na szczęście nie działo się nic. U brata pojawia się niekiedy „szklany wzrok”, ale to już w zupełnie innych okolicznościach.

Sierpień jest miesiącem, w którym „zaludnione” gniazda os wysyłają w świat roje pręgowanych napastników. Na Jurka ich użądlenie działało podobnie jak maliny (o tym potem). Gdy któregoś dnia wrócił z ogrodu z charakterystycznym chińskim

obliczem, zacząłem szukać siedziby napastniczek. Po dłuższych obserwacjach znalazłem pod stropem drwalki szczelinę, z której wylaziły. Ojciec w dzieciństwie przeżył spotkanie z gniazdem os pod gałęzią drzewa, na które się właśnie wdrapywał. Mieszkańki zaatakowały intruza tak skutecznie, że objając się o gałęzie, spadł na ziemię.

Pamiętając o tym, zabezpieczyłem mnie do pacyfikacji gniazda bardzo precyzyjnie. Na twarzy miałem maskę przeciwgazową z 1939 roku z rurą, ale bez ciężkiego pochłaniacza. Tył głowy i szyję chronił gruby ręcznik, a na to włożyłem, znany z akcji gaśniczej w Milanówku, gumowany płaszcz. Na rękach miałem grube budowlane rękawice. Tak wystrojony ruszyłem do ataku. Całe szczęście, że nie zobaczył mnie nikt z pozostałych mieszkańców, bo pewnie podniósłby alarm z powodu ataku kosmitów.

Starłem się za pomocą szpadla zatkać szmatami szparę między deską a ścianą. Mimo że przez maskę słabo było widać, udało mi się jako tako zadanie wykonać. Niewiele to dało, bo osy wkrótce znów się wygryzły, ale Jurka zostawiły w spokoju. Dopiero w zimie chłop Piontek, który kosił trawę, wybierał osad z szamba i przycinał żywopłot, rozebrał kawałek ściany i wyciągnął pokaźną ilość plastrów.

Kiedyś, gdy pierwszego maja ciął żywopłot od strony ulicy, jakiś gorliwiec zwrócił mu uwagę, że w święto pracy nie wolno pracować. Piontek nie przestał ciąć i zaproponował facetowi, żeby spierdalał, bo jak nie, to on do niego zejdzie i tymi nożycami obetnie mu jaja. Facet oddalił się w pośpiechu, ale potem ciotka obawiała się, że jej sezonowy może mieć kłopoty. Na szczęście gość był pewnie zbyt mało ustosunkowany i epizod przeszedł bez dalszego ciągu do historii.

Wraz bratem przeżyliśmy niezliczoną ilość mniej lub bardziej niebezpiecznych przygód, jednak jakoś udało nam się obydwu dociągnąć do wieku emerytalnego bez jakichś poważniejszych skaz na ciele i duchu.

## Koledzy

W bezpośrednim sąsiedztwie mieszkało dwóch chłopców.

Za ceglany murem mieszkał mój rówieśnik Piotrek, który został moim najważniejszym przyjacielem.

Po drugiej stronie mieszkał Krzysiek, który w wakacje przyjeżdżał z Warszawy na działkę należącą do jego dziadka. Spędzał wakacje z mamą i babcią w eleganckim drewnianym pawilonie, jednak zwykle wszystkie przeszklenia obszernej werandy były pozasłaniane, gdyż obydwie panie cierpiały na jakieś zmasowane alergię, które zmuszały je do unikania słońca. Mieliśmy wtedy z Krzyśkiem dużo swobody, z której korzystaliśmy to u niego na działce, to u mnie w ogrodzie. U niego też istniały zakazy i na przykład surowo zabronione było włożenie na dach garażu, w którym jego dziadek trzymał eleganckiego talbota z żółtymi skórzanymi siedzeniami. Dziadek przyjeżdżał nim od czasu do czasu na wizytację posiadłości lub jakieś letnie imieniny. Dach garażu pokryty był papą i zachodziła obawa, że drepcząc po nim, możemy spowodować zacieki na tego cholernego talbota. Oczywiście łączyliśmy po nim niewidoczni na czworakach, dlatego że można było z niego obserwować ulicę.



Komunikację zapewniała nam luźna sztacheta w płocie do ogrodu. Była z zewnątrz praktycznie niewykrywalna, gdyż zasłaniał ją gęsty żywopłot. Zdarzało się jednak, że ciotka znajdowała jakoś to miejsce i zabijała deskę gwoździem, żeby jej psy nie uciekły. Jednak prawie bez straty czasu udawało nam się nieopodal znów obluzować kolejną sztachetę i było po kłopotcie.

Osłona żywopłotu dawała nam dodatkowe schronienie, jeśli chcieliśmy zrobić coś niedozwolonego zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Tam odbywały się na przykład próby, które z liści dają się najlepiej wypalić w zrobionej z kawałka drewna fajce. Wszystkie z nich miały paskudny smak i piekielnie gryzły w język. Nawet moje pachnące liście orzecha włoskiego też nie zdały egzaminu.



*Jurek, Piotrek i Krzysiek w naszym ogrodzie*

W naszym mieszkaniu wszystkie okna były okratowane solidnymi pionowymi prętami. Jedynie w dużym pokoju krata była rozsuwana. Odkryłem, że w jednym miejscu przez kratę w kuchni przechodzi mi głowa.

Krzysiek dostał namiot i zaproponował, żebyśmy spróbowali jedną noc w nim przespać. Niestety nie uzyskałem pozwolenia „dyrekcji” i musiałem zrezygnować z przygody. Nagle przypomniałem sobie o kuchennej kratce i kiplingowskiej Bagheerze. Nie byliśmy wprawdzie w dżungli i wyłamywanie krat też nie wchodziło w grę, ale wiadomo, że jak głowa przejdzie, to i reszta się zmieści. Od ręki zacząłem planować wydostanie się na letnią wolność. Dzisiaj wprawdzie nie bardzo rozumiem, dlaczego nie wyszedłem po prostu przez drzwi, ale chyba były zamknięte na klucz, który z kolei był niedostępny. Czekałem, aż rodzice zasną. Czas dłużył się okropnie, a Krzysiek czekał sam w pogrążonym w ciemności namiocie. W końcu uznałem, że można. Bardzo ostrożnie otworzyłem okno i okazało się, że z tą przechodzącą głową to rzeczywiście prawda. Po chwili byłem już na parapecie. To był wysoki parter, ale jakoś udało mi się zsunąć na ziemię i z latarką ruszyłem do naszej dziury w płocie.

Ojciec bardzo lubił latarki i lornetki. Na gwiazdkę dostałem kiedyś piękną latarkę i mogłem ją tym razem w pełni wykorzystać.



*Chińska latarka była wtedy ostatnim krzykiem techniki.*

Krzysiek czekał i mogliśmy we dwóch korzystać z nieograniczonej niczym swobody. Postanowiliśmy przeprowadzić klasyczną chłopięcą akcję i ruszyć na cudze jabłka, czyli „na dzierzawę”. Oczywiście było to idiotyczne, bo swoich mieliśmy aż nadto, ale chodziło przecież o przygodę. Brama ogrodowa u Krzyśka skrzybiała straszliwie i musieliśmy otwierać ją „na zwolnionych obrotach”. Zostawiliśmy ją otwartą, żeby po powrocie skrzybiała tylko w jedną stronę.

Sad był nieopodal. Zналиśmy właściciela i tym bardziej było to niebezpieczne. Zaczęliśmy gramolić się na płot z siatki i w tym momencie gdzieś w głębi zaszczekał pies. Znając z opowiadań historie owocowych rabusiów, którzy całą noc przesiedzieli na drzewie z psem wartownikiem u podnóża, zrezygnowaliśmy z przedsięwzięcia. Wróciliśmy do namiotu i resztę nocy spędziliśmy na opowiadaniach różnych historii, książkowych i prawdziwych.

Gdy zaczęło się rozjaśniać, postanowiłem wracać do domu, aby nocna eskapada nie wyszła na jaw. Nie mam pojęcia, jak udało mi się dostać do wysoko umieszczonego okna, ale wśliznąłem się w końcu do łóżka i tajemnica pozostała tylko między mną i Krzyśkiem.

Wracając, byłem zachwycony świtem i odgłosami budzącego się dnia. Może dlatego któregoś lipcowego wieczora ustawiłem w trawie polowe łóżko i przespąłem w ogrodzie całą noc. Rano okrycie było trochę wilgotne, ale wyszło błyskawicznie w promieniach słońca. Tym razem mogłem letnim porankiem w pełni rozkoszować się ciepłym pościaniem.

Po szkole bawiliśmy się w zasadzie na przemian albo z Piotrkim, albo z Krzyśkiem. Miałem delikatną sugestię niezapraszania do ogrodu obcych, ale zarówno Krzysiek, jak i Piotrek mieli pozwolenie i robiliśmy tam przeróżne dziwne rzeczy.

Zwłaszcza zabawy z Piotrkim były niezwykle kreatywne.

W części leśnej ogrodu kopano nowe szambo metodą studniarską, dzięki czemu było bardzo dużo wydobytego piasku. Trudno sobie wyobrazić lepszą piaskownicę niż sterty piachu, w których można robić tunele, różne zamki i inne konstrukcje. Tam też często ukrywaliśmy się, robiąc rzeczy, które, powiedzmy sobie, nie cieszyły się przychylnością starszych.

Pewnego razu dziadek chemik dał mi w prezencie pudełko z zestawem soli do produkcji kolorowych fajerwerków. Był w nim szereg małych puszek czy słoiczek z różnokolorowymi kryształkami, niestety ani dziadek, ani rodzice nie wtajemniczyli



mnie w przeznaczenie tego pudełeczka. Wobec tego razem z Piotrkim przystąpiliśmy do produkcji substancji fantazyjnej zgodnie z naszymi wyobrażeniami. Znaleźliśmy sporą puszkę po paście do podłogi Dobrolin i zaczęliśmy wsypywać do niej zawartość słoiczków. W puszcze była jeszcze resztkę pasty do podłogi, przez co można było to spokojnie patykiem wymieszać i zrobiła się SUBSTANCJA.

Nie robiliśmy tego w określonym celu, tylko miał to być jakiś eksperyment; okazało się, że po dosypaniu pewnej ilości piasku zawartość puszek zrobiła się dosyć gęsta. Niewiele się namyślając, jeden po drugim nasikaliliśmy do tej puszek i zrobiło się rzadsze. Po weryfikacji koloru, który był paskudnie sraczkowaty, ktoś wpadł na pomysł (obawiam się, że to jednak ja), żeby użyć do tego jakiegoś barwnika. Najbardziej dostępnym w tej chwili w naszym wyobrażeniu barwnikiem był czerwony ceglany pył. Ruszyliśmy żwawo do akcji i zaczęliśmy skrobać ceglany mur w rozmaitych miejscach, żeby pozyskać piękny pomarańczowo-czerwony proszek. Dodaliśmy urobek do puszek, jednak zawartość miała nadal wyjątkowo paskudny kolor. Inne cechy były również niewiele piękniejsze, więc zrezygnowani, wrzuciliśmy puszkę z zawartością do dołu na popiół i zajęliśmy się czymś innym. Sprawa jednak na tym się nie skończyła. Ciotka zauważyła na murze masę jasnych plam, które pozostały po skrobaniu ceglanego proszku, i zażądała od ojca, żeby to usunąć. Sprawa zaczynała brzydko pachnieć, mimo że śmierdzącą puszkę już usunęliśmy. Ciotka uznała te jasne placki za dewastację jej muru i ojciec musiał negocjować ze straconej pozycji. Skończyło się na tym, że musiałem przez następny miesiąc graczyć wszystkie ścieżki, aż w końcu wszystko przycichło.

Może jednak z tego doświadczenia coś pozostało, bo nawet jeszcze dzisiaj w kuchni lubię tworzyć różne mikstury na wzór niemieckiego Eintopf czy meksykańskiej Chili con Carne. Potencjalnych gości zapewniam, że z ceglanego pyłu i innej przyprawy definitywnie wyrosłem, chociaż jakiś ślad pozostał mi w limeryku:

*W pewnej kuchni raz zły krasnoludek  
Sikał chętnie wprost do żabich udek.  
Goście smak wychwalali,  
Lecz przyczyny nie znali.  
A on robił to z niskich pobudek.*

Zabawy u Piotrka odbywały się w zasadzie w jego mieszkaniu. Gdy odwiedziłem go po raz pierwszy i wszedłem do dużej kuchni, poczułem naraz (byłem wtedy w krótkich spodenkach), jakby ktoś mi nogi oblał gorącą wodą. Mama Piotrka powiedziała, że bym się nie przejmował, bo to są kocie pchły, które siedzą w szparach podłogi i wyskakują w poszukiwaniu pokarmu na przechodzących delikwentów. Wydawało mi się to dość egzotyczne, ale poza tym wszystko było w tym mieszkaniu na wysoki połysk.

W pokoju stał duży zegar z basowym głosem, a rozmaite zabawy, które wytwarzały pył, trociny albo coś takiego, odbywaliśmy na balkonie. Piotrek miał taki mały drewniany warsztat i rozmaite narzędzia, tak że można było tam robić różne fantazyjne „projekty”, które akurat przychodziły nam do głowy.



*Konstruktorzy przy pracy*

Mogliśmy się bawić również u niego w ogrodzie, jednak w zasadzie nadawała się do tego część od ulicy, która, podobnie jak u mnie, była starym sosnowym lasem, jednak u Piotrka krzaki były bardzo gęste, tak że zasłaniały całkowicie wgląd od ulicy Brzozowej i z okien domu. Korzystając z tego, mieliśmy w tych krzakach swoje miejsce, w którym można było schować rozmaite nieprzeznaczone dla innych przedmioty. Taką rzeczą był np. słoik z papierosami, które Piotrek podbierał czasem swojej palącej mamie. Palila ona cieniutkie, eleganckie damskie albo płaskie, które miały wymiar dzisiejszych cienkich, jednak zamiast filtra był w nich tekturowy mundsztuk. Niefrasobliwie korzystaliśmy z tej możliwości, trenując kontakt z niedozwolonym tytoniem.

Kiedyś na nasze wspólne życzenie Stanek, wuj Piotrka, wybrał się z nami do lasu, gdzie zdobyliśmy sosnowe tyczki, po czym wspólnie zbudowaliśmy z nich, o dziwo, nie namiot, tylko wieżę. Wieża ta trochę się chwiała, ale mimo to będąc na samej górze na podeście, można było wyglądać na ulicę Brzozową i chować się, jeśli chciało się być niezauważonym. Poza tym większość zabaw odbywała się u mnie w ogrodzie, gdzie było masę miejsca, wiele atrakcji i swoboda.

Z Krzyśkiem bawiliśmy się z kolei głównie u niego, graliśmy w ping ponga, łąziliśmy na dach garażu. Kiedyś na drzewku mirabelki znaleźliśmy spiżarnię dzierzby gąsiora i nabitą na kolec suchą jaszczurkę.

Za ulicą Zaciszną było pole zboża pana Latoszka, a za nim las z malinowymi chaszczami nadającymi się wybornie do rozmaitych zabaw z innymi chłopakami z sąsiedztwa. Nazywaliśmy je „Polaną”.

Wzdłuż pola biegła ścieżka ze szpalerem kasztanowców, które na jesieni były naszym najbliższym źródłem pięknych kasztanów.

Po skoszeniu zboża pozostawało rżysko. Znalazłem metodę biegania po nim na bosaka i korzystałem z tego często, unikając pogoni innych bosych.

Kiedyś w sierpniu przez prawie tydzień walczyliśmy z Krzyśkiem z ziemnym gniazdem os na tym rżysku. Mimo wyszukanych środków, wody i ognia poddaliśmy się w końcu walkowerem.

Zwalczaliśmy też bezlitośnie bielinki kapustniki, uważając się za dumnych tępicieci szkodników. Cytrynki i inne motyle zostawialiśmy oczywiście w spokoju.

Jurek był typem alergika.

Wyszło to na jaw, gdy kiedyś wziąłem go na „Polanę”. Wrócił podrapany malinami i w krótkim czasie zaczął nabrzmiwać. Z „pajączka”, jak go czasem nazywał ojciec, w mgnieniu oka powstał zażywny Chińczyk. Do dzisiaj maliny - zarówno owoce, jak i krzewy - są jego postrachem.

Piotrek jako pierwszy miał telewizor i chodziłem do niego oglądać Klub Myszki Miki i Zorro. Gruby Sierżant Garcia przeszedł do naszego słownika jako synonim grubego sierżanta Garcii.

Przeżyciem był też oczywiście Wyścig Pokoju i kiedyś, gdy po udanym finiszu wygrał Gazda, wybiegliśmy z Piotrkim na balkon, krzycząc wniebogłosy: „Gazda! Gazda!”.

Z kolegów szkolnych Piotrek był oczywiście tym najważniejszym. W klasie było jednak jeszcze dwóch Andrzejów.

Jeden z nich miał wspaniałe akwarium 500 l, przed którym siadałem jak urzeczony, i niezwłocznie poczułem ogromną potrzebę, żeby mieć również swoje.

Drugi Andrzej mieszkał nieopodal nas i od niego, to znaczy od jego mamy, braliśmy mleko i cielęcinę.

## Militaryzacja

We wczesnym dzieciństwie ulegałem stopniowej militaryzacji. Ojciec zrobił mi piękną armatkę na dwóch kołach, która za pomocą sprężyny wyrzucała z lufy pociski. Najlepiej nadawały się do tego resztki ołówka, które z pewnym impetem próbowały trafić w cel.

Cynowe żołnierzyki w liczbie sześciu były pierwszymi ofiarami ostrzału. Kruchy materiał powodował, że trup słał się gęsto. W niedługim czasie nie było już piechoty i pozostały jedynie mury obronne z klocków, które atakowałem tą armatką ze zmienną zaciętością. Potem pojawił się w kioskach Ruchu inny rodzaj żołnierzyków - z plastiku. Były pomalowane na zielono i przedstawiały żołnierzy z różnym uzbrojeniem i w różnorodnych pozach. Materiał był bardzo odporny, tak że bez trudu wytrzymywał ostrzał z armatki.

Tymczasem ojciec uzupełniał mój arsenał. Najpierw zrobił atrapę pistoletu maszynowego, który również za pomocą sprężyny mógł wystrzeliwać drewniane pociski. W następnej kolejności powstał drugi model, poprawiony i ulepszony. Obydwa miały już muszkę i spust, więc można było nimi lepiej operować.

W koronach sosen kłębiło się mnóstwo kawek. Robiły niesamowity harmider i czasem dziadek zniecierpliwiony wychodził z dubeltówką i posyłał wiązkę śrutu wprost w korony. Sprytnie kawki zapamiętały to sobie i gdy wychodziłem z moim drugim peemem z błyszczącą stalową lufą, zrywały się, wrzeszcząc, do lotu.

Żołnierzyki ustawiałem w rozmaitych konfiguracjach. W trakcie tej zabawy sformowałem całą drużynę. Po mundurach doszedłem do wniosku, że są to chyba żołnierze amerykańscy, i sporządziłem nawet listy obecności, aby móc przeprowadzać apele.

Nazwiska nadawałem fantazyjnie. W tym oddziale reprezentowane były, jak to w USA, rozmaite nacje. Był tam kapral, niejaki Jan Lechoń, Francuz Jean Pierre, Włoch Giuseppe Polini i Amerykanie Dick Brown, Will Smith i jeszcze inni.

Przewagę stanowili Amerykanie i dopiero po wielu latach dołączyli do nich Szkot Johnny Walker, Irlandczyk Jim Beam i Amerykanin Jack Daniels, ale w zupełnie innych okolicznościach.

Pisemko *Mały Modelarz* miało wkładkę z grubszego papieru, zawierającą modele różnych narzędzi zagłady. Po wycięciu odpowiednich części trzeba było je zręcznie zagiąć i posklejać, aby powstał jakiś model. Konieczny był do tego klej rybi Syndetin lub Syndetikon, który, w przeciwieństwie do klejów acetonowych, nie ciągnął nitki. Można było go kupić tylko w Centrali Harcerskiej, ale na szczęście ojciec pracował w pobliżu i nie było z tym problemu.

Jako pierwszy sklepiłem model francuskiego krążownika De Grasse. Wyszedł trochę koślawo, bo na początku używałem kleju biurowego, który nie trzymał, i musiałem wielokrotnie poprawiać różne miejsca. Z czasem doszedłem do wprawy i już swobodnie zrobiłem trzy samoloty P-11, Karaś i Łoś, które z dumą powiesiłem w swoim pokoiku na szynie pod zbiornikiem ciepłej wody. Ojciec spoglądał na nie z sentymentem i to oczywiście stwarzało dodatkową zachętę. P-11 miał sztywne podwozie i mogłem sobie bez trudu wyobrazić opowieści ojca, jak atakując armię Budionnego w 2020 roku, po wyczerpaniu amunicji polskie samoloty latały nad masą wojska, starając się wystraszyć konie. Podobno jeden z nich zniżył się tak bardzo, że po powrocie na lotnisko miał w podwoziu zaklinowaną urwaną głowę czerwonoarmisty.

W dalszej kolejności *Mały Modelarz* wydrukował trzy czołgi: polski 7tp, angielskiego Churchilla i wreszcie rosyjskiego potwora IS-2. Zrobiłem próbę, malując Anglika lakierem bezbarwnym, ale niestety lakier wysychając, ścierał powierzchnię papieru i wyginała się paskudnie.

Ojciec dzielnie mi sekundował, mama jednak trochę mniej. Byłem tak pochłonięty klejeniem, że szkoda mi było czasu na chodzenie do szkoły. Znalazłem metodę na unikanie tej "straty czasu" i w razie gdy miałem ciekawą książkę, którą koniecznie chciałem dokończyć, a przede wszystkim właśnie te pochłaniające mnie modele, meldowałem mamie, że źle się czuję i chyba jestem chory. Mama nieodmiennie wstrząsała termometr i kazała mi mierzyć gorączkę. Nie zawsze się jednak udawało „nabić” coś powyżej 37 mimo pocierania końca termometru.

Na szafce obok tapczanu stała lampka. Jako urodzony racjonalizator i przyszły inżynier, opracowałem metodę podgrzewania termometru od gorącej żarówki. Uważnie obserwowałem wznoszący się słupek rtęci, bo nie mogłem przesadzać. Groziłoby to wizytą u lekarza, więc trzymałem się w bezpiecznych granicach

między 37,5 a 38,2. Czasami przez nieuwagę nabiło się więcej, ale wtedy wystarczyło strząsnąć do odpowiedniego poziomu.

Diagnoza stawiana była przez mamę w większości przypadków rano przed wyjściem do szkoły i musiałem być bardzo czujny, żeby nie zdradzić się zapaloną lampką. Oczywiście bywałem też chory naprawdę i miewałem gorączkę powyżej 39°C, ale wtedy już nie bardzo byłem w stanie cokolwiek kleić.

Właściwie wszystkie te moje modele powstały w trakcie rozmaitych prawdziwych lub konstruowanych dolegliwości, a mimo to udawało mi się podążać za tokiem nauki szkolnej. Mama martwiła się, że jestem taki chorowity, a ja z beczelnym spokojem kleiłem swoje modele. W czasie malowania Churchilla opary acetonu o mały włos nie wywołały rzeczywistego zapalenia gardła.

Kiedyś przydarzył mi się niebezpieczny wypadek. Na obiad były kotlety kartoflane z sosem grzybowym, które bardzo lubiłem. Południowa kontrola stanu zdrowia wymagała kolejnego mierzenia temperatury i tknięty głupkowskim pomysłem, wsadziłem koniec termometru do gorącego kotleta. Szkiełko natychmiast pękło z trzaskiem. Część rtęci z odłamkami szkła została w kotlecie, a reszta rozprysła się po moim pokoiku. Zdrętwiałem. Trzeba było się pozbyć tego kotleta i jakoś wytłumaczyć fakt zdruzgotania termometru. Oczywiście mogłem powiedzieć, że nie mam apetytu, ale wtedy ktoś mógłby zjeść trujący kotlet. Spociłem się nie z gorączki, tylko ze strachu. Liczyłem, że mama pójdzie do łazienki czy na zewnątrz, i rzeczywiście posłyszałem zamykanie drzwi. Wyskoczyłem jak z procy, owinąłem kotlet w kawałek papieru toaletowego, bo był jeszcze gorący, i spuściłem go szczęśliwie w toalecie. Pozostała jeszcze kwestia termometru, ale tutaj kłamliwie powiedziałem, że upadł mi na podłogę. Oczywiście dzisiaj się bardzo wstydzę, ale wtedy jakoś udawało mi się z tym żyć.

Z modeli czołgów i żołnierzyków zrobiłem kiedyś kompozycję w śniegu, którą sfotografowałem moim nowym aparatem marki Druh.



*W tym aparacie trudno było cokolwiek zepsuć.*

Aparat dostałem na imieniny i udawało mi się nim robić nawet całkiem niezłe zdjęcia.



*Wprawdzie proporcje nieodpowiednie, ale to nie moja wina, tylko Małego Modelarza. Tutaj mały Churchill był w rzeczywistości dwa razy większy od małego 7tp.*

Ojciec był bardzo dumny z moich modelarskich wyczynów i nawet kiedyś wziął jeden czy dwa czołgi ze sobą do biura, żeby pochwalić się zdolnym synkiem, a tymczasem te dzieła zbudowane były na oszustwie!

### *Psy i inne zwierzaki*

W domu były trzy psy: Anita, wyżlica ciotki Janki, jej mały kolega kundelek Pikuś i należąca do Wandy ruda Figa.

Anita była dostojną damą z rodowodem, z którą zaprzyjaźniłem się od razu.



*Anita była stateczną, świadomą swojej godności damą.*

Figa wydawała się zgryźliwą starą panną, która nie pozwalała się z sobą spoufalać, i zdarzało się, że kogoś, kto zbyt śmiało się do niej chciał zbliżyć, potrafiła skubnąć, jednak i z nią byłem w stanie pokojowej koegzystencji.





*Ruda żółta Figa, za nią „zakazany owoc” gruszka konferencja, a na dole skrawek nasturcji z lewego klombu.*

Pikuś był wesołym łaciatym stworzeniem. Na rozkaz ciotki Janki „Pikuś *tanzen*” kręcił się w kółko jak szalony.



*Symbioza na tarasie: mama, Anita i Pikuś. W tle fragment werandy*



*Jurek „osaczony” przez szczeniaki*



*Ze zwierzakami w czerwcowej trawie*

Na górze przed drzwiami mieszkania ciotki Janki było legowisko, na którym mieszkaly czasem dwa, a czasem nawet cztery psy. Obdarzone psim instynktem wyczuwały doskonale, co dzieje się na oddalonej o ponad 100 m ulicy. Przy najmniejszym podejrzeniu pędziły z piekielnym jazgotem w dół schodów, żeby sprawdzić, czy jest słuszne. Z czasem, jak mieszkańcy przy autostradzie, przyzwyczailiśmy się na tyle, że nie zwracaliśmy na to uwagi, natomiast goście z reguły rozglądali się przerażeni.

Dolne drzwi do klatki schodowej były zazwyczaj otwarte. Problem pojawiał się w zimie. Zwyczajnie psów pozostawały niezmiennie i z pełnym impetem waliły w zamknięte drzwi i jazgotały aż do ich otwarcia. Szczególną szykaną były drzwi półotwarte, gdyż wtedy rozpędzony kłęb sierści zatraskiwał je z łomotem, a reszta jw. Stanowiło to powód do iskrzenia góra-dół, bo ciotka wołała, żeby zostawiać psom wolną drogę, a nam było po prostu zimno. W końcu pod drzwiami do mieszkania leżał wałek z koca, a drzwi na klatkę pozostawały otwarte.

Gdy kolejny miot szczeniaków rozjechał się do nowych właścicieli, poza łaciatą suką Płaksą pozostał rokujący nadzieję brązowy chłopak, któremu nadano dość pretensjonalną nazwę Admir Bej. Ciotka poświęcała sporo czasu na tresurę i chętnie jej w tym asystowałem. Partner ciotki do ćwiczeń polowych miał gwizdek ultradźwiękowy, ale albo gwizdek był do bani, albo pies, bo ciotka nazwała go przez ciągle dęcie w ten gwizdek, ze wschodnim akcentem, Swistún.

Periodycznie odbywały się próby polowe psów myśliwskich. Zjeżdżali się na nie łowcy z całej okolicy ze swoimi pociechami. Były reprezentowane wyżły, setery i pointery. Najpierw testowane było zachowanie po strzale. Przyzwoity pies myśliwski nie powinien na ten hałas reagować. Potem jako chętny chłopak zasuwałem z nieżywym królikiem, klucząc wśród zarośli, i sędziowie oceniali, jak psy trzymają trop. Była to tzw. włóczka. Wykazałem się jako „włóczykrólik”, więc powierzono mi kolejne zadanie. Z butelką świeżej świńskiej krwi musiałem znów kluczyć po lesie i sędziowie znów sprawdzali trzymanie się tropu (to była z kolei tzw. farba).

Na zakończenie testowano zajadłość w atakowaniu zamkniętego w klatce kota. Po zakończeniu testu kot był już zbędny, więc jeden z myśliwych wypalił z bliska w klatkę z dubeltówki. Niestety zgodnie z zasadą kot wykorzystał swoje kolejne życie i po wytrząśnięciu z klatki ocknął się, i któryś z myśliwych musiał dobić ciężko ranne zwierzę. Było to bardzo nieprzyjemne, bo użył do tego noża.



Admir wypadł bardzo dobrze, więc z ciotką w doskonałym humorze ruszyliśmy na długi spacer. Szliśmy przez łąkę zalaną do pół łydki wodą. Był upalny dzień i woda była bardzo ciepła, a zalana trawa miękka jak aksamit. Dotarliśmy w końcu na brzeg jeziora z piaszczystą plażą i można było pochłapać się w głębszej wodzie. Było wspaniale, jednak widok tego incydentu z kotem prześladowuje mnie do dnia dzisiejszego.

Inny przypadek z tego gatunku przeżyłem na stacji kolejki, gdy owczarek Collie wpadł pod kolejkę i strasznie krzyczał. Myślę, że gdyby to był człowiek, to nie byłbym bardziej zrozpaczony.

Psy odgrywały w moim życiu zawsze bardzo istotną rolę, nawet teraz na starość jestem z moim przyjacielem Dibą w całkowitej harmonii.

Napatrzyłem się tyle na wspaniałe akwarium mojego kolegi Andrzeja, że własne stało się po pewnym czasie moim dręczącym marzeniem. Objawy tego typu nazywane były z rosyjska przez mamę *zajob w głowu* albo po prostu zajobem.

Ojciec, zmęczony moim marudzeniem, kupił pięćdziesięciolitrowe akwarium, które było fajne, bo w przeciwieństwie do zwykłych, było dość płaskie, także można było doskonale obserwować, co się w nim dzieje. Piasek został uzupełniony muszelkami i roślinami; ojciec przywoził z Warszawy rybki w plastikowych torebkach z wodą i puszczaliśmy je do wody. Były to czerwone mieczyki i kiedyś nawet bardzo ładne żałobnice. Ich parka czuła się nieźle, jednak w krótkim okresie dostała choroby pleśniawki, która obydwaj egzemplarze kosztowała życie. Z czasem zaczęło mi ciążyć skrobanie glonów i odsysanie tego, co wychodziło z rybek, ale chorobliwe poczucie obowiązku (męczy mnie do dziś) nie pozwalało mi zaprzestać obsługi kiedyś wymarzonego akwarium.

Mieczyki też pomału wymierały i zdecydowaliśmy się na zakup rybek, które podobno były bardzo odporne. Była to jedna czerwona welonka z pojedynczym ogonem i druga brązowo-żółta z ogonem podwójnym. Nie mogłem się niestety doprosić o brzęczyk, który był małą elektryczną pompką dostarczającą powietrze do natleniania wody. Zamiast tego ojciec wykombinował po prostu zwyczajną dętkę od piłki, którą trzeba było napompować i podłączyć do rurki z kostką pumeksu na końcu. Rozdrabniał on strumień powietrza z dętki na małe pęcherzyki, co ułatwiało przenikanie tlenu do wody. W połączeniu z glonami i rybim nawozem było to naturalnie uciążliwe, ale ojciec uznał, że brzęczyk jest zbyt drogi i „ta dętka powinna całkowicie wystarczyć”.

Kiedyś odwiedził nas stryj Tadeusz, którego szalenie bawiła zabawa z tą dętką, gdyż po jej naciśnięciu z pumeksu wydobywała się burza bąbelków i wynosiła przepływającą akurat rybkę w kierunku powierzchni wody. Bawiliśmy się tym wspólnie i nikomu nie działa się krzywda – ja pompowałem, a stryj polował na welonki.

Inaczej było, gdy wuj Janusz, mąż siostry mamy, który był zapalonym wędkarzem, udał się ze mną na miejscowe glinianki. Były dwie, jedna z nich służyła do kąpieli okolicznego społeczeństwa, a druga, zarośnięta, miała bogactwo fauny i flory. Wśród tej fauny znajdowała się duża ilość byczków, tj. sumików amerykańskich, które rozmnożyły się tam w sposób niesamowity. Jest to gatunek inwazyjny i nic dziwnego,

że napotkawszy korzystne warunki, zawładnęły tym zbiornikiem. Wuj Janusz za pomocą podbieraka wygarnął porcje tych byczków i umieścił je w wiaderku na złowione ryby.

Tragedia zaczęła się w domu, gdy wpadliśmy na pomysł, żeby te byczki wpuścić do naszego akwarium. Okazało się, że te dzikusy z niezwykłą energią rzuciły się na welony. Mimo że welony były większe od nich, to dranie wymijały większych przeciwników i zachodziły je od tyłu, dobierając się im do ogonów. W krótkim czasie z welonu brązowo-żółtego nie zostało praktycznie nic. Welonki umieściłem w osobnym słoju, a rozbójników wyłowilem co do jednego i przeznaczyłem na pokarm dla kota.

Koty mieliśmy dwa. Obydwa były czarne, a jeden z nich miał piękną gwiazdkę na piersi. Niestety pierwszy i drugi po zjedzeniu zatrutych myszy w sąsiedztwie skończył w męczarniach. Jednego z nich dziadek musiał zastrzelić z dubeltówki, a drugi schował się gdzieś w krzakach i umarł w zapomnieniu.

Zwierzaków mieliśmy rzeczywiście pod dostatkiem.

Wspomniane już psy dostarczały nam masę radości. Kiedyś, gdy Anita miała szczeniaki, były umieszczone w kojcu obok drwalki. Któregoś dnia była niewyraźna pogoda, a ja właśnie bawiłem się z tymi psiakami. Tym razem również kotłowałem się z nimi w zagrodzie, więc gdy zaczął padać deszcz, schowaliśmy się razem do budy i tam również razem zasnęliśmy. Mama zaniepokojona, że nie wracam z ogrodu mimo padającego deszczu, zaczęła mnie szukać w pelerynie, obawiając się, czy nie spadłem z jakiegoś drzewa i nie skręciłem karku. Kiedy mnie nie znalazła pod drzewami, zamiast się uspokoić, była jeszcze bardziej zaniepokojona i zaczęła zastanawiać się, co mogło się ze mną stać. Za furtkę nie było mi wolno wychodzić, więc w końcu musiałem gdzieś być w obrębie ogrodu. Oczywiście bez sensu byłoby szukać mnie po jakichś krzakach, bo byłem już na tyle duży, że z pewnością bym w nich ani nie utknął, ani się nie zgubił. Wreszcie po sprawdzeniu wygodki, łącznie z dołem pod spodem, trzech komórek i piwnicy piętra u ciotki nie pozostało nic innego jak psi kojec. Okazało się, że rzeczywiście wylazłem z budy zaspany, a towarzyszyło mi kilka obudzonych szceniaków.

Bardzo dużo było wiewiórek, skakały z gałęzi na gałąź, huśtały się na wiotkich pędach dzikiego wina i oczywiście były na tyle zręczne, żeby unikać kontaktu z biegającymi po całym ogrodzie psami. Na sośnie przed kuchennym oknem był gruby jak moja ręka, podobny do liany „pień” dzikiego wina. Powiesiliśmy na nim duży kawał chleba i można było obserwować, jak wiewiórki korzystają z poczęstunku. Stopniowo oswajały się z nami i po pewnym czasie można było dawać im orzecha czy skórkę od chleba z ręki.

Kiedyś nawet znalazłem młodą wiewiórkę, która musiała wypaść z gniazda, i próbowałem ją wychować, jednak nie wiedziałem, że mleko krowie jest dla nich zbyt intensywne i tym samym zabójcze. Z wielkim smutkiem przeżyłem jej śmierć i pogrzebałem ją w specjalnym miejscu w ogrodzie.

Ptaków było bardzo dużo. Na wielkiej czereśni, która rosła przed oknami naszego pokoju, ojciec zbudował duży karmnik pokryty papą, w którym gościły

najprzeróżniejsze ptaki. W zimie staliśmy w oknie i patrzyliśmy na pojawiających się tam gości. Dopiero teraz dowiedziałem się, że ptaków nie należy karmić chlebem. W tamtych czasach być może chleb był zdrowszy, a poza tym ilość odwiedzających karmnik ptaków zapewniała stałą rotację tego pokarmu. Bardzo często w kuchni kroiliśmy stare pieczywo w kostkę i wsypywaliśmy do tego karmnika. Czasami pojawiały się nawet gawrony, jednak główną klientelę tworzyły sikorki, wróble, sierpówki, zięby i inne ptaki, których za bardzo wtedy jeszcze nie potrafiłem rozpoznać. Wydarzeniem było pojawienie się któregoś dnia parki zielonych dzięciołów.

Przed oknem mojej klitki rósł z kolei krzew, którego ziarna stanowiły najwyraźniej przysmak wagabundów naszego klimatu, i co roku obserwowałem na nim żerujące gile, a któregoś roku pojawiło się tam nawet stadko jemiołuszek.

W lecie ze wszystkich stron słychać było ptasią symfonię, nie wyłączając nocy, gdy w koronach sosen zawodziły puszczyki.

Któregoś letniego poranka obudziłem się, słysząc za otwartym oknem jakieś skrzywienie. Wyjrzałem, ale niczego nie zauważyłem. Szybko umyłem się, ubrałem i wybiegłem na zewnątrz. Niedaleko mojego okna przebiegała rynna i to z niej dochodziły te zagadkowe dźwięki. Coś drapało na wysokości około 1,5 m. Sprytnie wzięłem odpowiedniej długości witek i przez załamanie rynny wetknąłem ją do środka. Dziobnąłem i nagle rozległ się straszliwy zgrzyt, a w otworze wylotowym pojawiły się dwie szponiaste nogi. Byłem trochę wystraszony. Mamy akurat nie było w domu, więc pobiegłem do mamy Piotrka. Opowiedziałem jej o tym zjawisku, a ona niewiele się namyślając, wzięła grube filcowe rękawice i ruszyła na pomoc. Bez wahania chwyciła za sterczące nogi i jak korek z butelki wyciągnęła z rynny dorodnego puszczyka. Sowa musiała na górze przy wlocie zagapić się albo zasnąć i zsunęła się z piętra aż na poziom parteru. Wyciągnięta sowa, całkowicie nieuszkodzona, poleciała szybko do jedyne go ciemnego miejsca, którym były otwarte drzwi do naszej drwalki. Pobiegłem szybko i zamknąłem drzwi, potem podziękowałem mamie Piotrka. Później wieczorem wypuściłem sowę na wolność i tak zakończyła się ta przygoda.

Na tym jednak nie skończyły się doświadczenia z puszczykami. Kiedyś w kojcu psów usłyszałem wieczorem uporczywe ujadanie. Poszedłem zobaczyć, co się dzieje, i okazało się, że do kojca wpadła młoda sowa, którą atakował wyżeł. Nie miał jednak odwagi zbliżyć się do niej, bo nadymała się i syczała zjadliwie. Złapałem ją do siatki i zaniósłem do domu. Gdy wypuściłem ją w kuchni, natychmiast poleciała - czy bardziej chyba podreptała - do pokoju, gdzie pod szafą było całkiem ciemno. Ją tak samo posadziłem wieczorem na płocie, licząc na to, że zaopiekują się nią jej rodzice.

Miewałem oczywiście rozmaite młode ptaki: synogarlicę, kawkę czy wróbla, jednak nawet karmienie wróbla, który wypadł z gniazda, muchami i komarami skończyło się smutno jego śmiercią. Od tego czasu przestałem brać młode zagubione ptaki i starałem się zostawiać je gdzieś na gałęziach, gdzie miały szansę wrócić pod opiekę rodziców.

Ta opieka miała czasami bardzo zabawne momenty. Wielokrotnie miałem okazję obserwować szkółki latania. Był to fantastyczny spektakl, gdy młodzież siedziała na jednej gałązce, wrzeszcząc rozpaczliwie ze strachu, a na innej, niedaleko od pierwszej, siedzieli rodzice, którzy starali się równie hałaśliwie dodawać smarkaczom otuchy do podjęcia ryzyka.

Nie wszystkim jednak zwierzętom było u nas przytulnie; kiedyś znalazłem martwego jeża, którego pomimo jego obronnych kolców zamordowały psy.

W ogrodzie przy kranach z wodą były dwa kręgi. Krąg w części owocowej był wysoki i można było się w nim teoretycznie, po napuszczeniu wody, kąpać.



*Krąg ogrodowy*

Drugi krąg w części kwiatowej był wpuszczony w ziemię, tak że wystawało go jakieś 10 cm ponad trawę. Był niestety pułapką dla żab, a szczególnie ropuch, które z ropuszej ciekawości próbowały sprawdzić, co jest w środku, i kończyły beznadziejnie na dnie. Ropuchy nie były zwierzątkami szczególnie sympatycznymi i dlatego wtedy mimo wychowania biologicznie-naturalnego nie darzyłem ich szczególną sympatią.

Ojciec, dbając o zachowanie tradycji dzieciennych, zrobił nam tak zwaną wiuchę, której sam używał w dzieciństwie. Była to ludowa wersja dawidowej procy, składającej się z dwóch sznurków, skórki na pocisk, pętelki i węzela. Pętelkę zakładało się na palec wskazujący i kciukiem przytrzymywało węzełek. Po rozkręceniu nad głową puszczało się w odpowiednim momencie kciuk i pocisk gnał w przestrzeń. Ojciec opowiadał, że zręczny strzelec mógł bez trudu trafić zawieszoną na sznurku butelkę, a wyjątkowo zręczny mógł trafić nawet wronę, po której zostawała tylko kupka pierza. Trzeba zdać sobie sprawę, że taki pocisk był wielokrotnie cięższy od kamyka z gumowej procy, więc impet trafienia takim kamieniem był nieprawdopodobny. Można było łatwiej zrozumieć, dlaczego zginął niejaki Goliat.

Jeździliśmy na pobliskie stawy rybne, żeby rzucać kamieniami do kaczek, ale miały one chyba niezły ubaw, gdy kamienie spadały znacznie bliżej, niż one zwykły pływać.

Teraz muszę przyznać się do grzechu, gdyż niejedną raz zdarzało mi się taką wydobytą z kręgu ropuchę umieścić na skórce na pocisk i wyprawić ją w podniebną podróż. Nie sprawdzałem skutków tego hazardu, ale dzisiaj staram się o tym nie pamiętać.

## Szkoła

Czas beztróskiego bycia skończył się i któregoś września trzeba było iść do szkoły. Mieściła się ona w drewnianym baraku, który pozostał po administracji niemieckich składów amunicji. Składy zostały przed nadejściem Armii Czerwonej wysadzone w powietrze i Krzysztof opowiadał, że po przyjeździe z Kazachstanu widział jeszcze rozrzucone po okolicy pociski i niewypały. Zostały one usunięte, jednak na piaszczystym boisku szkolnym można było znaleźć sporo rozsianego prochu strzelniczego.

Było tego wiele rodzajów: czarne laski, żółte kwadraciki, mniejsze, metalicznie połyskujące czarne kwadraciki i szczególnie poszukiwane kółeczka z otworem, które można było nanizać na drucik.

Znaleziony proch używaliśmy do tak zwanych kopciuchów. Sprawa była bardzo prosta: zawijało się zgromadzoną garstkę prochu w kawałek papieru, podpałało i przydeptywało nogą. Wykwitała wtedy piękna fontanna jasnego dymu. Kopciuchy były niemiłe widziane przez ciało pedagogiczne i trzeba było uważać, żeby się nie dać nakryć.

Cała okolica była bogata w pozostałości wojny i specjaliści znali miejsca w lesie, w których można było znaleźć dużo czubków do pocisków karabinowych. Każdy szanujący się chłopak miał trochę takich skorodowanych pamiątek. Bardziej wtajemniczeni znaleźli w lesie miejsca, w których można było wyciągnąć z ziemi klisze lub całe długie laski prochu. Były one w kolorze jakimś takim zielonkawo-żółtym i ich zbiór był znacznie bardziej owocny niż kurze wydziobywanie ich z piasku na szkolnym boisku.

Było również dużo niewypałów, przed którymi ostrzegały filmiki wyświetlane w szkole, jednak nie powstrzymywało to szaleńców od prób znalezienia w nich trotylu, który wydłubywali śrubokrętem. Trotyl oczywiście nie był do niczego przydatny, bo eksplodował tylko za pomocą zapalnika.

Mój przyjaciel Piotrek wybrał się kiedyś motorowerem z kolegą Andrzejem do lasu, gdzie mieli upatrzony pęknięty pocisk artyleryjski, i zaczęli dobierać się do trotylu. Nagle ukazał się ołowiany walec. Oczywiście waleczni chłopcy zaczęli dziubać weń śrubokrętem, aż pojawił się czerwony proszek. Był to piorunian rtęci, który jest bardzo czuły na uderzenia. Za którymś razem zapalnik wybuchł. Piotrek, który akurat dziubał, ucierpiał najbardziej. Miał ogromne szczęście, bo mimo że poszarpało mu jedną dłoń, a odłamek zrobił mu głęboką rysę na skroni, nie stracił przytomności umysłu. Andrzej, który przyglądał się, miał również nie mniej szczęścia, bo mały odłamek ołowianego cylindra trafił go tuż nad okiem. Andrzej padł jak ścięty, tracąc przytomność. Piotrek, cały pokrzwawiony, jakoś dobudził Andrzeja, wsadził go na motorower i tą swoją poharataną ręką potrafił jeszcze zmieniać biegi. Dojechał do domu Andrzeja, gdzie został prowizorycznie opatrzony. Obaj mieli cholerne szczęście, że wybuchł tylko zapalnik, a nie reszta trotylu w skorupie. Było mi bardzo przykro, i chociaż z jednej strony podziwiałem hart ducha Piotrka, to z drugiej strony bardzo nie podobała mi się głupota obchodzenia się z niewypałami.

Początek szkoły był dla mnie oczywiście wielką przygodą, nowym pachnącym tekturowym tornistrem, w którym grzechotały pierwsze książki i zeszyty, w tym elementarz Falskiego.

Zasiadłem w ławce, ale przyzwyczajony do swobody w moim wspaniałym ogrodzie, miałem trudności ze znalezieniem sobie jakiejś wygodnej pozycji i skupieniem się przez całe 45 minut.

W jednej ławce siedziałem z niejakim Zgódką, z którym rozumieliśmy się od początku bardzo dobrze, i bez trudu udawało nam się wymyślać jakieś głupoty, które dawały powód do śmiechu. Ja śmiałem się chętnie, lecz Zgódka dysponował zdolnością zastygania w powadze; jeśli na tę jego twarz spojrzełam, chichotałem nieprzytomnie.

Pamiętam jedno z pozornie idiotycznych haseł „kangury mają w skarpetkach dziury”, które rozśmieszyło mnie do łez, lecz jak dowcipniś dorobił do tego jeszcze „mają w skarpetkach góry”, nie byłem w stanie się opanować. Oczywiście kolega z kamienną twarzą zachował powagę, natomiast ja, piszcząc ze śmiechu, zostałem wyrzucony z klasy i na dokładkę dostałem jeszcze uwagę w dzienniczku.

Obowiązek jej podpisania był wybitnie nieprzyjemny, ale starałem się wybrać jakiś moment, w którym mama była czymś zaprzątnięta, i dzięki temu udawało mi się uniknąć większych konsekwencji.

Opowieść o „kamiennej twarzy” przetrwała do czasów, gdy mój mały brat mówił już swobodnie. Widocznie nie mógł sobie wyobrazić kogoś z twarzą z kamienia i pewnie przez sąsiedztwo ogrodowego muru przerobił to po swojemu na „ceglaną twarz”.

Nauka szła mi jako tako, chociaż nie byłem nadzwyczajnie zaangażowany w pochłanianie wiedzy, radziłem sobie bez poważniejszych problemów. Specyficzne, w porównaniu z dzisiejszymi zwyczajami, było to, że oczywiście z zadaniami domowymi musiałem radzić sobie absolutnie sam, bo nikomu nie przyszło nawet na myśl, żeby siedzieć ze mną przy odrabianiu lekcji czy w inny sposób pomagać mi w nauce.

Nasza wychowawczyni pani Elżbieta pozostała dla mnie absolutnym wzorcem pedagoga. Była osobą z ogromnym sercem i jego część udzielała się nam wszystkim.

Kiedyś wybraliśmy się na wycieczkę całą klasą do pobliskiego lasu. Nie pamiętam, jakie było hasło tej wycieczki (chyba wiosna), w każdym razie wędrowaliśmy przez zieleni w jakimś określonym celu. Jeden z moich kolegów, chyba już przynajmniej drugoroczny, zauważył przejeżdżającego na rowerze gościa, którego chyba nie lubił. Chwytał kawał grubego kija i rzucił nim w tego nielubianego, tymczasem ja znalazłem się na trasie lecącego korzenia. Rowerzysta uszedł bez szwanku, natomiast ja oberwałem niezły cios w łeb. Pani Elżbieta bardzo się przejęła i po powrocie do szkoły przecierała mi rozmaite dziury w skórze wodą utlenioną. W czasie zabiegu poprosiłem ją, żeby nie karała Zbyszka za ten czyn, bo przecież tego nie chciał.

Na drugi dzień przed całą klasą nauczycielka przedstawiła moją postawę za wzór szlachetności i od tego czasu ów Zbyszek był moim wiernym kolegą.

W drodze do sklepów, przy stacji kolejki, były schodki, na których często przestawali koledzy Zbyszka, którzy młodszym chłopcom zadawali lakoniczne pytanie "chcesz w ryj?". Najczęściej niezależnie od chęci delikwenta otrzymywał to, co było proponowane. Od czasu leśnego zdarzenia ja nigdy więcej nie dostałem takiej propozycji.

Mój brat Jurek starał się uczęszczać do przedszkola, jednak po krótkim czasie okazało się, że zamiast integrować się z koleżeństwem, siedział cały czas u kucharek, które traktował prawdopodobnie jako erzac mamusi.

Odprowadzanie i przyprowadzanie brata z przedszkola miało jedną zaletę. Idąc tam, mijałem ogród, w którym był wielki indor. Ptaszysko reagowało na gwizdanie, więc nie mogłem się powstrzymać, żeby przechodząc tamtędy, nie zagwizdać. Indyk zawsze, jak nie za pierwszym, to już za drugim gwizdnięciem stroszył się, nadymał, czerwieniał i wściekle gulgotał.

Niestety ta trasa nie zawsze była taka miła, gdyż któregoś razu idąc po Jurka, natknąłem się na grupkę chłopaków pod przywództwem skądinąd znanego w kraju i za granicą pretendenta do pałacu prezydenckiego Tymińskiego, który chodził do starszej klasy w naszej szkole. Zadali mi sakramentalne pytanie i gdy nie mogłem się zdecydować, nie czekając na odpowiedź, dali mi po prostu w ryj. Na szczęście nie było to zbyt mocno, więc dotarłem do przedszkola w normalnej kondycji, ale tym razem jakoś nie bardzo chciało mi się gwizdać na indyka.

W szkole po pierwszej fazie pisania ołówkiem zaczęliśmy skrobać atramentem za pomocą obsadek ze stalówekami. W każdej ławce znajdował się pośrodku otwór, w którym tkwił szklany kałamarz.



*Faza „ołówkowa” – brak jeszcze kałamarzy*

Ceremonia uzupełniania atramentu polegała na tym, że wszyscy ustawiali się w kolejce z kałamarzami, a woźny z wielkiej butli nalewał do nich przez lejek atrament. Niestety nie wszystkie kałamarze były zdatne do użytku, dlatego że nudzące się dzieciaki wpychały do nich kawałki papieru, bibuły i rozmaite inne paskudztwa. Zanurzenie stalówki nie dawało żadnego efektu poza paprochami i kleksami. Wtedy



trzeba było taki kałamarz próbować wyczyścić i pójść do woźnego po atrament i odpowiednią reprimendę.

Do ścierania tablicy służyła duża gumowa gąbka i dyżurny miał obowiązek dbać o to, żeby była stale wilgotna. Pewnego razu z kolegą, już po lekcjach, ustawiliśmy jeden na drugim kilka zapchanych kałamarzy i próbowaliśmy trafić je tą gąbką. W końcu się udało, ale w jednym z nich był jeszcze atrament. Zaczęliśmy w panice usuwać plamy ze ściany, ale z desek nie schodziły. Na szczęście nie tylko atrament, ale i sprawa przyschła bez „śledztwa” i uszło nam to na sucho, i tylko ściana patrzyła na nas z wyrzutem na każdej lekcji.

Stalówki były różne. Najpopularniejsze były tak zwane *serki* w dwóch wersjach: srebrne niklowane i żółte. Te żółte były znacznie lepsze, ale najlepsze były tak zwane krzyżówki, miały one kształt rombu, a pośrodku krzyżyk. Tymi pisało się najcieniej i najrówniej. Serki były do dostania w każdym kiosku Ruchu, natomiast krzyżówki były towarem rzadkim i ekskluzywnym i trzeba było je gdzieś zdobywać.

Następnym etapem było zezwolenie na pisanie wiecznym piórem i pamiętam, gdy pisaliśmy wspólnie list do Marysi, która była akurat w szpitalu. W jednym z punktów chwaliliśmy się, że wolno nam już pisać wiecznym piórem. To chyba było w piątej klasie. Oczywiście warunkiem dopuszczenia były odpowiednie wyniki w posługiwaniu się obsadką.

Szkoła składała się z dużej sali, z której wchodziło się do poszczególnych klas. Towarzyszył temu odpowiedni rytuał: na dźwięk dzwonka wszyscy musieli stanąć bez ruchu na baczność, a jedna wyznaczona osoba wywoływała na przykład: „Wchodzi klasa druga A” i dopiero wtedy klasa udawała się do swojego pomieszczenia.

Na początku jeszcze przed rozpoczęciem lekcji odbywały się apele i starsi koledzy w czerwonych krawatach czytali coś, co nas zupełnie nie obchodziło. Bywały też akademie, ale nie zostawiało to żadnych trwałych śladów, i pozostało jedynie specyficzne zakończenie przerw.

Obydwaj z Piotrkim byliśmy w harcerstwie. Zaczynało się wszystko od zuchów. Na szczęście czas czerwonych krawatów przeminął i mogliśmy być zwykłymi harcerzami.



*Moja pierwsza w życiu legitymacja*

Rodzice kupili mi mundurek, pas harcerski, finkę i czapkę.





*Finka była bardzo zgrabna i dumnie nosiłem ją na pasku.*

Piotrek dostał motorower marki Simson. Była to, nawet jeśli spojrzeć na to z dzisiejszej perspektywy, świetna maszyna. Miała piękny kształt i rzeczywiście było czego zazdrościć.



*Simson*

Ja niestety nie miałem najmniejszych szans na to, żeby choćby pomyśleć o czymś podobnym, ale korzystając zasobów Piotrka, mogłem czasem przejechać się na bagażniku.

Kiedyś wracaliśmy z warty harcerskiej przy lokalu wyborczym do domu na obiad - ja właśnie na bagażniku. Nogi wisały mi bezpośrednio nad ziemią i w pewnym momencie (Simson był doskonale resorowany) trafił się dołek i moje nogi zmęczone podkurczaniem zetknęły się ze ścieżką. Gwałtownie straciłem kontakt z motorowerem, ale zyskałem za to brutalny kontakt ze ścieżką. Przez następne dwa tygodnie bolały mnie obydwa kolana i broda, która z całej twarzy najwcześniej zderzyła się z podłożem.

Chodziliśmy z Piotrkiem na zbiórki i było bardzo przyjemnie, wbrew niektórym twierdzeniom nie było żadnej czerwonej indoktrynacji. Nie mogę również powiedzieć, że było wręcz przeciwnie, ale koncentrowaliśmy się na podstawowych zadaniach harcerza. Uczyliśmy się wierszy i piosenek z powstania warszawskiego, ale na zdobywanie sprawności potrzebny był krzyż harcerski.

Został wyznaczony termin uroczystości, która poprzedzona była nocnym marszem jako inicjacja harcerza. Niestety moja mama nie pozwoliła mi wziąć w tym udziału. Obawiała się pewnie wizji samotnego synka nocą w leśnych ostępach, natomiast mama Piotrka po prostu mu towarzyszyła i on zdobył upragniony krzyż.

W lecie zorganizowany został biwak. Mieliśmy spędzić weekend w namiotach nad brzegiem strugi, która nazywała się Zimna Woda. Był chyba czerwiec i pogoda była przepiękna. Obóz został urządzony przez starszych kolegów. Była tam kuchnia, jadalnia i inne atrybuty obozu, łącznie z komendanturą. My z Piotrkim rozbiliśmy nasz namiot dwójkę i zgodnie z wytycznymi okopaliśmy go starannie saperką.

O jedzeniu nie będę zbyt wiele opowiadał, dość że nasze menażki musieliśmy myć w tym strumieniu, który nie bez przyczyny tak się nazywał. Menażka umyta w lodowatej wodzie w zasadzie nie zmieniała swojego stanu, który trwał do następnego posiłku.

Mieliśmy rozmaite zajęcia, jednak w niedzielę zaczęło się trochę chmurzyć. Proces ten gwałtownie przyspieszył i rozpętało się piekło. Silny wiatr niósł krople deszczu z niesamowitą prędkością, która wystarczyła, aby cząsteczki wody przedostawały się przez płótno naszego namiotu. Byliśmy w strachu, bo rzeczywiście nawałnica była niezwykle gwałtowna. Popędziliśmy do dużego namiotu stołówki, który był już pełen innych uciekinierów. Trzymaliśmy słupki, aby nie pozwolić wicherze porwać naszego schronienia. Na szczęście namiot stał pośrodku polany, tak że nie był bezpośrednio narażony na brutalność wiatru. Burza jak nadeszła, tak minęła. Nasz namiot, o dziwo, stał nietknięty i dopiero gdy zajrzeliśmy do środka, okazało się, że szczelna podłoga, z której byliśmy tak zadowoleni, zatrzymała wodę, która dostała się przez dach namiotu. Wszystko co mieliśmy: koce, śpiwory, ubrania pływało w wannie stworzonej przez wodoszczelną podłogę. Na szczęście pojawiła się opatrznościowa mama Piotrka z suchymi ubraniami i zabrała nas do domu.

Do zadań harcerzy należała - poza uczestnictwem w zbiórkach i uczeniem się, idiotycznych czasem, piosenek o jakiejś Ninie Nikolinie i karawanie - służba przed lokalami wyborczymi. Trzeba było „odkukać” swoje dwie czy cztery godziny, a czasem trzeba było iść po kogoś, kto nie chciał albo nie mógł przyjść na wybory.

Było nas w jednej klasie 30 do 40 osób, ale nie czuliśmy się jakoś specjalnie stłoczeni. W lesie były dwie letnie klasy, w których stały normalne ławki okolone żywopłotem. Niestety rzadko odbywaliśmy tam lekcje, ale taka możliwość istniała cały czas.

Przed szkołą rosły rozłożyste sumaki i amatorzy jesienią nadgryzali kwaśne włochate owoce. Drzewa te były piękne, gdy zmieniały kolor na głęboką czerwień.

Na drodze do szkoły było duże zagłębienie, w którym w czasie jesiennych słońc zbierało się dużo wody. W zimie służyło to jako całkiem duże lodowisko. Na wiosnę pokrywa lodowa słabła i skaczące po niej dziesiątki dzieciaków powodowały jej spękanie. Leżąc na znajdującej się pod nią wodzie, lód falował wraz z nią. Niektórzy ryzykanci próbowali obcasem przebić ten kożuch, ale gdyby się to im udało, strumień wody pod ciśnieniem mógłby ich wyrzucić do Gagarina.

Tego typu musieliśmy oczywiście oglądać z wielkim nabożeństwem. Natomiast ze łzami w oczach słuchałem szczerki skazanej na orbitalną śmierć Łajki.

Z tyłu szkoły był ogródek, w którym na lekcjach biologii mogliśmy zapoznawać się z uprawą i morfologią rozmaitych roślin użytkowych. Miałem serdecznie dosyć własnych upraw domowych, ale sama biologia była bardzo interesująca.

Poza lekcjami „naukowymi” odbywały się tak zwane lekcje wychowania fizycznego, brakowało jednak z reguły nauczyciela tego przedmiotu, więc lekcje sportowe ograniczały się do tego, że któryś z nauczycieli dawał nam, chłopcom, piłkę. Najchętniej bawiliśmy się wtedy w takie lokalne rugby. Nie było żadnych reguł poza jedną – „Huzia na tego z piłką!”. Posiadacz piłki zmieniał się, gdy ją stracił, i zabawa szła dalej. Wracaliśmy do klasy podrapani i potargani, ale szczęśliwi.

Dziewczyny miały lekcje osobno na sali, ale nie interesowaliśmy się tym, co tam robiły.

Gdy jednak pojawiał się ambitniejszy nauczyciel, w młodszych klasach była to jeszcze wspólna gra w dwa ognie.

W wyższych klasach chłopcy dostawali czerwone i zielone szarfy do gry w piłkę ręczną. Graliśmy na boisku, na którym znajdował się nie tylko proch, ale i piasek do kostek. Rozgrywaliśmy „mecze” między dwiema klasami.

W każdej klasie byli tak zwani przerośnięci, to jest tacy, którym zdarzyło się zostać nie tylko na jeden rok w jednej klasie. Byli od nas znacznie wyżsi i mocniejsi. Odpowiednio do tego odbywały się te gry, to znaczy jeden z przerośniętych łapał piłkę, kozłował ją do przeciwległej bramki i strzelał gola. Bramkarz podawał ją swojemu przerośniętemu, który biegł do drugiej bramki i tam strzelał gola, i tak dookoła Wojtek. Przerośnięci starali nie wchodzić sobie w drogę, jednak kiedyś zdarzyło się, że Traczyk z przeciwnej klasy wpadł na naszego pośrodku boiska i wynikła solidna bijatyka podsycana dopingiem obu klas. Obaj nieźle oberwali, ale wrócili do szkoły na kolejne lekcje.

Dalszy ciąg tego zdarzenia nastąpił dość szybko, mianowicie nasz przerośnięty pseudonim Dydy miał w siódmej klasie kolegę, który miał ksywkę Lisiura. Tenże w obronie swojego kumpla poczekał na Traczyka po lekcjach i spuścił mu solidne manto. Wydawało się, że na tym sprawa się skończy, niestety Traczyk miał jeszcze starszego kolegę, który był już w wojsku. Wezwany przez poszkodowanego szeregowy Małecki zjawił się kiedyś po szkole i skopał Lisiurę. Zaniepokojony dyrektor wybiegł ze szkoły i chciał interweniować, ale napastnik odwrócił się spytał delikatnie: „Chcesz w ryj!”. Był to, jak widać, dość popularny zwrot w komunikacji, skierowany z reguły przez fizycznie dominującego do potencjalnej ofiary. Dyrektor skwapliwie wrócił jak niepyszny do szkoły, grożąc, że zadzwoni po milicję.

Takie sceny były rzadkością, jednak oczywiście na porządku dziennym były różnice zdań i drobne potyczki. Zachowywane były przy tym pewne reguły. Jeżeli mieliśmy jakieś nieporozumienia między chłopakami, umawialiśmy się „po szkole w żarnowcach”. Nieopodal szkoły było duże pole zarośnięte gęsto wysokimi żarnowcami, w których uczniowie szkoły podstawowej mogli bez trudności się schować. Pojedyunki odbywały się w asyście kolegów, którzy trzymali tornistry obydwu delikwentów. Obaj próbowali trafić lub przewrócić przeciwnika. Nie zależało nam na zrobieniu komuś krzywdy i nie było mowy o kopaniu, tylko po prostu chodziło o wykazanie swojej przewagi. Czasem wracało się do domu z krwawiącym nosem, ale nie do pomyślenia było, żeby poskarżyć się rodzicom czy wyjawić personalia sprawcy. Pojedynek rozładowywał emocje bez jakiegokolwiek szczególnej urazy dla

przeciwnika. Siły były z reguły prawie równe, więc wszystko odbywało się na płaszczyźnie honorowej.

Kiedyś mój kolega Andrzej z sąsiedztwa (ten od cielęciny) skombinował skądś dwie pary bokserskich rękawic i oczywiście trzeba było je niezwłocznie wypróbować. Ring trawiasty u niego w ogrodzie był areną tego pojedynku. Skończył się on jednak bardzo szybko, bo - pewnie przypadkiem - udało mi się trafić go w nasadę nosa i walka skończyła się przez krwawy nokaut techniczny w pierwszej rundzie.

Byliśmy zazwyczaj szczupli i „grubasy” były przedmiotem drwin. Zazwyczaj byli oni dość powolni i można było bez trudu uciec. Jeden z nich z wyższej klasy, kawał chłopca, przezywany był przez biegłych w historii kolegów dźwięcznym mianem Gruby Mendog. Kiedyś mój kolega (cielęcy Andrzej), licząc na swój talent w nogach, zawołał, wydawałoby się z bezpiecznej odległości, grubasa tym mianem. Niestety przeliczył się z szybkością Mendoga i oberwał parę razy solidnie w dziób. Chlipał prawie do samego domu, a ja taszczyłem po przyjacielsku jego zapiaszczony tornister.

W ciągu lat szkolnych pojawiały się rozmaite mody na zabawy, które „zarażały” oczywiście wszystkich czy prawie wszystkich.

Na przykład ktoś kiedyś przyniósł do szkoły *zoškę*. Był to płaski ołowiany ciężarek z dwoma dziurkami i przymocowaną drutem kitką z kolorowej włóczki.



*Nasze były znacznie bardziej kolorowe.*

Podbijało się ją wewnętrzną częścią buta do góry. Najręczniejsi potrafili podbijać tak wiele razy. Grało się też w kólecisku i wtedy podawało się *zoškę* od jednego do drugiego. W niedługim czasie wszyscy chłopcy mieli przynajmniej jedną taką *zoškę*. Ołowiu było dosyć, bo wszędzie walały się resztki kabli energetycznych, a włóczkę podbierało się mamom. Dzięki różnym kolorom łatwo było rozpoznać, która jest czyja. Mój przyjaciel Piotrek, który zawsze technicznie był daleko przed wszystkimi, robił *zoški*, w których ciężarek był odlewany z ołowiu, w którym już były zatopione druciki do przymocowania włóczki.

Kiedyś w kiosku Ruchu pojawiła się oranżada w proszku. Były to małe torebki z proszkiem w dwóch smakach – pomarańczowym i cytrynowym.



*Może i była orzeźwiająca, ale gdy się ją rozpuściło w wodzie.*

Przeznaczona była do rozpuszczania w wodzie, jednak znacznie smaczniejsza była piana powstająca na języku. I znów w niedługim czasie każdy uważał za punkt honoru, żeby mieć przy sobie przynajmniej ze dwie torebki tego przysmaku. Kiedyś jeden z kolegów, zagrożony rabunkiem, wsypał sobie całą torebkę do ust i musująca zawartość bez mała zaczęła mu się wydostawać przez nos. Trzeba było go walić w plecy, żeby się nie udusił.

Kiedyś w kiosku pojawiła się tabaka. Była artykułem cennym, bo paczuszka kosztowała znacznie więcej niż torebka oranżady. Jeżeli któremuś z kolegów udało się ją zdobyć, to handlował tabaką z innymi, wymieniając mniejsze lub większe szczypty na inne przydatne przedmioty, jak stalówki, obsadki czy inne tego typu rzeczy. Kiedyś jeden z kolegów akurat stał się właścicielem solidnej porcji tabaki, którą trzymał w papierku, a inny dowcipniś klepnął go w rękę, tak że cała ta tabaka trafiła koledze do nosa i do ust. Kichał potem, kasłał i płakał. Wychowawczyni na lekcji pytała, dlaczego ma takie czerwone oczy, ale oczywiście nie przyznał się, bo rozrywki tytoniowe były surowo zabronione.

Fantazja wynalazców wydawała się wręcz nieograniczona.

Ktoś wykombinował dziwny przedmiot składający się z owiniętych nitką czterech zapalek, umieszczonej w nich igle i statecznika z papieru. Ta lotka w naszej drewnianej szkole idealnie nadawała się do rozmaitych zabaw. Umiejętnie rzucona, bez problemu wbijała się zarówno w ściany, podłogę, jak i w sufit.

Inną zabawą było strzelanie z zamocowanej na kciuku i palcu wskazującym gumki. Zaczęło się od tego, że strzelało się zwiniętym i zagiętym w formie haczyka papierem. Korzystało się z tego chętnie na nudnych lekcjach, a celem byli szczególnie pilni koledzy i koleżanki. Niestety wkrótce zmysł techniczny spowodował ewolucję tego „wynalazku”. Gumki stawały się coraz silniejsze, a papierowe haczyki zastąpiły kawałki aluminiowego drutu. „Niewinne” pstrykanie koleżankom w karczki stało się bolesne i niebezpieczne. Drutów aluminiowych z czasu elektryfikacji poniewierano się wszędzie pełno, więc „amunicja” była powszechnie dostępna. Używanie tych proc zostało surowo zabronione i już za samo posiadanie można było zarobić soczystą karę. Zresztą za rzutki podobnie, dlatego że istniała obawa, iż ktoś może podstawić pod taki pocisk swoje nieuważne oko.

Świetną konstrukcją był pojazd, któremu wynalazca nie nadał jakiegoś imienia, ale nazywaliśmy go czołgiem albo żukiem. Składał się z drewnianej szpulki po nici, kawałek świecy, gumki i dłuższego patyczka lub drutu. Gumkę przewlekało się przez otwór szpulki i mocowało po drugiej stronie za pomocą na przykład zapałki. Po drugiej stronie był plasterek świecy, który stanowił rodzaj łożyska ślizgowego. Kawałek patyka, który opierał się o podłogę, powodował, że szpulka kręcąc się, poruszała się do przodu. Jak skręciło się solidnie gumkę, to pojazd pokonywał odległość metra lub więcej. Na przerwach robiliśmy zawody na odległość. Czasem, gdy pojazd natrafił na szparę w drewnianej podłodze, potrafił się kręcić w miejscu, więc Piotrek sporządził oczywiście wariant high-tech i na szpulkę naciągnął skrawki dętki rowerowej, które na dokładkę ponacinał, tworząc pewien rodzaj bieżnika, i jego szpulka poruszała się bez najmniejszych problemów w każdych warunkach.

Kiedyś na lekcji prac ręcznych ktoś wypuścił takiego żuka i zauważyła to nauczycielka. Zabrała mu zabawkę i postawiła na stole, ale zaraz pojawił się u innego kolegi następny. Obydwa postawione na stole dalej pracowały, i na zmianę to jeden, to drugi spadał na podłogę. Pani była u kresu wytrzymałości, a jak zobaczyła wypuszczoną w sposób skoordynowany drużynę żuków, które zbliżały się do niej w przejściu między ławkami, z krzykiem wybiegła z klasy i wróciła z dyrektorem.

Lekcje prac ręcznych były śmiertelnie nudne. Dość powiedzieć, że chyba przez trzy lata wystarczyło, że pokazywałem grzybek i skarpetę, którą teoretycznie zamierzałem cerować, i to zupełnie wystarczyło. Nietrudno jest więc zrozumieć, że mieliśmy wtedy nieokiełznane skłonności do robienia różnych głupot. Skarpeta przetrwała nienaruszona te trzy lata i na koniec podarowałem ją dziadkowi do pielęgnacji samochodu.



*Historyczny grzybek z prac ręcznych uchował się w mamy pudełku z szyciem.*

Handel wymienny kwitł cały czas, wymienialiśmy zośki na stalówki, stalówki na pacuszki oranżady w proszku i tak dalej, ale szczególnym towarem były znaczki pocztowe, które każdy w chłopaków w jakimś tam stopniu starał się zbierać. Piotrek był oczywiście w czołówce; my wszyscy mieliśmy tylko swoje albumy, on już dostał klaser, w którym mógł kompletować serie i znaczki, które były w tym klaserze zaznaczone.

Kolega Sadkowski miał jakieś tajemnicze źródło wyjątkowo pięknych znaczków San Marino. Trójkątne, kolorowe i przedstawiały psy. Oczywiście ich wartość wymienna była niebotyczna, ale w sposób może niezbyt elegancki robiliśmy wokół niego na przerwie sztuczny tłok i wymachiwaliśmy wszyscy swoimi znaczkami, jakimiś tam angielskimi z królową i tak dalej. Korzystając z zamieszania, zamienialiśmy na przykład 10 królowych, które wszyscy mieli, na jednego psa San Marino. Po takiej



sesji splądrowany album Stasia i zdezorientowany właściciel pozostawali na placu boju, a każdy ze zdobywców upragnionych znaczków starał się jak najszybciej schować je jak najgłębiej, żeby nie musieć ich oddać.

W siódmej klasie mieliśmy jeszcze jedną zabawę hard-core. Na rozległym terenie szkolnym rosły stare, wielkie sosny. W odległym kącie leżała sterta cegieł z jakiejś rozbiórki. Nie wiem, kto wpadł na ten pomysł, ale kiedyś na dużej przerwie podzieliliśmy się na dwie grupy i zaczęliśmy się obrzucać ułamkami, a nawet połówkami cegłówek, kryjąc się za pniami drzew. Na szczęście nikomu nic poważniejszego się nie stało, chociaż trafione przedramię bolało mnie potem przez ponad miesiąc.

Poza modelarskimi trafiały się też inne choroby. Odry, świnki i ospy zaliczyłem standardowo. Kiedyś na łydce pojawiła mi się masa wypełnionych płynem pęcherzy. Zgodnie z zaleceniami lekarza trzeba było je przekłuwać i smarować takim płynem jak gencjana, tylko czerwonym. Najgorsze były poranki, gdy po wieczornym wyczyszczeniu nogi ze wszystkich bąbli rano pojawiało się jeszcze więcej nowych. Na szczęście dość szybko mi to przeszło i na dokładkę dostałem od mamy w nagrodę za dzielną postawę zielonego plastikowego marynarzyka do kompletu, bo miałem już niebieskiego.

Innym razem zaniemogłem i lekarz zaordynował mi jeden mały kieliszek czerwonego wina dziennie. Pękałem z dumy, ale jak dzisiaj sobie pomyślę o spożywanych dziś wielokrotnościach tego wspaniałego lekarstwa, to chce mi się śmiać.

Innym razem skorzystałem z Jurka szkarlatyny. Nie mogłem chodzić do szkoły, ale za to mogłem pojechać na poranny seans filmu, bo dostanie się po południu było absolutnie nieosiągalne. Chyba było to *Przeminęło z wiatrem*.

Jedna z chorób napiętnowała mnie na całe życie. W siódmej klasie zachorowałem na żółtaczkę – nie wiem, czy A, B, czy C. Musiałem leżeć i przestrzegać ścisłej diety. Było lato i siedzenie w domu, a nawet leżenie na polowym łóżku w ogrodzie było strasznie nudne. Zapelniałem dziesiątki kartek z bloku do rysunków jakimiś paskudnymi próbami przedstawienia czegoś. Może gdybym zachował je do dzisiaj, to ktoś odkryłby we mnie jakiegoś neo-Nikifora, ale wtedy nie było pod ręką żadnego odkrywcy. Dieta była całkiem niezła. Nie mogłem jeść żadnego tłuszczu i mama robiła dla mnie w piecyku z bułki za 2 zł pyszne grzanki, które z miodem i herbatą smakowały wybornie. Gorzej było z obiadem. Babcia wykombinowała gotowane klopsy z mielonej cielęciny sklezione białkiem (żółtka nie wolno, jak wskazuje nazwa choroby). Do nich serwowano odtłuszczony bulion z kaszą manną. Udało mi się przetrwać ten trudny czas bez szwanku, ale wyłączyło mnie to na zawsze z możliwości krwiodawstwa, i nawet ostatnio przy usuwaniu zaćmy musiałem poddać się stosownym rygorom.

## Wakacje

Jednego roku przewidziany był wyjazd na wakacje.



Rodzice spakowali bagaże - ojciec miał ogromny plecak, mama walizeczkę, która pamiętała jeszcze pobyt ojca w ubeckim więzieniu, a ja niosłem najważniejszą siatkę zawierającą podróżną aprowizację. Mama zwykle na podróż robiła wspaniałe kanapki z pieczoną cielęcina od Andrzeja, do tego pomidory, nieśmiertelne jajka na twardo i herbatę w termosie.

Dotarliśmy na Dworzec Główny, na którym kłębił się wakacyjny tłum urlopowiczów. Wszyscy mieli jakieś walizki, tłumoki i inne formy bagażu. Razem czekaliśmy na przyjazd pociągu do Rzeszowa. Z opóźnieniem 45 minut pociąg wtoczył się na peron. Tłum westchnął podniecony i jeszcze przed zatrzymaniem się pociągu zaatakował drzwi do wagonów. Ojciec dzięki solidnym mięśniom i potężnemu plecakowi utorował nam drogę i tylko typkowi, który wskoczył w biegu, udało się wśliznąć do środka przed nami. Potem wszedł już tylko plecak i my. Prawie biegiem pognaliśmy do pierwszego w miarę pustego przedziału, żeby zdążyć przed innymi sprinterami, którzy wsiedli drugimi drzwiami.

Ledwo zdążyliśmy ustawić się w drzwiach przedziału, podszedł do nas jakiś gość, który przegrał wyścig, jednak wydawało mu się, że ma oczywiste prawo do miejsca w przedziale, który udało nam się „zdobyć”. Ojciec próbował mu delikatnie wytłumaczyć, że się myli, ale typ zaczynał się zapalać i wykrzykiwał coraz głośniej. Ojciec jako zapluty karzeł reakcji miał pewne zahamowania, bo nie wiadomo było, czy ten gość nie miał jakiegoś ideologicznego prawa pierwszeństwa, natomiast mama jako repatriant kazachstański obudziła w sobie duszę syberyjskiego tygrysa i rzuciła się na faceta, krzycząc przynajmniej tak samo głośno: „Czego pan tu chce!”, i poinformowała go zdaniem, które pozostało w historii rodziny: „Proszę pana, pan pluje!”. Facet jakoś stracił rezon i poszedł się wyklócać dalej. Przypuszczam, że były to wczesne przypadki women’s lib, i, jak widzimy dzisiaj, rozkwitły one barwnie i przytłaczająco dla „facetów”.

Zajęliśmy miejsca, przygotowując się na wielogodzinną podróż. Jak zwykle w takich razach po pewnym czasie zaczęło się robić nudno. Jeden filuterny współpasażer z przeciwka walnął sztaampą:

„Chłopczyku, jak masz na imię?” .

Odpowiedziałem grzecznie.

„O, jakie ładne imię”.

Równie grzecznie przytaknałem, bo też mi się podobało.

„A powiedz, kogo bardziej kochasz, tatusia czy mamusię?”.

Znudzony tymi sucharami odpowiedziałem (zresztą zgodnie z prawdą):

„Mamusia to wścieklizna, ale tatuś też jest świnią, bo ciągle na mamusi rękę kładzie”.

Przedział zachichotał jak jeden mąż (i żona), a ponieważ było ciemno, nie widziałem min rodziców. Facet próbował jeszcze w jakiś sposób mnie zagadywać, ale uznałem, że po ujawnieniu tajemnic rodzinnych nie muszę już go bardziej wtajemniczać.

Ta opowieść bawiła wszystkich jeszcze przez długie lata, a ja odziedziczyłem po ojcu „łakomą rękę”.

Dojechaliśmy na miejsce.

Ojciec pracował wtedy już w biurze projektów Ministerstwa Rolnictwa i miał dostęp do wczasów pracowniczych w różnych ośrodkach temu ministerstwu podlegających. Takim ośrodkiem był podworski kompleks w Kijanach, w którym mieliśmy zapewnione dwa tygodnie pobytu. Kijany leżały nad Wieprzem. Mieliśmy tam wodę i słońce, jednak rzeka była głęboka i wartka, więc z kąpielą trzeba było uważać.



*Zestaw wakacyjny*

Przed wyjazdem przezornie zaopatrzony przez ojca w żyłkę, haczyk i spławik, zaraz po przyjeździe wyszukałem odpowiednią wijkę i razem z ojcem sporządziliśmy wędkę. Trzeba było gdzieś poszukać robaków na przynętę, ale w cienistych miejscach parku było ich pod dostatkiem.

Na drugi dzień po przyjeździe pogoda była piękna i ruszyliśmy nad Wieprz na pierwsze wędkowanie. Za którymś razem udało mi się nawlec wijącego się robala na haczyk i zarzuciłem wędkę. Po pewnym czasie łożenie za płynącym z nurtem spławikiem zaczęło być nudne. Znaleźliśmy miejsce niedaleko od brzegu, gdzie mały wir kręcił spławikiem i dbał o to, żeby przynęta była w ruchu. Ojciec bawił się w tym czasie z Jurkiem, rzucając kamienie i patyki do wody.

Trzeba było tylko często zmieniać robaki, bo w zagadkowy sposób znikwały z haczyka. Nagle spławik podskoczył i zniknął pod wodą, na chwilę wypłynął i znów zniknął. Ojciec zawołał: „Zatnij!”. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale złapałem za wędkę i pociągnąłem. Poczulem opór i szczęśliwy zacząłem ciągnąć coraz mocniej, i rzeczywiście na końcu zatrzepotała jakaś ryba. Nie była wprawdzie wielka, ale za to pierwsza w życiu! Jak się okazało, był to okoń łakomczuch. Miał mniej więcej długość ojca dłoni, ale mnie wydawał się piękny. Czerwono-pomarańczowe płetwy, zielony pręgowany tułów i kolczasty pióropusz na grzbiecie – po prostu wspaniały. Ojciec pokazał mi, jak należy go odczepić. Miał szorstką skórę, więc nie wyslizgiwał się z rąk. Zapalony sukcesem, nawlokłem kolejnego robaka i zarzuciłem wędkę, niestety prawdopodobnie wyłapałem wszystkie ryby grasujące w tej okolicy i zdarzyło się parę

razy, że splotnik się na chwilę zanurzył, ale mimo że wyciągałem gwałtownie wędkę, nic na niej nie było, a nawet nie było robaka.

W końcu skończyła się przynęta i trzeba było wracać na obiad. Wzięliśmy łup nawleczony na witkę i ruszyliśmy do stołówki. Mama nie chciała nawet patrzeć na naszego okonia, ale ojciec ugadał jakoś kucharkę, która usmażyła mu tego malucha, którego z ogromnym apetytem zjadł przed kolacją.

W innym miejscu, w małym strumieniu dopływającym do rzeki z kryształowo czystą wodą widziałem kłębiące się kielbie, które jednak nie zwracały kompletnie uwagi na przynętę i kłębiły się dalej radośnie.

Później w ciągu tych dwóch tygodni złapałem może jeszcze jedną płótkę, jednego okonia, ale połowy były raczej słabiutki, chociaż jeden raz miałem wielką nadzieję. Myślałem, że mam na haczyku wreszcie jakąś poważną rybę, bo ciągnęła jak szatan. Wreszcie przygotowany na dalsze zapasy już na brzegu zobaczyłem na haczyku małą szarą rybkę, niewiele większą od pierwszego okonia. Byłem trochę rozczarowany. Tym razem był to waleczny jazgarz w kolorze szaro-zielonkawym. Ten maluch miał dosłownie wszystko kolczaste, nawet pokrywy skrzelowe miały solidny kolec.



*Jurek z okoniem*

Było dużo innych ciekawych zajęć. Akurat skończyły się żniwa traw i po raz pierwszy zobaczyłem, jak pozyskiwane są ich nasiona. W normalnej młocarni były, tak jak zboże, wrzucane wiązki trawy i do worków wsypywano wymłócone nasiona.

Oczywiście w Kijanach urlop spędzali też inni rodzice ze swoimi dziećmi i miałem się z kim bawić. Odkryliśmy świetną zabawę polegającą na wydmuchiowaniu przez obcięte puste łądygi jakiejś rośliny zielonych owoców dzikiego bzu. Miało to efekt jak strzelanie z karabinu maszynowego. Polowaliśmy na siebie z pełnymi policzkami „amunicji” po krzakach i zakamarkach, plując i sypiąc zielonymi kulkami.

Tę zabawę oczywiście przenieśliśmy na grunt szkolny po rozpoczęciu kolejnej klasy. Żeby nie być uzależnionym od rośliny z pustymi łądygami i owocami czarnego bzu, usprawniliśmy urządzenie, szukając jakichś aluminiowych albo mosiężnych rurek, a jako amunicji używaliśmy ryżu lub grochu. Niektóre fletyuchy kręciły kulki z przeżutego papieru, a bardziej eleganckie były kulki z plasteliny, które przyklepiały się do lampy lub okularów.

W ośrodku był adapter i wieczorami starsi mogli potańczyć. Miła para młodych ludzi nauczyła mnie tańczyć tango, czy coś w tym sensie. Chyba już do śmierci będę tańczył tylko „w tym sensie”, gdyż absolutnie nie jestem w stanie wystudiować nakazanych kroków, ale chociaż lubię tańczyć, to jednak wychodzi to zawsze jakby „na jedno kopyto”, mimo że przecież mam dwa! Najchętniej „tańczę muzykę” i gdy „...gitarra szarpie moje nerwy...”, to wcielam się w naturę Franka Kimono z marynarą czy bez.

Kiedyś pojechałem z ciotką Hanką do podwarszawskich Lasek. Zakonnica była tam ciotka Ela, siostra babci. Podziwiałem piękne, wykonane przez ociemniałych pensjonariuszy przedmioty i księgi pisane alfabetem Braille'a. Zręczność, z jaką niewidome dzieci pisały w tym alfabecie przy użyciu specjalnego szablonu, była zadziwiająca.

Niestety stopniowo zaczęły narastać oznaki nadchodzącej katastrofy. Zmiana kuchni domowej na zakonną negatywnie wpłynęła na mój proces trawienia. Zakonnice wydawały mi się czymś na pół świętym i nie odważyłem się spytać ich o taką przyziemną rzecz, jaką jest ubikacja. Przez cały dzień próbowałem tłumaczyć fizyczną potrzebę. Rozpaczliwie szukałem jakiejś pozycji, pozwalającej na opanowanie bezlitosnego parcia. Następnego ranka obudziłem się jak noworodek bez pieluchy. Nigdy przedtem ani potem nie modliłem się tak żarliwie, żeby TO ZNIKŁO! Nadaremnie. Obawiałem się strasznych konsekwencji, jednak ciotka Ela uśmiechnęła się tylko wyrozumiale i pogodnie, umyła mnie, zmieniła pościel i na pocieszenia dała mi do pooglądania pięknie ilustrowane wydanie Starego Testamentu. Odprężenie fizyczne i psychiczne było niewiarygodne, a całe zajście pozostało naszą tajemnicą.

## Ogień

Pewnego dnia usłyszeliśmy na ulicy dźwięk syreny. Ulicą Brzozową pędził samochód straży pożarnej, wzniesając chmury czarnego pyłu. Wybiegłem, patrząc, gdzie jedzie. Samochód skręcił w ulicę Kolejową i zobaczyłem wtedy w oddali słup dymu, u którego spodu tańczyły wielkie języki ognia. Palił się jak pochodnia piętrowy drewniany dom, w którym jakaś babcia zostawiła podobno włączone żelazko. Pożar oddalony był przynajmniej o kilometr, jednak moje dziecinne wspomnienia i zalecenia ciotki spowodowały, że byłem śmiertelnie przerażony, że pożar w jakiś sposób ogród po ogrodzie może przedostać się do nas. Schowałem się w domu i modliłem się, żeby to się nie stało. Mimo abstrakcji tej obawy przez jakiś czas śniło mi się to zagrożenie.

Przygody z ogniem dotknęły nas też w bezpośrednim sąsiedztwie. Którejś nocy usłyszałem krzyk ciotki Janki, że pali się! Wyrząłem przez okno i na dachu garażu widać było ogień, tak jakby płonąc wewnątrz, wydostał się już przez dach. Po chwili na dachu zjawił się dziadek w długiej białej nocnej koszuli i w krótkim czasie ogień ugasił. Okazało się, że ktoś wrzucił na dach nasączoną ropą zapaloną szmatę.

Długo po wszystkim krążyły wśród dorosłych ciekawe gadki mówiące, że dziadek, który w swojej koszuli stał na tle tej płonącej ścierki, ujawnił nieopatrznie pewne sekrety swojej anatomii.

## Sport

Pokolenie wuja Krzyśka było niezwykle dobrze wyposażane w różne przybory sportowe. Wzdłuż torów kolejki ciągnęła się kolejna „plantacja” żarnowca wykorzystywana jako rzutnia. Zdarzało się nam znajdować tam to ułamany szpic od oszczepu, to kulę czy nawet dysk.

W uliczce obok koledzy Krzyśka mieli nawet tarczę, łuk i strzały. Mogli spokojnie trenować profesjonalne strzelanie. Oczywiście łuki wtedy były troszkę inne. Jedynym chyba, co odróżniało je od angielskich *long bow*, był bączek na cięciwie, który podobno powinien dotykać ust przy celowaniu.

Były to różne dyscypliny z przeszłości, natomiast na zwyczajnym klepisku z dwoma słupkami i siatką stale odbywały się mecze siatkówki. Sama gra stała jednak na całkiem wysokim poziomie. Boisko oddalone było od stacji kolejowej o jakiś kilometr, a jednak mimo to czekający na kolejkę słyszeli uderzenia ścinających piłkę chłopaków.

Jednym z nich był przyjaciel Krzyśka, Piotrek Komorowski, który mieszkał zaraz obok tego boiska wraz ze swoimi dwiema siostrami. Majkę widywało się rzadko, natomiast śliczna Magda już wtedy przyciągała mój smarkaty wzrok.

Krzysiek opowiadał też, że Wojtek Młynarski jako podrostek podawał panom graczom piłkę, co było dla każdego z chłopców dużym wyróżnieniem.

Niestety, później aktywność władz państwowych zdecydowanie osłabła i nie można już było więcej uzyskać za darmo sprzętu sportowego.

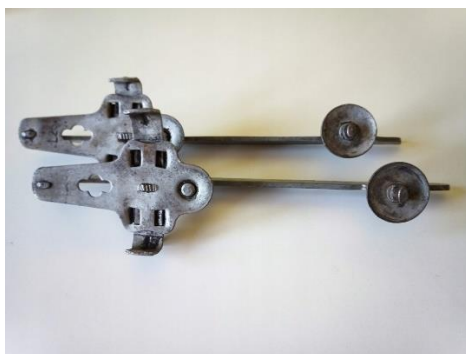
Szkoła też niestety niezbyt troszczyła się o naszą tężyznę fizyczną i skazani byliśmy na starania we własnym zakresie. Bardzo sporadycznie biegaliśmy na 60 m i rzucaliśmy palantówką, ale przypuszczam, że głównie po to, żeby przedstawić listę uczestników w kuratorium.

Miałem to szczęście lub pecha, że łyżwy i narty odziedziczyłem po wuju, który w tym czasie miał już zupełnie inne zainteresowania.

Narty z wiązaniami „kandahar” miały nawet na krawędziach metalowe listewki. Zaczął się problem z butami, bo spodnie miałem od dresu. Ojciec niezbyt przychylnie odnosił się do wydatków, ale w końcu oddał moje buty do szewca, który zrobił w obcasach odpowiednie wyżłobienia. No cóż, narty były, ale nie było gdzie ich używać. Na sanki jeździło się do Podkowy Leśnej, ale w życiu nie odważyłbym się zjechać z tamtej góry na nartach. O jakimś wyjeździe w góry nawet nie miałem co marzyć i pozostało przy tym, że narty MIAŁEM.

Jedyny wyczyn, którego udało mi się dokonać, to udział w jakiejś szkolnej spartakiadzie w Międzyborowie. Brałem udział w zjeździe i zdołałem nawet dotrzeć na dół bez wywrotki!

Ojca problemy na tym się nie skończyły. Po Krzyśku zostały jeszcze łyżwy turfy.



*Może gdybym wiedział, że trzeba je naostrzyć, zostałbym jakimś mistrzem?*

Znów musiałem wyjechać spacer do szewca, który zamocował w obcasach specjalne blaszki. Przed domem była zamarznięta kałuża, na której definitywnie stwierdziłem, że jeździć na łyżwach po lodzie nigdy się nie nauczę. Nie dość, że miękkie kostki wyginały się we wszystkie strony, to nawet jeśli udało mi się w końcu stanąć prosto, łyżwy rozjeżdżały się na boki. I nic dziwnego, bo były praktycznie półokrągłe i dopiero znacznie później dowiedziałem się, że łyżwy się ostrzy! Na ubitym śniegu oczywiście też „nie szło”, bo szpic zaczepiał o jakieś nierówności i wracałem do domu sfrustrowany, z przemoczonymi rękawiczkami i przemarzniętymi rękami.

Po tych wszystkich hazardach nienawidzę zmarzniętych rąk i mokrych rękawiczek. Należy jednak podkreślić niezwykłą solidność zimowych butów, które mimo tych wszystkich modyfikacji służyły mi jeszcze całkiem długo.



*Jurek też później próbował na tej kałuży, ale chyba z podobnym skutkiem.*

W góry w końcu jednak pojechałem z kolegą Antkiem jako obstawa mamy, która miała tam podleczyć sobie płuca. Narty można było wypożyczyć na miejscu, ale poza zamaszystą pozą na zdjęciu nie posunąłem się do przodu, bo nie było od kogo się nauczyć.





*Jak zawodowiec, ale tylko na zdjęciu*

## **Religia**

Rodzice określali się jako „wierzący, ale niepraktykujący”, przez co moje kontakty z religią były dość skromne, a właściwie od chrztu żadne. Zmieniło się to w sposób istotny po poznaniu Piotrka, gdyż jego mama troszczyła się o nasze wychowanie w duchu katolickim z podziwu godną konsekwencją. Uczęszczaliśmy w związku z tym w niedziele regularnie na msze do kościoła, uczestniczyliśmy w lekcjach religii, które po początkowym okresie katechezy w szkole przeniosły się do salki w podziemiach kościoła.

Ksiądz, który jako pierwszy zajmował się naszą edukacją w kościelnej salkie, był wielkim brunetem z cholerycznym temperamentem. Restrykcyjnie przestrzegał dyscypliny i zdarzało się, że nieustannie rozrabiającym chłopakom wykręcał uszy lub wręcz otwierał nimi drzwi salki, wyrzucając ich z lekcji. Podobnie zresztą postępował nasz nauczyciel rosyjskiego, pan „globus” z tytułu pokaźnej głowy, na której zabrakło włosów. On również w podobny sposób nie tolerował przeszkadzania w lekcji.

Następca brutalnie był wspaniałym, wykształconym człowiekiem i na jego lekcje oraz kazania chodziliśmy z przyjemnością. Nie oznacza to jednak, że uczestniczyliśmy w mszy świętej z należytą pobożnością i nabożeństwem.

Kiedyś staliśmy z Piotrkiem jak zwykle za rzędami krzesel, na których siedzieli poważni uczestnicy celebracji. Liturgia była mało podniecająca, więc rozglądając się, zwracaliśmy uwagę na rozmaite szczegóły. W pierwszym rzędzie siedziała starsza pani, która cierpiała prawdopodobnie na zaawansowany stan choroby Parkinsona. Gdy szepnąłem Piotrkowi, że pewnie jeździ traktorem, zaczęliśmy parskać w rękawy, próbując opanować głupi śmiech, jednak za każdym razem, gdy spojrzeliśmy na tę panią, to wystarczyło, że któryś z nas powiedział „traktor”, i znów trzeba było w męczarniach tłumić napór wybuchowego chichotu.

Mama Piotrka zdobyła skądś piękne belgijskie (ale po polsku) wydanie malutkiej książeczki, w której wraz z obrazkami i odpowiednimi opisami przedstawione były wszystkie części mszy świętej. Korzystałem z niej często, tak żeby przynajmniej wiedzieć, kiedy paść na kolana, a kiedy bić się w piersi.



Oczywiście razem z Piotrkim przystąpiliśmy do komunii św., co w moim domu przeszło bez jakiegoś większego wrażenia. Wystąpiłem w otrzymanej od zaprzyjaźnionej rodziny ze Szwecji eleganckiej chłopięcej marynarce i to wszystko.



*Komuniści przed budynkiem szkoły*

Nauka religii trwała praktycznie aż do końca szkoły, także do dzisiaj mogę wykazać się świadectwem w rodzaju religijnej matury.

Później nastąpiły inne czasy, inne emocje i do bierzmowania już nie dotrwałem. Pozostała mi ugruntowana podstawa religii katolickiej, która w różnych okresach życia mniej lub bardziej mną powodowała.

## *Święta*

Święta były oczywiście zawsze wspianiałym elementem roku, zwłaszcza Boże Narodzenie, które wiązało się nie tylko z pięknym zewnętrznym ośnieżonym krajobrazem, specyficzną rodzinną atmosferą, ale też oczywiście z oczekiwaniem przez dzieci na to, co znajdą pod choinką.

Choinkę ubieraliśmy wspólnie z mamą w przeddzień wigilii bombkami, łańcuchami z kolorowego papieru, pomalowanymi poźłotką orzechami włoskimi, długimi choinkowymi cukierkami i „anielskimi włosami”.

Bombki przechowywane były w pawlaczu w kuchni, który znajdował się pod samym sufitem. Było to dość wysoko i żeby je stamtąd wydobyć, musiałem postawić krzesło na wspomnianym wyżej bufecie, na tym krzesle stołeczek, i dopiero wychylając się, mogłem dosięgnąć pudełek z bombkami. Któregoś roku cała ta konstrukcja zachwiała się i wszystko razem ze mną na szczycie runęło z wysokości prawie trzech metrów (mieszkanie było przedwojenne, wysokie) na podłogę. Na szczęście nie miałem jeszcze w ręku bombek. Najpierw poleciało krzesło i stołeczek, a potem ja. Lot miałem dość krótki, ale upadłem szczęśliwie; chociaż szczęką złamałem nogę od dębowego krzesła, poza guzem nie odniosłem większych obrażeń. Prawdopodobnie duch święt też czuwał nade mną.

Jak potwierdziłem później w przygodzie z rowerem, kości miałem mocne. Zawdzięczałem to prawdopodobnie ojcu, który troskliwie miał skorupki z jajek i

podstępnie posypywał tym proszkiem niektóre moje ulubione potrawy, psując ich smak i konsystencję, ale nie było mowy o tym, żeby uchylić się od konsumpcji.

Mama po kazachstańskim „urlopie” nie dopuszczała do pozostawienia czegokolwiek, co raz znalazło się na talerzu.

Cały okres przedświąteczny wypełniony był gorączkową aktywnością. W misce moczyły się śledzie dla ojca. W przetaku czekał sparzony mak, a ojciec uganiał się po Warszawie w poszukiwaniu dobrej szynki i karpia. Chwalił się potem zawsze, że mimo przedświątecznego piekła w sklepach zawsze miła ekspedientka miała dla niego coś wyjątkowego. Trzeba przyznać, że szynka była zawsze wspaniała, natomiast karp mnie zupełnie nie interesował.



*Przetak lub rzeszoto do przesiewania mąki, jednak u nas używany był do parzenia maku.*

Ten karp po przywiezieniu go przez ojca z Warszawy pływał w wannie. Któregoś roku na wigilii był u nas stryj Tadeusz. Ojciec był jeszcze w pracy albo zagadywał jakąś ekspedientkę, więc mama poprosiła stryja, żeby tego karpia uśmiercił. Było to przedsięwzięcie niełatwe. Po pierwsze, trzeba było go z tej wanny jakoś wydobyć. Ryba wpuszczona tam dwa-trzy dni wcześniej była w doskonałej kondycji i stryj w bryzgach wody uganiał się z jednego końca dużej wanny na drugi. W końcu udało mu się za trzecim podejściem uchwycić pewnie za skrzela wyslizgującego mu się z rąk nieszczęśnika. Musiałem potem ścierać kałuże wody z całej łazienki, ale mama mogła wziąć się do smażenia ryby, której dzwonka jeszcze na patelni obrzydliwie podrygiwały.

Dziadek zaopatrywał nas zawsze w upolowanego zająca, który stanowił podstawę pasztetu. Ojciec zdejmował z niego skórę, a ja asystowałem mu przy tym krwawym spektaklu. Potem ojciec napinał tę skórę na rozciągniętych w kształcie widełek gałązkach, ja dostawałem ogonek, a mama tylne łapki, którymi później przecierała blat kuchenny.

Poza pilnowaniem karpia i szukaniem śrucin w zającu miałem niemało odpowiedzialnych i uciążliwych zadań. Zająca ugotowanego z innymi rodzajami mięsa i różnymi dodatkami trzeba było przekręcić przez maszynkę przez sitko pasztetowe. Była to zabawa bardzo wyczerpująca, ale jeszcze gorsze było kręcenie przez tę samą maszynkę maku. Szło to bardzo ciężko i jeszcze w drugi dzień świąt czułem prawą rękę.

Mama była niespokojna, bo w napięciu czekała, czy wyrośnie jej drożdżowe ciasto na strucle, i często siedziała nad nim do późnej nocy.

Wigilia była w naszym domu obchodzona na swój sposób bardzo tradycyjnie. Nie było kompotu z suszu ani dwunastu potraw, jednak zawsze było jedno nakrycie dla nieoczekiwanego gościa i siano pod obrusem, które przynosiłem po prostu z ogrodu. Najczęściej na wigilii była babcia, czasem Krzysiek, pani Zosia i Wanda.

Ubrana choinka czekała za zamkniętymi drzwiami do pokoju na zakończenie celebrowania wigilijnej wieczerzy i uroczystego spożywania darów bożych. Te składały się w większej części z ryb, których nie znosiłem. Jedynym ratunkiem był tak zwany pieróg. Był to rodzaj placka nadziewanego farszem ze słodkiej kapusty z grzybami, który uwielbiałem.

Zostało mi to do dzisiaj, gdy Jurek przyrządza go według starego przepisu.

Popijałem pysznym barszczem. Starsi rozplýwali się w pochwałach nad śledziami, rybą po grecku i smażonym karpem, w którym szczególnie gustował ojciec. Mieliśmy z Jurkiem problem, gdy na wigilii była u nas hrabina. Musiała mieć chyba luźną protezę lub zawias szczęki, bo przy jedzeniu dochodziło z jej strony równomierne stukanie, i po niedługim czasie wystarczyło, że spojrzeliśmy na siebie z bratem, i do oczu napływały nam łzy powstrzymywanego przemocą chichotu. Nie było to zjawisko szczególnie odosobnione, gdyż ojciec skarżył się, że patrząc na wesołą z reguły mamę, która próbowała na pogrzebach zachować powagę, nie mógł powstrzymać się od śmiechu. To pewnie jakieś skażenie genetyczne i muszę pod tym kątem przebadać potomstwo.

Główny problem mój i brata podczas kolacji wigilijnej polegał na palącym oczekiwaniu na otwarcie drzwi do pokoju z choinką. Nasz ojciec jednak bardzo lubił karpia, ale jednocześnie bardzo obawiał się zakrztusić ością, przez co operacja dłubania w smażonej rybie ciągnęła się w nieskończoność.

Rytualnie otworzyć drzwi można było dopiero, gdy stół był uprzątnięty, naczynia pozmywane, wytarte i ustawione na swoim miejscu. Robiliśmy to z bratem, jednak nie mogąc pod czujnym okiem mamy nic przyspieszyć, z rezygnacją wycieraliśmy talerze w miarę starannie.

I wreszcie można było wejść do dużego pokoju. Pod choinką piętrzyły się prezenty. Zwykle choinka stała na historycznym kredensiku i przez to wyglądała jeszcze bardziej imponująco. Ojciec, aby podnieść napięcie, pakował wszystkie podarunki dla dzieciaków w używany w biurze papier światłoczuły, który był piekielnie twardy, a na dokładkę oklejony był moczoną w wodzie papierową taśmą (plastikowa pojawiła się wiele lat później).

Rytuał przewidywał, że jeden z nas - albo ja, albo Jurek - wydobywał spod choinki opisane prezenty i przekazywał je siedzącym wokół uczestnikom ceremonii. Nie wolno było ich rozpakować, dopóki wszystkie nie były rozdzielone. Wtedy po kolei wyjmowano je z papieru, tak żeby wszyscy mogli podziwiać, czym ktoś został obdarowany. Oczywiście my obaj byliśmy ostatni.

Ojciec w swojej perfidii potrafił zapakować sześć ołowianych żołnierzyków, każdego z osobna, w malutki, ale trudny do otwarcia pakunek. Obaj z Jurkiem kaleczyliśmy sobie paluchy, starając się jak najszybciej wydobyć zawartość. Nie były to jakieś

nadzwyczajne rzeczy. Dostawaliśmy na przykład kredki czeskie Koh i Noor, ja dostałem ze trzy razy laubzegę, której zapas piłek kończył się już przed upływem dni świątecznych, bo nie bardzo potrafiłem się nią posługiwać.

Po rozdaniu prezentów starsi rozmawiali o swoich rzeczach, a my byliśmy zajęci swoimi podarunkami, i na tym kończył się wieczór wigilijny. W przeciwieństwie do wielu innych wigilii, w których uczestniczyłem w przyszłości, prezenty były anonimowe. Nie było przez to obligatoryjnych łzawych podziękowań ofiarodawcom.

Pierwszy dzień świąt był dniem odpoczynku dla mamy. Okres przedświąteczny był morderczym maratonem sprzątanego całego mieszkania i przygotowywania potraw świątecznych. W pierwszy dzień świąt nic nie było gotowane. Wszyscy zajmowali się tym, na co mieli akurat ochotę, a stół zastawiony był różnymi przysmakami: pokrojoną w plasterki szynką, która była kruchutka i mieniła się wszelkimi kolorami tęczy, soczystą pieczenią cielęcą, pieczonym schabem z kminkiem, no i oczywiście obrazu dopełniały pełne maku i rodzynek strucle i serniki z bakaliami.

Rodzynek nie lubiłem i któregoś roku za moim tapczanem mama sprzątając znalazła skład wydlubanych z ciasta i zasuszonych wtórnie rodzynek.

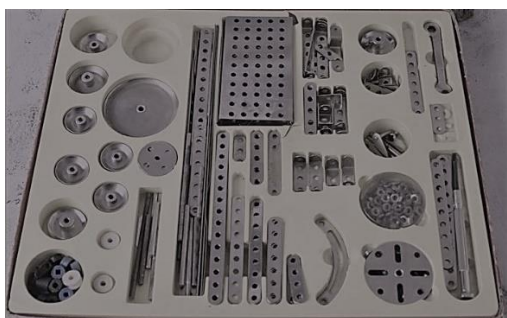
Drugi dzień świąt był dniem wizyt i albo my odwiedzaliśmy kogoś, albo przyjmowaliśmy gości.

Niestety święta kończyły się jak zawsze zbyt szybko i zostawałem z popsutą laubzegą i kredkami, które sprawiały zawsze ogromną radość. Było ich 24 i można było rysować najprzeróżniejsze obrazki.

Wspaniałym prezentem było NRD-owskie *Metallbaukasten* składające się z różnych metalowych profili i odpowiednich śrubek, z których można było konstruować różne rzeczy według załączonych wzorów, ale później robiłem już własne konstrukcje. Służyły one nie tylko do popisywania się, ale i do zabawy z bratem. Tworzyliśmy scenariusze z dźwigiem lub pojazdami. Dla mnie była to wspaniała nauka dynamiki przegubów i statyki konstrukcji, której podstawy już miałem dzięki budowaniu i rozwalaniu armatką obronnych murów z klocków.

Ojciec pokazał mi też, jak „zakontrolować” dwie muterki, aby się nie odkręcały.

Mama miała na szczęście doskonały wzrok, więc przy sprzątanym znajdowała nieomylnie zawieruszone malutkie śrubki i nakrętki. Obchodziłem się z metalowymi częściami z należytą ostrożnością i ten prezent służył nam bardzo długo.



*Budownictwo metalowe. Wszystkie części wracały po zabawie na swoje miejsce i można było sprawdzić, czy czegoś nie brakuje.*

Kiedyś w nadziei odkrycia u mnie talentu muzycznego dostałem organki. Talent się nie objawił, natomiast organki zniknęły. Znalazły się parę lat później podczas jakichś świątecznych porządków. Spróbowałem z nadzieją, ale talent nadal jednak pozostawał w ukryciu.

W Sylwestra rodzice z reguły wybierali się na jakiś bal albo przyjęcie, a my zostawaliśmy z babcią. Tradycyjnie graliśmy w *loteryjkę*. Polegało to na rozkładaniu normalnych kart do gry na stole, a na każdej z nich był jakiś fant: cukierek, ćwiartka pomarańczy, czekoladka czy jakiś drobiazg. Resztę kart babcia po potasowaniu rozdawała na dwie kupki. Losowaliśmy na zmianę jedną z nich i odkrywaliśmy po kolei karty ze stołu; gdy któryś z nas miał odpowiednią w swojej kupce, dostawał leżący na stole przedmiot. Mimo że rzadko udawało nam się dotrzeć do północy, to wspominam te wieczory z rozrzewnieniem.

Nie odbywały się żadne fajerwerki - to szaleństwo dotarło do nas znacznie później, po zawaleniu się przerdzewiałej żelaznej kurtyny. Było wręcz przeciwnie - gdy kiedyś zdobyliśmy z Piotrkim gdzieś parę chińskich petard, to po odpaleniu dwóch z nich nasz lokalny szeryf, sierżant Orzolek, ganiał za nami wokół całego kwartału działek, mimo że wspomnienia o WiN musiały już dawno wyblaknąć.

Święta wielkanocne odbywały się również w zwyczajowy sposób.

Przygotowania wiązały się znów ze sprzątaniami i myciem okien. Któregoś roku mama z tym myciem przesadziła i wdało się zapalenie opłucnej, nastąpiło długie leczenie pastylkami PAS i Rimifon.

Nie musiałem wprawdzie kręcić pasztetu ani maku, ale miałem inne obowiązki. Trzeba było przygotować ogromną ilość bakalii, więc siedziałem z młotkiem i ciężarkiem, którym rozbijałem orzechy włoskie, trafiając czasem w palce. Orzechy i inne bakalie trzeba było potem drobnitko pokroić. Kroilem suszone figi, daktyle, śliwki i skórkę pomarańczową. Mama chwaliła mnie, że przy okazji nie „wyżeram”. W formie pewnej traumy pozostało to do dziś. Gotowanych potraw prawie nie próbuję, czekając w napięciu na efekt końcowy.

To wszystko mieszane tworzyło potem mazurek, tak zwany cygański. Pod ściereczką rosło ciasto drożdżowe z wanilią i rodzynkami. Był lukier na babkę i mazurek cytrynowy, mazurek sernikowy i mój ulubiony nazywany klawiszem - mazurek czekoladowy na kruchym cieście. Mama robiła masę czekoladową sama z kakao, masła i innych składników, próbując zawsze pięć razy kropelkę, czy masa już krystalizuje. Garnek, w którym gotowana była ta masa, dostawałem zawsze, w nagrodę za pomoc, do wylizania. Można było z niego wskrobać jeszcze sporo słodkiej czekoladowej masy.

Z tą czekoladową masą związane było inne, nieświęteczne zdarzenie. Powstał kiedyś załazek małej elitarniej kawiarni. Panie „z towarzystwa” podjęły się upiec na otwarcie coś słodkiego. Mama wymyśliła świetne ciasteczka na kruchym spodzie z tą czekoladową polewą. Dwie blachy spodów wypełniła kakaowa masa, która zadziwiająco sprawnie zastygła. Na szczęście dostałem jedno na spróbowanie i okazało się, że jest słone!! Mama pomyliła cukier z solą i prawie do rana piekła drugą porcję, żeby wywiązać się z obietnicy.

Jajka farbowałem samodzielnie, z reguły w łupinach cebuli, które dawały piękny ciemnożółty kolor. Jeśli owinęło się jajko łupinami i szmatką, powstawał wspaniały marmurkowy wzór. Wiązanie tych szmatek pojedynczo było bardzo uciążliwe, więc później opracowałem metodę wykorzystywania w tym celu starych skarpetek lub pończoch. Można było w ten sposób zapakować w jedną kilka jajek i zawiązywanie jajecznego łańcucha nie sprawiało już żadnych trudności.

*Czasami nagrywa się przypadkowo to, co mówię, poza protokołem, do psa, który domaga się uwagi – zostawiam jako odniesienie do rzeczywistości. „Nudzisz się, tak mi się wydaje?”.*

W sobotę szliśmy z koszyczkami z miniaturową babką, kolorowymi jajkami i cukrowym barankiem do kościoła, aby ksiądz mógł je poświęcić. Nie mieliśmy na ten cel specjalnego koszyczka, ale mama wysypywała swoje igły i nitki i już był. Baranka z cukru trzeba było za każdym razem kupować i bardzo podobał mi się ceramiczny baranek Piotrka, który służył co roku, ale my mieliśmy każdego roku tego cukrowego. Po przyniesieniu *święconki* do domu można było rozpocząć biesiadowanie. Zwykle jednak to zasiadanie przeciągało się do niedzieli, bo zawsze było jeszcze coś do zrobienia czy załatwienia.

W niedzielę rano w towarzystwie nieugiętej mamy Piotrka szliśmy na rezurekcję. Wokół grzmiało i huczało. Rozmaitego natężenia strzały, wybuchy i eksplozje zawsze towarzyszyły nam w drodze. Jeszcze przed świętami zwyczajowo strzelało się ze wszystkiego, co było do dyspozycji, począwszy od strzelania z klucza, poprzez korkowce (będące raczej atrakcją odpustową), karbid (popularnie *karbit*), aż do cięższych moździerzy i kalichlorku (popularnie *kalafiorku*).

Najprostszym przyborem był klucz z otworem zawieszony na sznurku, na którego drugim końcu był gwóźdź pasujący do dziurki klucza. Zeskrobywało się siarkę z zapalek do klucza i po włożeniu gwoździa wystarczyło płynnym ruchem uderzyć tym gwoździem w coś twardego, aż wydobywał się mniejszy lub większy trzask. Korkowce można było kupić na straganach i był to rodzaj pistoleciku, który iglicą uderzał w mały ładunek materiału znajdujący się w korku. Walił nieźle w porównaniu do popularnych kapiszonów, ale pojawiał się raczej na odpustach.

Moździerz był większym rodzajem klucza ze znacznie większym otworem i bolcem, do którego można było nasypać prochu ze szkolnego boiska albo właśnie kalichlorku. Nie było to narzędzie bezpieczne, bo zdarzało się, że odbite od kamienia czy murku części z dużym impetem trafiały kogoś w pobliżu.

Strzelanie z karbidu wymagało znalezienia gdzieś na torach resztek z używanej przez kolejarzy wytwornicy acetyleny, jeszcze niezlasowanego karbidu. Wkładało się grudkę tej substancji do puszkę zamkniętej szczelną pokrywką z małym otworkiem i dodawało się odrobinę wody, potem, podtrzymując puszkę nogą, podsuwało się zapaloną zapalną do otworku i wtedy wieczko wyskakiwało z hukiem.

Poza strzelaniną w święta wielkanocne stałej rozrywki dostarczał oczywiście drugi dzień świąt. Starożytny zwyczaj śmigus-dyngus usprawiedliwiał przeróżne ekscesy. Na długo przed świętami pojawiały się w kioskach różne tematyczne przybory. Najczęściej były to małe plastikowe zbiorniczki w kształcie jajka, które można było

napełnić wodą i psikać do wyczerpania zawartości. Można było też używać pistoletów na wodę albo mniej eleganckich gumowych gruszek do lewatywy.

U nas w domu ojciec pielęgnował ten zwyczaj w bardzo delikatny sposób. Rano wstawał wcześniej i przyskał wszystkich śpiących odrobiną wody z dodatkiem wody kolońskiej.

Tutaj też zaznaczył się talent wynalazczy Piotrka, a w sumie też i mój. Wówczas w użytku były jeszcze szklane syfony do wody sodowej, które oddawało się do napełniania. Wpadliśmy na pomysł, żeby przymocować do dzióbka kawałek gumowego wężyka i pompką do piłki, którą miałem do napowietrzania rybek w akwarium, pompowaliśmy napełniony częściowo zwykłą wodą syfon. Po uzyskaniu ciśnienia można było po naciśnięciu spustu tryskać solidnym strumieniem wody na dużą odległość. Piotrek miał oczywiście przyzwoitą mosiężną dyszę, a ja musiałem zadowolić się dziubkiem od starej oliwiarki. Oczywiście było to o wiele bardziej technicznie zaawansowane od prymitywnych wiader z wodą, z którymi uganiały się po ulicach bandy wyrostków.

Najwygodniejszymi ofiarami byli rowerzyści, którym z reguły nie chciało się zsiadać z roweru, żeby uganiać się za łobuzami. Nam jednak udało się doświadczyć czegoś innego, gdy zaczęliśmy się z dwoma załadowanymi syfonami za grubymi brzożami na naszej ulicy i wzięliśmy w ogień krzyżowy rowerzystę. Formalnie zdjęto go z roweru; jemu oczywiście chciało się nas ganiać, więc musieliśmy pędem schować się do ogrodu za zatrzaśniętą furtką.

Któregoś roku rodzice byli zaproszeni na ślub i wesele kuzyna do Łowicza. Był tu ośrodek rolniczy z rozległym gospodarstwem. W umywalni był rząd kranów i dzięki niezwykle wysokiemu ciśnieniu w instalacji można było pomarańczową gumkę od rowerowego wentylka napełnić wodą. Trzeba było zawiązać z jednej strony wentylek owinąć papierem i wcisnąć w otwór kranu, a po odkręceniu widać było powstającą kielbaskę z wodą. Ten zbiorniczek brało się do ust, zaciskając zębami wylot gumki. W ten sposób można było na przykład, rozmawiając niewinnie z kimś twarzą w twarz, strzyknąć mu niespodziewanie strumyczkiem wody prosto w oko albo w ucho.

Pobyt w Łowiczu był szalenie przyjemny, nie tylko ze względu na wentylkowy wynalazek, ale niezwykle gościnne przyjęcie przez starszych kolegów z rodziny zebranej z okazji ślubu. Tam poznałem zasady gry w palanta, a innym razem dopingowałem gromko z kuzynami przebiegających w ramach ćwiczeń spoconych ruskich żołdatów z pobliskiej jednostki.

Święta i jedne, i drugie odbywały się w naszym domu całkowicie bez alkoholu. Nie było jednak prohibicji, gdyż w czasie różnych przyjęć alkohol oczywiście pojawiał się na stole, aczkolwiek w umiarkowanych ilościach. Ojciec specjalizował się w litewskiej *prinuca* i zdarzało się, że bardziej uprzejmi goście, nie mogąc oprzeć się jego zachętom do „jeszcze jednego”, mieli potem lekkie problemy.

Kiedyś mama, chcąc zabłysnąć, sporządziła *mazagran*. Aby utrzymać odpowiednią temperaturę napoju, waza wyniesiona została do chłodnej piwnicy. Niestety dwóch tak samo łbskich jak spragnionych gości wysledziło drogę i ku rozpaczycy mamy



porcja eleganckiego mazagranu na tyle się zmniejszyła, że trudno było podać resztki do stołu.

Pięknym przeżyciem były również moje imieniny. Przypadały we wrześniu, gdy w ogrodzie było pełno kwiatów. Kuchenne krzesła miały ażurowe oparcia i ojciec pracowicie wplatał w nie nawłóć, floksy i inne kwiaty. Siedziałem w ten dzień jak na kwiatowym tronie i wspominam to z rozrzewnieniem.

Urodzin nie obchodziliśmy.

## **Zabawy i inne zajęcia**

Ojciec korzystał z możliwości dorabiania do miesięcznej pensji. Nie wspominam oczywiście o powszechnym wówczas skracaniu delegacji, aby pobrać diety za pobyt w domu. Popularne były w tym czasie rozmaite formy chałupnictwa zasilającego małe prywatne firmy.

Malowanie plastikowych figurek żołnierzyków było żmudne, a wobec skłonności do solidnej pracy okazało się całkowicie nieopłacalne. Zwłaszcza barwne mundury historyczne pochłaniały bardzo dużo czasu, a cena za sztukę była niewspółmiernie niska.

Najdłużej utrzymało się zajęcie polegające na wykonywaniu popularnych czepków przeciwdeszczowych. Warsztat składał się z tekturowej harmonijki, blaszanych pasków o tej samej długości, dziurkacza i przerobionej z plombownicy praski do zaciskania oczek. Na rozciągniętej harmonijce kładło się arkusz przezroczystej folii i blaszanymi paskami nadawało się jej plisowany kształt w tekturowych rowkach. Końcówki po obu stronach były równo przycinane, dziurkowane i wraz z tasiemkami „plombowane” oczkiem kaletniczym. Po wyjęciu z formy czepki były już gotowe. Był chętnie noszony przez panie, aby uchronić mniej lub bardziej misterną fryzurę przed deszczową destrukcją. Ojciec spędzał dużo wolnego czasu przy tej pracy, a skrawki folii wędrowały do ogólnospławnego wiadra i dalej na kompost. Później jeszcze przez długie lata przy przesiewaniu kompostu do prac ogrodowych pełno w nim było tych skłębionych pasków folii.



*Czepki eleganckiej pani z lat pięćdziesiątych*

Rzucanie było oczywiście ulubioną zabawą. Kiedyś ciotka Janka miała gości, a wśród nich było dwóch chłopców, którzy byli sporo starsi ode mnie. Był początek jesieni i wszędzie leżało masę jabłek. Chłopcy pokazali mi, że jeśli nabiło się jabłko na sztywny patyk, to można było nim rzucić znacznie dalej, niż było to możliwe ręką. Wycięliśmy sobie zaostrzone patyki z leszczyny i dalej miotać. Wtem z działki Krzyśka rozległ się wrzask. Uciekliśmy do domu; okazało się potem, że jeden z pocisków (ja oczywiście twierdziłem, że rzucony przez tych dwóch gości) przeleciał nad płotem i trafił szacownego dziadka Krzyśka (tego z Talbotem) prosto w łusą głowę. Na szczęście jabłko było w większości zgniłe, także nawet guza nie spowodowało, jednak nastąpiła nota dyplomatyczna od dziadka do ciotki Janki, żeby na przyszłość takie rzeczy nie miały miejsca. Miał szczęście, że nie oberwał antonówką, które były ogromne i twarde jak kamień.

Oczywiście jeśli żaden z moich kolegów nie był do dyspozycji, zupełnie spokojnie zajmowałem się swoimi zajęciami, a miałem ich w bród.

Kiedyś dostałem od ojca scyzoryk. To było chyba na imieniny i oczywiście poleciałem natychmiast do ogrodu, żeby to nowe narzędzie wypróbować. Brak dostatecznych instrukcji spowodował, że poznałem obsługę tego narzędzia empirycznie. Staralem się mianowicie wypróbować ostrość nożyka, obcinając gałązkę zamiast od siebie, to do siebie. Scyzoryk był raczej ostry. Z palca wskazującego siknęła krew. Poleciałem z wrzaskiem do domu, mama zawięła mi palec i po jakimś czasie rana się zagoiła, chociaż nie bez udziału proszku, który ojciec znalazł w ostrzelanym przez sowieckie czolgi niemieckim taborze (o tym później). Proszek ten powodował błyskawiczne gojenie, ale do dzisiaj mam na palcu ślad tego doświadczenia. Ślad jest na prawym palcu, bo jako osobnik leworęczny trzymałem scyzoryk właśnie w lewej ręce.

W drwalce poza węglem było jeszcze drewno na podpałkę. W sąsiednim Pruszkowie była fabryka „Ołówkowa”, w której można było za niewielkie pieniądze kupić wóz odpadów. Od czasu do czasu jeździło się tam z wozakiem i można było zabrać pełen wóz rozmaitych drewnienek. Po prostu wóz podstawiało się pod taśmociąg, z którego sypały się odpady. Wśród nich były piękne małe deseczki, które były albo za grube, albo za cienkie do produkcji ołówków. Ich ilość wskazywała na jakość i wydajność parku maszynowego „Ołówkowej”. Te deseczki stanowiły fantastyczny budulec do rozmaitych konstrukcji w mojej leśnej piaskownicy.

W miarę zgłębiania szkolnej wiedzy zaczęło się zainteresowanie czytaniem. Piotrek miał sporą biblioteczkę, z której czerpałem zapamiętane. Czytałem szybko, pochłaniałem po prostu książki, a mama Piotrka nie mogła uwierzyć, że skończyłem kolejną oddawaną książkę, i wmawiała mi, że przeczytałem tylko początek i koniec, nie znając zawartości. Gdy pojawił się *Winnetou* Karola Maya, ojciec, korzystając z przewagi fizycznej i urzędowej, wydarł mi z ręki tę książkę i sam zaczął łapczywie czytać. Gdy natomiast ja byłem pochłonięty jakąś lekturą, nazywało się, że się „wgrzamy”! Rodzice dużo czytali, chociaż skąpe nakłady poszukiwanych pozycji trzeba było zdobywać podobnie jak świąteczną szynkę.

W ogóle mama Piotrka była zdziwiona, bo za każdym razem gdy patrzyła na moje uda, mówiła z przerażeniem: "Jak można mieć takie cienkie nogi! ". Nie ukrywam, że Piotrek był osobą bardzo dobrze wykarmioną. Było to niejednokrotnie powodem kpin w szkole, z których czasami, gdy byliśmy pokłóceni, też robiłem użytek, ale to było bardzo rzadko i teraz jest mi wstyd.

W naszej szkole odbywały się również imprezy tradycyjne i incydentalne. Tradycyjne były imieniny dyrektora. Na przerwach z wielkiego głośnika na szafie w sali gimnastycznej puszczana była muzyka, przy której starsze klasy tańczyły, a młodsze szalały. Był to bardzo przyjemny zwyczaj, panowała wtedy miła rodzinna atmosfera.

Drugą tradycyjną imprezą z udziałem rodziców był Dzień Dziecka. Rodzice z każdej z klas otwierali swój stragan, na którym było zwykle jakieś pyszne ciasto upieczone przez mamy, coś do picia - kompot z rabarbaru albo inny napój. Można było chodzić od straganu do straganu, a te były fantazyjnie ozdobione. Można było również kupić sobie coś w odpustowym stoisku, ale nie było tego więcej niż jeden lub dwa stragany.

Któregoś roku dostaliśmy z Piotrkiem pieniądze na zakup pióropuszy z bibułki. Byliśmy już skażeni atmosferą indiańską i przystąpiliśmy do organizacji własnego szczepu. Nazywał się Szczep Dzikie Ryś, w skrócie SDR. Po lekturze książek Curwooda nadaliśmy sobie odpowiednie przezwiska. Piotrek przybrał imię Borsuk Kali, a ja Jastrząb Mispun. Mieliśmy spisany statut szczepu, ukryty w naszym słoiku w krzakach u Piotrka w ogrodzie.



*Szczep Dzikie Ryś w pełnym składzie*

Mój mały brat Jurek domagał się uczestnictwa, czasem więc pozwalaliśmy mu założyć pióropusz.



*Jurek ciężkobrajny w pistolet na wodę*

Jurek był moim najważniejszym i najukochańszym partnerem zabaw. Przyjęła się nazwa *Tutek*, a on zrewanżował się, nazywając mnie *Baka*. Babcię ten bystrzak nazywał *Mamo*, bo tak zwracała się do niej nasza mama.

Moja nieposkromiona fantazja pozwalała wymyślać coraz to nowe tematy zabaw. Po przeczytaniu *Hobbita* Tolkiena narysowałem figurki krasnali i Gandalfa i wyciąłem je z papieru. Bawiliśmy się nimi w podróż Bilba do elfów. Graliśmy też w różne gry, najpierw kartami w wojnę, później canastę czy makao. Oczywiście też w chińczyka, a nawet w szachy. Stosowałem perfidnie formę anty-wygrywania, czyli po prostu podkładałem się, żeby brat nie stracił ochoty do zabawy. Razem z ojcem graliśmy w bardzo fajną grę planszową, dzięki której poznałem mieszkańców oceanu, koniki morskie igliczne, rozgwiazdy i inne, o których nie miałem dotychczas pojęcia. Ojciec wybierał zawsze w chińczyku i innych planszówkach pionki zielone.

Była też pouczająca gra na polu zawierającym 12 otworów i można było zmieniać opisy z pytaniem i dwunastoma odpowiedziami. Trafna odpowiedź potwierdzana była zapaleniem się lampki po wetknięciu wtyczki w odpowiedni otwór. Wkrótce znałem już wszystkie odpowiedzi, więc swoją wiedzę przekazywałem bratu.

Czasami w deszczową pogodę zaszywaliśmy się z Jurkiem w zrobionym z koców namiocie i graliśmy w karty albo bawiliśmy się w Hobbitów.

Piotrek miał świetną grę *Przygody w dżungli*, w którą graliśmy z pasją i bez znużenia.

W sezonie robiłem figurki z kasztanów, a poza sezonem figurki z korka. Gwiazdą była *Korkozia*, którą nawet pomalowałem na białą.

Jurek był świetnym partnerem do zabaw i któregoś dnia, gdy zostaliśmy na dłuższy czas sami, zabawiliśmy się w inscenizację. Dostałem w paczce od znajomych Krzyśka ze Szwecji dziecienną marynarkę. Bawiliśmy się w dorosłego pana Jerzyka. Przeczesałem się na mokro do tyłu tak jak ojciec i w marynarce odgrywałem rolę dorosłego. Wszystko było fajnie, ale w pewnym momencie wpadłem na pomysł, żeby zrobić dla nas oranżadę. Miało to być przyjęcie u pana Jerzyka. Wiedziałem, że jeśli zmieszać sodę oczyszczoną z kwaskiem cytrynowym (pewnie po dziadku chemiku), to powstaje gaz. Znalazłem buteleczkę z korkiem, nalałem do niej wody, zaprawiłem sokiem malinowym i wsypałem sodę z kwaskiem. Zatkaną korkiem, potrząsałem,

żeby się dobrze wymieszało, i postawiłem na stole. Oranżada malinowa rzeczywiście się zrobiła, ale niestety nie mieściła się w buteleczce. Korek wystrzelił z hukiem, a fontanna malinowego specjału dotarła aż do sufitu. Przyjęcie u pana Jerzyka się nie bardzo udało i również nie bardzo udało się powrót mamy, gdy z Jurkiem czekaliśmy, aż spojrzy w górę. Ślady tej przygody pozostały dość długo, aż do momentu, gdy otwierałem butelkę podpiwku, po czym trzeba już było kuchnię odnowić.

Jurek był bohaterem różnych zdarzeń, których intencje często się mnie przypisuje, podczas gdy były to w zasadzie jedynie przypadki.

Pewnego razu gdy mozolnie odrabiałem lekcje przy stole w dużym pokoju, Jurek bardzo się nudził. Marudził, zaczepiał mnie, więc musiałem znaleźć sposób, żeby go zneutralizować. Po lekturze *Ogniem i Mieczem* ojciec wyjaśnił mi, na czym polegało związanie Zagłoby w kij do własnej szabli. Wykorzystałem praktycznie tę wiedzę i związałem Jurka w kij do własnej jałowcowej laski, po czym zostawiłem go na opisywanej wcześniej skórze dzika przed tapczanem. Wreszcie było trochę spokoju, ale w końcu Jurek zaczął się skarżyć, że jest mu twardo. Żał mi się go zrobiło, ale nie zamierzałem uwolnić go z więzów, bo miałem jeszcze sporo do zrobienia. Próbowałem go przenieść na miękki tapczan, ale cholerna sztywna skóra dzika odsunęła się po parkiecie. Jurek wypadł mi z rąk, waląc bezradnie niechronioną głową o podłogę. Krew z nosa, krew z wargi. Natychmiast rozwiązałem wrzeszczącego brata z pęt, ale co się stało, to się nie odstanie. Po powrocie mamy Jurek, szlochając, poskarżył się na moją nieudaną „opiekę”. Oczywiście trudno było mu nie uwierzyć, patrząc na spuchniętą wargę. Oberwałem za swoje wtedy i niestety obrywam do dzisiaj, bo Jurek wypomina mi to przy różnych okazjach.

Warga Jurka musiała mieć jakieś przyciągające działanie, gdyż innym razem bawiliśmy się w jakiś taki „porąbany” hokej na trawie (bez trawy) dużą gumową piłką, którą Jurek uderzał małym kijkiem, a ja dużym grabowym drągiem. W ferworze zabawy chciałem efektownie odbić piłkę, jednak trafiłem niefortunnie i odbił się od niej mój drażal. Pech chciał, że trajektoria poruszania się jego końca przecinała punkt przestrzeni, w którym akurat znajdowała się górna i dolna warga mojego brata. Zabawa na tym się skończyła. Jurek do dzisiaj twierdzi, że walnąłem go tym drągiem, a tymczasem uderzyła go tylko trajektoria.

Oczywiście skargi nie są kompensowane pochwałami.

Ciotka Janka paliła giewonty. Było to już w okresie, gdy ładny górski widoczek zastąpiony został paskudnym góralek na żółtym tle. Otóż tego dnia ciotka dała Jurkowi pieniądze i wysłała go po papierosy do pobliskiego sklepiku. To było chyba jakoś tak pod jesień, bo Jurek miał taką rudą jesionkę i w niej zjawił się w domu. Z odległości 1,5 m czuć było od niego dymem. Na pytanie, co się stało, zaprowadził mnie na miejsce w naszym lasku, gdzie nieudolnie próbował spalić resztki pudełka zapalek, ale w sumie na szczęście bez powodzenia. Wyjął z kieszeni paczkę giewontów, w której była mała dziurka i brakowało jednego papierosa. Okazało się, że przedsiębiorczy braciszek próbował się z paleniem papierosów. Aby usunąć ślady zbrodni, chciał spalić pozostałości pudełka zapalek i niedopalonego papierosa. Wpadłem w niezłą panikę, bo papierosy były oczywiście surowo zabronione, a na dokładkę jeszcze złamany został kolejny zakaz, to jest ogień ogrodzie! Najpierw

wziąłem się za Jurka i kazałem mu żuć zielone pędy cebuli, żeby jakoś zamaskować smród papierosa. Na nieszczęście okazało się, że zamiast zamaskować, jeszcze bardziej go podkreślił. Resztki zapalek i ślady popiołu wrzuciliśmy sprytnie do kloaczego dołu. Pozostała kwestia napoczętej paczki papierosów. Umówiliśmy się, że Jurek z płaczem powie, że pieniądze zabrały mu jakieś chłopaki (znów się wstydzę), i ciotka tym razem wysłała mnie po papierosy. Napoczęta paczka zasiła nasz słoikowy magazyn w krzakach, a całe zdarzenie udało się utrzymać w tajemnicy i na szczęście ani Jurek, ani ja nie ponieśliśmy żadnych konsekwencji.

Tego się oczywiście nie pamięta!

*Ciekawe, że program, którego używam do dyktowania tego tekstu, rejestruje również moje reakcje na domagającego się zainteresowania psa (którego nawet nie próbuję związać w kij): ten program delikatnie formułuje moje okrzyki za pomocą gwiazdek\*\*\*\*\**

Dostałem kiedyś w prezencie rower. Piękny mały, młodzieżowy, marki Bałtyk, pachnący świeżością, gumą i farbą. Ucieszyłem się bardzo. Ojciec pomógł mi w pierwszych podejściach, parę razy biegnąc za mną, trzymał za siodelko, ale dość szybko udało mi się złapać równowagę i mogłem jeździć już samodzielnie.

Jeździłem po ogrodzie, w którym było nawet dość miejsca na to, żeby się rozpędzić, ale oczywiście chciałem wypróbować nowy „pojazd” na prawdziwej drodze. Ojciec też wyremontował sobie stary rower Krzyśka i czasem jeździliśmy na wspólne wycieczki. Był jeszcze trzeci rower, ciotki czy kogoś innego, w każdym razie stał bezczynnie i straszył grubymi oponami, które w potocznym języku nazywały się *balonowy*. Ojciec kiedyś pojechał na tym rowerze do pobliskiego Pruszkowa i długo nie wracał. Czekaliśmy na niego, bo już dawno powinien być na obiedzie, a tu powrót taty nie następował. Po jakiejś godzinie usłyszeliśmy skrzypienie furtki, więc popędziłem na powitanie i oczom moim przedstawił się ponury widok. Na drodze od furtki pojawił się ojciec na piechotę. Koszulkę miał podartą i poplamioną krwią. W prawej ręce trzymał rower, a w lewej jego przednie koło. Okazało się, że kiedy jechał ścieżką obok torów kolejki, w pewnym momencie złamał się widelec. Ojciec walnął nosem w grubą oponę, a obsuwając się po nasypie, poszarpał o krzaki i kamienie koszulkę i skórę. Widok był dość dramatyczny, ale po pewnym czasie, gdy emocje się uspokoiły, zaczęliśmy się wszyscy z tego śmiać, bo na szczęście ojcu nic poważniejszego się nie stało.

Dziadek wbił przy podjeździe do garażu grubą dechę, aby ograniczyć otwieranie drzwi garażowych. Kiedyś w przyływie znudzonej kreatywności wpadłem na pomysł, żeby z tą dechą się rozprawić. Była wbita bardzo mocno, więc nie udało mi się jej wyciągnąć gołymi rękami, ale cóż, zmysł wynalazcy podsunął mi świetny pomysł. Wziąłem z drwalki kawał mocnego sznura i przywiązałem go do tej dechy. Drugi koniec przymocowałem do siodelka roweru i pomyślałem: „Decho, teraz padniesz!”. Wsiadłem na rower, a lina była wystarczająco długa, żeby nabrać solidnego rozpędu. Niestety, okazało się, że wygrała decha. Stała tak jak stała, ale rower zatrzymał się w miejscu, a ja przeleciałem przez kierownicę i zrobiłem sobie solidną szramę hamulcem na nodze. Od tego czasu mam wyjątkowy szacunek do wbitych przez kogoś kołków czy innych słupków.



Strzelanie było czymś szczególnie pociągającym. Mieliśmy z Piotrkim oczywiście proce. Najlepsze widelki były z bzu, natomiast do naciągu używaliśmy gumy modelarskiej.



*To zdjęcie przedstawia procę „typ ciężki”, zdolną do ataku na powierzchnie szklane (np. okna). Nasze były znacznie delikatniejsze.*

Trzeba było na nią składać zamówienia u ojca, ale na szczęście jego biuro było tuż obok składnicy harcerskiej na Marszałkowskiej i nie sprawiało mu większego problemu, żeby zaopatrzyć nas w odpowiedni zapas. Oczywiście trzeba było wyszukać odpowiednie kamyki, gdyż zbyt kanciaste i nierówne leciały krzywo, a na dokładkę wydawały z siebie jakieś takie głupie furkoczące buczenie. Kamyki były towarem i nie było ich pod ręką zbyt wiele, jednak w lecie pojawiała się doskonała alternatywa. Były nią niedojrzałe mirabelki, doskonale owalne pasowały do naszych skórek i leciały precyzyjnie w zamierzonym kierunku.

Naprzeciwko mieszkał starszy od nas kolega Wojtek, z którym często się bawiliśmy, i właśnie u niego rosło szczególnie dużo mirabelek. Zazwyczaj atakowaliśmy we dwóch z Piotrkim Wojtka, który chował się za grubą lipą i ostrzeliwał nas stamtąd bez litości. My jednak sprytnie ustawialiśmy się w tyralierę, tak że mogliśmy strzelać do niego pod różnym kątem. Była to świetna zabawa, bo Wojtek był fajnym kolegą, ale bardzo szybko tracił opanowanie i wściekał się, jeśli mu coś nie wyszło. Byliśmy z Piotrkim bardzo zgrani i czasem zza tej lipy wyłaniał się jakiś skrawek Wojtka, w który strzelał jeden z nas. Wojtek podskakiwał i wtedy z drugiej strony pokazywał się jeszcze większy kawałek Wojtka, w który z kolei strzelał np. Piotrek. Wojtek po paru takich razach kończył zabawę i zły wracał do domu

W jego domu mieszkało kilka rodzin, a była to stara willa, którą zaplanowano na najwyżej dwie rodziny, i przez to znajdujące się tam szambo nie mogło sprostać ilości produkowanych ścieków. Przypuszczam, że mieszkańcy zobowiązani byli na zmianę pompować ręczną pompką ich nadmiar ze studzienki przelewającego się szamba, tak że prawie zawsze w kącie ogrodu stało jeziorko cuchnącego świństwa.

Nasze aspiracje sięgały z czasem poza granice naszych trzech ogrodów. Naprzeciwko Wojtka, na ulicy Klonowej, mieszkał kolega Klimaszewski, który wokół siebie miał paru chłopców, niby bandę. Kiedyś zostaliśmy wyzwani na “wojnę”. Był akurat sezon na zielone mirabelki, tak że zarówno my, jak i przeciwnicy mieliśmy pod dostatkiem amunicji. Nasze wytrenowane umiejętności strzeleckie przewyższały znacznie zdolności przeciwników, którzy poobijani schronili się u swojego przywódcy na ganku. Ganek miał betonową barierkę, więc schowani za nią byli absolutnie nie do ruszenia. Wtedy któryś z nas wpadł na genialny pomysł i znalazł gdzieś



butelkę napełnił cieczą z tego bajorka w kącie ogrodu. Uzbrojeni w granat ruszyliśmy frontalnie do szturmu. Po rzuceniu granatu, który wprawdzie nie doleciał, ale rozbił się o barierkę i roztoczył wokół odurzający aromat, przeciwnicy rzucili się do wnętrza domu, zamykając drzwi, bo nie wiedzieli, czy nie mamy przypadkiem drugiego. W tych drzwiach po chwili pojawiła się mama i niestety przyuważyła nas w trakcie „planowanego odwrotu”. Obyło się wprawdzie bez większych konsekwencji, chociaż pani Klimaszewska nie odpowiadała przez prawie rok na moje grzeczne dzień dobry.

Kiedyś zaczęła się „era prochu”. Zdobyłem skądś recepturę czarnego prochu. Siarka była w dużych grudach, podobnie jak węgiel drzewny. Trzeba było je rozdrobnić. Doskonale nadawał się do tego młynek babci, w którym mieliłem dla niej cholernie twardą, pokruszoną młotkiem hubę. Był to środek antyrakowy, ale myślałem, że dodatek resztek siarki nie powinien zakłócić działania huby, chociaż regularne siarczyste spięcia babci z ojcem przy brydżu mogły mieć z tym jakiś związek.



*Wielofunkcyjny młynek babci*

Mając na uwadze opowieści o wypadkach przy mieleniu wszystkich trzech składników naraz, „kręciłem” najpierw siarkę, potem węgiel, a saletra była już w proszku. Odmierzałem proporcje i starannie mieszałem w słoiku. Prochownia była oczywiście za żywopłotem w ogrodzie. Podpalona próbka potwierdzała jakość produktu.

Od dziadka dostawałem puste gilzy z wystrzelonych naboju do dubeltówki. Doskonale nadawały się do wykonania silnika raketowego. Po wybicciu zużytej spłonki powstawał otwór tworzący dyszę. Pierwsza próba miała przebieg dość mierny. „Silnik” zamocowałem na wózek z jakiejś drewnianej zabawki i w nadziei na wystrzałowy efekt zacząłem odliczanie. Napełniona czarnym prochem, zatkana i zabezpieczona z drugiej strony gilza nie dawała się odpalić! Wreszcie rozżarzyłem czubek listewki i wetknąłem w otwór po spłonce. Z sykiem wydobył się płomień, ale wózek ani drgnął. Ładunek efektownie się wypalił, ale poza tym nic więcej. Później wyczytałem czy dowiedziałem się, że konieczne jest *ziarno*, tj. kanał przez całą długość silnika, aby spalanie odbywało się na większej powierzchni jednocześnie. Włożony w otwór po spłonce gruby gwóźdź przy napełnianiu silnika prochem rozwiązywał problem. I rzeczywiście – po odpaleniu silnik ryknął i wózek ruszył z kopyta.

Stąd był już tylko krok dla następcy Ciolkowskiego. Kartonowa rurka ze statecznikami i korkowym czubem była piękną raketą. Pozostała kwestia zapłonu. Tu jednak pomógł duch Dobromira. Z rozbitej żarówki wydobyłem wolframowe włókno i połączyłem kawałek miedzianego kabla z płaską baterią do „zapalnika”.

Poligon raketowy był w ogrodzie owocowym, aby nie stwarzać sosnowego zagrożenia. Start odbył się bez przeszkód. Rakieta osiągnęła pułap przewodów elektrycznych, ale i tak uważałem to za ogromny sukces. Były również rakietki na wodę, pompowane pompką do piłki latały trochę wyżej, ale to była przecież od początku do końca moja własna konstrukcja!

Praktycznie w każdą sobotę w domu grało się w brydża. W kuchni zasiadali rodzice, babcia i pani Zosia albo jakiś inny „czwarty”. Mama przygotowywała jednoręczne przekąski, aby nie zakłócać przebiegu gry. Bardzo smakowały mi grzanki z topionym serem i kminkiem.

Czasami atmosfera bywała lekko napięta, gdyż babcia miała zszarpane „urlopem” w Kazachstanie nerwy, a ojciec miewał fazy, gdy na nich „przygrywał”. Szczególnie skuteczne było niewinne postukiwanie palcami po stole, które bez wyjątku wyprowadzało babcię z równowagi.

Kiedyś podczas rozgrywek hałasowaliśmy z Jurkiem w mojej przyległej klitce i ojciec, chcąc nas uciszyć, zamiast „Cicho!” wrzasnął „Kiery!”. Okazało się, że on też może być wyprowadzony z równowagi.

To zdarzenie przeszło do rodzinnej historii.

## Zakupy

Zakupy codzienne robiliśmy w dwóch pobliskich sklepikach u pani Kalińskiej. Kupowało się warzywa, kiszoną kapustę i także ogórki oraz piwo. Pani Dobaczewska obok miała pieczywo, piwo, lody i słodycze. Z pieczywa zasadniczo kupowało się tylko bułki paryskie za 2 lub 4 zł i chleb łączycki z czarnuszką. To dostarczała piekarnia i zawsze z rozkoszą wdychałem wspaniałe zapach świeżego pieczywa, a zamięłowanie do czarnuszki pozostało mi do dziś. Lekko potrzaskujący dźwięk wrzucanych do kosza jeszcze ciepłych bochenków był również niepowtarzalny.

Lody waniliowe w waflowych muszelkach były także wspaniałe, jednak kiedyś pojawiły się w nich salmonelle i ktoś się chyba nawet przy okazji przekreślił.

Chleb razowy dostarczał inny piekarz, którego dwaj synowie uczęszczali ze mną do szkoły; nie miało to wpływu na smak chleba, w którym szczególnie gustowała mama. Jeden z nich o imieniu Adolf – ponury typ ponurego ojca - dostał podobno kiedyś w przyszłości wyrok śmierci za morderstwo. Wtedy nasza miejscowość pojawiła się po raz pierwszy w prasie centralnej, ale powód był niezbyt chwalebny.

Przed samą stacją był tajemniczy budynek z nie mniej tajemniczym małym okienkiem. Okienko było zakratowane i bardzo często stał pod nim jakiś facet. Potem okazało się, że „zadrapani” piwem kolesie stawali pod tym okienkiem, bo za nim znajdowała się dobroduszna pani (potocznie babka), która „przypadkowo” miewała w domu pół litra i odstępowała je chętnie „za parę groszy”. Często stojący tam dręczeni pragnieniem koleżkowie nie mieli tych groszy i błagali tę dobroduszną panią o pół litra na kredyt. W tym miejscu jednak dobroduszność brutalnie się kończyła, okienko

zamykało i nieśmiałe pukanie nie przynosiło już efektu. Wszyscy wiedzieli o tym, że jest tam melina, ale jakoś nikomu to specjalnie nie przeszkadzało.

Na stacji kolejki był kiosk Ruchu, w którym można było kupić prasę, papierosy, w pewnym okresie tabakę i opisywaną oranżadę w proszku.

Dalej wzdłuż torów, po lewej stronie był sklepik ze wszystkim. Kupowało się tam szkolne wieczne pióra, zabawki, zeszyty i jakieś inne plastikowe drobiazgi.

Dalej, po prawej stronie stały trzy czy cztery budki z różnymi rzeczami. Były tam chyba ciuchy, jakieś drobne meble itp.

Bardzo ważnym i największym budynkiem w naszym *city* była tak zwana spółdzielnia, w której kupowaliśmy najprzeróżniejsze rzeczy. Do moich obowiązków należało między innymi zaopatrywanie domu w cukier i mąkę. Babcia pracowała wtedy w Horteksie i pod koniec lata przynosiła nam wielkie puszki z resztką miodu. Po opróżnieniu pojemników mama je myła i właśnie z nimi chodziłem po cukier i mąkę. Cukru wchodziło do jednego z nich siedem kilogramów, a mąki do drugiego pięć, ale jako krzepki chłopiec nie miałem problemu z zataszczeniem ładunku do domu. Tam kupowało się również tłuszcze, kielbasę i domową chemię.

Kiedyś w zimie dostarczono do spółdzielni masło w bloku. Była to drewniana konstrukcja z listewek w kształcie beczki z masłem w środku. Mama dowiedziała się o dostawie, więc ruszyłem w śniegu i zawierusze po masło. Blok był mocno zamarznięty i sprzedawczyni mozolnie próbowała odcinać kawałki masła, tak aby zważyć moje dwa kilo. W rezultacie dostałem kawał papieru, w którym było kilka większych kawałków i mnóstwo małych grudek masła. Po powrocie do domu spróbowałem małe okruszki i tego smaku do dzisiaj nie mogę zapomnieć.

Strefę handlową zamykała kolejna budka, w której było piwo, jajka, warzywa i temu podobne. Na zapleczu można było przynieść albo kupić pół litra i spożyć go z kolegą lub kolegami w miłej atmosferze pod małe jasne.

Sezonowe warzywa, których nie mieliśmy we własnym ogródku, kupowane były w różnych miejscach. Do ogrodnika na przedłużeniu naszej Brzozowej chodziłem po sałatę i ogórki. Ułamkiem stołowego noża odcinał z chrupiącym odgłosem dorodne główki sałaty rosnące w inspektach. W jego ogrodzie był również duży i pusty betonowy basen, który nigdy za moich czasów nie był napełniony wodą. Szkoda, bo może przez to nigdy nie nauczyłem się przyzwoicie pływać.

Pomidory „wole serca” przynosiłem od ojca mojej koleżanki z klasy, który poza uprawianiem tych wspaniałych okazów był rękawicznikiem. Bardzo długo po tym kupiłem od niego wspaniałe grube „renifery”, które straciłem dopiero przy wkopywaniu pamiątkowego krzyża w 1982 w polskiej parafii w Hanowerze. Zgubiłem je tam i nigdy już nie udało mi się zdobyć takich samych.

Kiedyś wracając ze spółdzielni z miesięczną porcją cukru i mąki, zobaczyłem leżącą na krawędzi wykopu torów kolejki EKD martwą kobietę. Nie było chyba jeszcze zbiegowiska. Była to starsza pani i wstrząsnął mną widok jej zaciśniętych jakby kurczowo pięści. Porzuciłem puszkę i wyrzuciłem z siebie cały obiad.

## Kulinaria

Podstawowym rodzajem mięsa była cielęcina, którą kupowaliśmy, oczywiście na lewo, u matki mojego szkolnego kolegi Andrzeja. Stamtąd przynosiłem również mleko w pięciolitrowej aluminiowej bańce.

Śmietana, jajka i biały ser przychodziły same z babą uczeponą do kosza. Nie będę się rozpływał, ale wszyscy, którzy pamiętają tamte czasy, wiedzą, że było to coś w smaku obecnie nieporównywalnego.

Nabiał, w tym mleko, odgrywało w codziennym jadłospisie dużą rolę. Paskudna kasza manna na mleku, od której miałem nadzieję się uwolnić po wyjściu z wieku butelki ze smoczką, dopadła mnie jednak i później. Miałem też rozterki, czy płatki na mleku powinny być słone, czy słodkie. Najbardziej lubiłem kakao i to chyba nikogo nie dziwi. Głównym napojem porannym była kawa zbożowa z mlekiem i w zasadzie było mi obojętne, czy to Turek, czy coś innego.

Nie znosiłem kożuchów, którymi obwieszałem kubki, z których piłem, bo niestety brakowało mi cierpliwości na ciągłe mieszanie gotowanego mleka, gdyż tylko wtedy kożuch się nie robił. Oczywiście dotyczy to posiłków porannych, gdy nie było sensu rozpalać pod kuchnią. Podgrzewanie mleka odbywało się na elektrycznej „maszynce”, w której od czasu do czasu przepalała się spirala, ale szybko opanowałem sposób jej prowizorycznej naprawy.



*Niezwykle ważny wtedy sprzęt „maszynka”*

Cały czas istniało niebezpieczeństwo, że mleko wykipi, i maszynka nosiła ślady tych wydarzeń w dużej ilości. Kiedyś ojciec przyniósł świetny patent. Był to aluminiowy garnek z podwójnym płaszczem. Napełniało się go wodą, a do wnętrza wlewało się mleko. Wbudowany gwizdek sygnalizował, że woda, a tym samym mleko, się zagotowały. Myślę, że najbardziej wdzięczna za ten zakup była właśnie maszynka. Na tejże maszynce smażyło się również poranną jajecznicę bądź niedzielne jajka sadzone ojca. Jedliśmy oczywiście też jajka na miękko i tu moja babcia ze swoim nawykiem do przyrządzania wszystkiego w specjalny sposób dorzucała do żółtka płatek masła.

Nasza dieta nie zawierała nadmiernej ilości mięsa. Jak już wspomniałem, głównym jego rodzajem była cielęcina. Mama przyrządzała ją na rozmaite sposoby. Robiła pieczeń w jakimś tam sosie, która niestety przy dłuższym przeżuwanym stawała się włóknista i trudno było ten kłęb nitek przełknąć. Przy naszym stole panowały drakońskie zwyczaje, gdyż to, co było nałożone na talerz, musiało być bezwzględnie zjedzone. Ta cholerna pieczeń cielęcą stała mi kulą w gardle, której ani nie mogłem

przełknąć, ani nie wolno mi było jej wypluć. Czasami zdarzało mi się jeść obiad godzinę albo dłużej, zanim udało mi się jakoś chyłkiem pozbyć tych włókien.

W przeciwieństwie do tego kotlety mielone mamy smakowały niebiańsko, pomimo dodawania do zestawu marchewki lub buraków, które paradoksalnie polubiłem dopiero znacznie później. Musiałem widocznie do nich po prostu dojrzeć.

Przekleństwem były dni “zdrowej” wątróbki. Mimo smakowitego i pachnącego przyrządzenia z cebulką itp. jej smak wybitnie mi nie odpowiadał. W ramach obowiązujących przepisów wiedziałem doskonale, że nie mam szans, żeby na przykład powiedzieć, że wątróbki nie lubię i jej nie zjem. Aby uniknąć przeżuwania, kroilem ją na małe kawałki, tak aby móc przełknąć je w całości, i pewnie dlatego jestem jeszcze jako tako zdrowy.

Inną ulubioną potrawą było risotto. Była to pokrojona w kostkę pieczeń cielęca zasmażona z cebulką i zmieszana z ryżem. Ówczesny ryż był podłego gatunku, ale w postaci tego risotta był bardzo smaczny.

Czym innym był natomiast w zupie pomidorowej i tylko z trudem udawało mi się go przełknąć. Zupy były praktycznie do każdego obiadu, pomidorowa była chyba najczęściej, ale były też jej bardzo smaczne koleżanki. Do zup przecieranych, grochówki i jarzynowej, mama robiła zwykle grzanki. Nie jestem całkiem pewien, czy polubiłem te zupy ze względu na ich smak, czy po prostu dzięki grzankom. Po skończeniu obiadu dojadalem jeszcze pozostałe chrupiące kostki. Smakowały znacznie lepiej niż wszelkie dzisiejsze chipsy, paluszki itp. Rzadziej była zupa grzybowa z kluskami, którą też lubiłem.

Oczywiście w niedzielę królował rosół z makaronem. Makaron mama robiła sama i nie było żadnego porównania z jakimkolwiek makaronem kupnym, nawet dzisiaj, gdy jest jego niezliczona ilość odmian. Wydaje mi się, że poza samą konsystencją i smakiem rolę odgrywało to, że makaron miał przekrój kwadratowy. W niedzielę przed południem w różnych miejscach suszyły się placki ciasta, które potem zwinięte w rulonik były krojone w długie nitki.

Z rosółem wiąże się pewna historia. Już w latach chłopięcych miałem skłonności do zachowań kompulsywnych. Pewnej niedzieli, będąc w trakcie jednej z „modelarskich” chorób, nie mogłem powstrzymać się od drugiego talerza rosółu z makaronem. Po tym drugim poprosiłem o kolejny. Mama była szczęśliwa, że mam apetyt, co było oznaką powrotu do zdrowia. Niestety okazało się, że były to “wilcze oczy” niezgrane z “popim gardłem” i mój żołądek nie wytrzymał naporu pokarmu. Nadmiar wydostał się znienacka przez wszystkie otwory, które mam w twarzy, a makaron ozdobił zwiniętą w rulon starą kołdrę, która służyła mi za wałek. Nie bardzo mogłem to wytłumaczyć, ale zostało to położone na karb trwającej choroby. Stara kołdra była potem do wyrzucenia, ale po pierwsze, była rzeczywiście stara, a po drugie, odsłoniła szczelinę między tapczanem i ścianą, w której później z powodzeniem chowałem wydłubane z ciasta rodzyнки.

Były też zupy w moim pojęciu wybitnie paskudne. Babcia, troszcząc się prawdopodobnie o kulinarne wykształcenie córki, robiła dwie „eleganckie” zupy. Koperkowa z moim „ulubionym” kleistym ryżem dawała się jeszcze jakoś przełknąć,

natomiast zupa cytrynowa była absolutnie nie do przyjęcia. Nie wiem, jak się z niej wyłgałem, ale po tym doświadczeniu uznałem, że zupy z wyższych sfer nie są moim ulubionym daniem. Bardzo lubiłem natomiast ludową kartoflaną czy barszcz ukraiński, a trochę mniej kapuśniak czy ogórkową, bo w potrawach kwaśnych nigdy specjalnie nie gustowałem. W szczawiowej były przynajmniej jajka na twardo, co trochę równoważyło jej kwaśny smak. Barszcz czerwony był natomiast zupą wyłącznie świąteczną i nie występował w normalnej rzeczywistości.

Poza mięsem mieliśmy do dyspozycji całą gamę potraw bezmięśnych. Mama twierdziła, że zrobić coś z mięsa potrafiłby tylko głupek, i mogę to potwierdzić jako tenże.

W zasadzie pierogi zaliczałem, zgodnie z ich klasztorną genezą, również do dań bezmięśnych. Niedzielne rosołki dostarczały wystarczającej ilości materiału na nadzienie. Na szczęście nie przyjęła się u nas w domu, sugerowana znów przez babcię, sztuka mięsa w sosie chrzanowym. Myślę, że ojciec nie miałby nic przeciwko, ale jakoś udało nam się go przegłosować. Dzięki temu pozostałości rosołowe po przepuszczeniu przez „maszynkę” i doprowadzeniu cebulką, pieprzem i gałką muszkatołową, zasmażeniu w zebrany z rosołu tłuszczem, stanowiły doskonałe nadzienie do pierogów. Nie mniej smakowite były naleśniki z mięsem, które nazywają się czasem krokietami. U nas nazywały się naleśnikami z mięsem.

*\*\*\*\* Diba, bo ty mnie wytrącasz \*\*\*\* z równowagi Siedź spokojnie tam, gdzie jesteś, j \*\*\*\*\* tak, mój psiaku. Ja teraz dyktuję, a obiadek będzie niedługo!*

Pozostały z niedzieli makaron miał również świetne zastosowanie. Z pokrojoną w plasterki „zwyčajną” kielbasą był przez mamę pieczony w „czarodziejskim” garnku, który był zwykłym cienkim aluminiowym garnkiem. Zewnętrzna część „babki” miała brązowy kolor i tworzyła chrupiącą skorupkę z zapieczonymi w niej kawałkami kielbasy. Garnek był z pewnością czarodziejski, bo do dziś nie udało mi się, mimo wielu prób, osiągnąć tego efektu.

Nadzienie pierogowe znajdowało również zastosowanie w bardzo smacznej zapiekance z warstwami kartofli przekładanych warstwami mięsa i zapiekanej po zalaniu masą z jajek i mleka.

Nie można pominąć potrawy nazywanej u nas w domu *pyza*, która z pyzami nie ma nic wspólnego. Były to bułeczki z drożdżowego ciasta nadziewane tym pierogowym farszem lub nadzieniem ze słodkiej kapusty z grzybami, układane w garnku po umoczeniu w roztopionym maśle. Pieczone jak babka do zrumienienia, dzięki maślanej kąpieli bułeczki oddzielały się bez trudu od siebie i ich smak był astralny. Udało mi się w późniejszym życiu praktykować sporządzanie tej potrawy ku zadowoleniu zapraszanych gości.

Porzućmy więc już hybrydy, gdyż mieliśmy niemało potraw czysto wegetariańskich. Pisałem już o kotletach kartoflanych z sosem grzybowym, które doprowadziły mnie o krok do modelarskiej katastrofy. Kotlety nie były niczym innym jak dzisiejsze krokiety sporządzane z gotowanych kartofli z mąką i jajkiem, otoczone w bułce i smażone na patelni. Sos z suszonych grzybów, które zawsze mieliśmy w zapasie, pasował do tego idealnie. Pasował również do kaszy gryczanej czy kopytek, których do dzisiaj nie udało mi się zrobić o takiej konsystencji, jaką jadłem w domu. Mama pyta



niezmiennie odpowiadała: „Na oko”, więc ja z pewnością mam jakiś kulinarny astygmatyzm. Wychodzą mi albo twarde jak kamień, albo rozgotowują się - przestałem już próbować i kupuję w garmażerce.

Grzyby obecne były nie tylko w zupie. Wykorzystanie suszonych było bardzo wielostronne. Pieczarki natomiast należały raczej do rzadkości. Pieczarkarnie dopiero się rozwijały, a te pieczarki, które znajdowałem czasem w części leśnej ogrodu, nie miały praktycznie żadnego znaczenia.

Rodzice wyruszali czasem jesienią na gąski, które smażone na patelni były pyszne. Problem stanowił piasek, który trudno było usunąć z blaszek. Któraś wyprawa była szczególnie udana. Łup nie mieścił się w miednicy z lekko osoloną wodą, która to kąpiel ułatwiała separację piachu.

W tym czasie mama mogła już prac z pomocą pani Frani.



*Dzięki Frani pranie było mniej uciążliwe i tylko wielkie pranie pościeli i obrusów z gotowaniem odbywało się w piwnicy.*

Wpadłem na genialny pomysł – nalałem do pralki wody i wrzuciłem do niej część gąsek. Włączałem na moment wirnik, licząc na to, że ruch wody „wypędzi” piasek spośród blaszek. Byłem tak pochłonięty eksperymentowaniem, że dopiero za trzecim razem usłyszałem natarczywe pukanie do drzwi. Zerwałem się i okazało się, że to listonosz z jakąś poleconą przesyłką, którą trzeba było podpisać. Po powrocie zobaczyłem, że w pośpiechu zapomniałem wyłączyć pralkę! Pracowita Frania wprawdzie oddzieliła piasek, ale potem „uprała” wszystko i na powierzchni pływała galaretowata masa pozostała z gąsek. Pospiesznie wyłowilem ją jakimś sitkiem i wyrzuciłem na kompost, przezornie przykrywając urobek warstwą ziemi. Po powrocie mamy wiosłowałem beznamiętnie ręką w miednicy z resztą ocalałych grzybów. Małe gąski wędrowały z reguły do weków z marynatą octową. Jadłem je wprawdzie, ale bez entuzjazmu, bo z octem miałem na pieńku.

Ważną pozycją były naleśniki. Jajka od baby i mleko od sąsiadki w połączeniu z mąką ze spółdzielni tworzyły fantastyczny materiał do wypieku cieniutkich naleśników. Jak wyżej wspomniałem, nadziewane były farszem mięsnym lub też słodką kapustą z grzybami, ale dzięki dostawom białego sera od baby z dodatkiem żółtka też od niej i wanilii ze Spółdzielni można było zrobić nadzienie o niezwykłym smaku. Były również nadziewane konfiturami własnej roboty, ale te z serem były absolutnie na topie. Mama smażyła te konfiturowe złożone w trójkąty, natomiast te z serem były zwinięte w rurki. Po ich odsmażeniu końcówki, jak ogon ryby z patelni, były chrupiące no i po prostu pyszne.

Nie mniej smakowite były pierogi leniwe posypane cukrem i polane masłem z bułką tartą (astygmatyzm podobny jak w przypadku kopytek).

W sezonie jedliśmy również dużo obiadów owocowych. Gdy zaczynały się papierówki, mama robiła zupę jabłkową i ta zupa była też z grzankami! Więcej nie muszę tłumaczyć.

Gdy pojawiały się maślaki, własnej roboty kluseczki krajanka z sosem maślakowym tak długo śniły mi się po nocy, aż zacząłem, już we własnym domu, wyjątkowo na tę okazję, robić w sezonie domową krajankę na stolnicy.

Zazwyczaj pierogi były nadziewane mięsem lub kapustą z grzybami, ale w lecie zmieniały całkowicie swoje oblicze. Czereśnie wydrylowane spinką do włosów stanowiły świetne nadzienie do pierogów. Jadło się je na zimno z sosem z kwaśnej śmietany z dużą ilością cukru. W następnej kolejności pojawiały się jagody i powtarzane było to samo, tyle że ze zmianą owoców. Jeśli nie było czasu lub ochoty na lepienie pierogów, podobny efekt dawały domowe kluski z przesmażonymi jagodami i sosem śmietanowym.

W sezonie śliwkowym zjawiały się na stole knedle ze śliwkami posypane cukrem z cynamonem.

Oczywiście kartofle nie mogą być pominięte. Klasyczne placki kartoflane jedliśmy najczęściej ze śmietaną, a dzieciaki z cukrem. Ja też nawet dzisiaj trzymam się tego zwyczaju, chociaż zdarzało mi się, szykując coś bardziej wystawnego, zrobić z tej masy gofry jako jeden z dodatków do dań mięsnych.

W okolicy, z której pochodziła większość nostalgicznych opowieści ojca z czasów międzywojennych, praktykowane było przyrządzanie *kugła* czy *gugła*. Do garnka wkładało się tarte kartofle i jakiś rodzaj mięsa – żeberka, karkówkę - i wstawiało się, po wyjęciu chleba, na całą noc do pieca.

Pewnego razu pani sołtys w czasie naszych odwiedzin na grobie dziadka postanowiła nas ugościć. Nie miała ani żeberka, ani karkówki. Nie miała również chlebowego pieca, więc wtrąciła do prodiża młodą indyczkę. Mama, dłubiąc w jeszcze rzadkiej masie, odkryła, że w pośpiechu gospodyni chyba nawet nie zdążyła indyczki do końca wypatroszyć.

Dodatkiem do różnych potraw były kartofle odsmażane. Babcia, a po niej mama robiły kartofle w talarkach, które skrupulatnie odwracane na drugą stronę, były równomiernie zrumienione. Ojciec z kolei lubił kartofle “przepuszczane przez maszynkę”, co tworzyło stertę napuszonych nitek kartoflanych. Mnie to specjalnie nie smakowało i dlatego prosiłem zawsze o kartofle tłuczone lub puree.

Wyjątkową okazją były chwile, gdy pod nieobecność mamy zostawała ze mną ciotka Hania. Wtedy robiła mi na patelni frytki ze świeżych kartofli. Zdarzało się, że moje łakomstwo skłaniało Hanię do przyrządzenia drugiej patelni.

Pyzy klasyczne mama zrobiła może raz czy dwa razy, ale nie spotkały się z jakimś entuzjastycznym przyjęciem. Często trafiały się kluski tak zwane “kładzione”, których nie lubiłem, bo były twarde w porównaniu ze smakowitą krajanką. Podobnie nie

smakowały mi zacierki, które panie jednak reklamowały jako świetny dodatek do zupy zalewajki. No i jeszcze kluseczki lane, które z rosółem były doskonałe.

W sezonie gdy przyjaciele rodziców cierpieli na nadmiar fasolki szparagowej, wracaliśmy od nich z pełną wielką torbą. Obierałem ją z mamą i później delektowaliśmy się zieloną stertą polaną suto masłem z tartą bułką.

Innym sezonowym rarytasem była kukurydza. W naszym ogródku warzywnym co roku była wyznaczona duża grządka dla dobranego gatunku słodkiej kukurydzy. Po zasiewie rozciągaliśmy nad nią z ojcem na kołkach skośne nitki, aby zniechęcić ptaki do wydłubywania nasion. Obserwowałem z ciekawością wschodzące roślinki, które pod jesień zamieniały się w zielony gąszcz. Wczesnym wieczorem ruszaliśmy we dwóch z ojcem na zbiór. Ojciec szeleścił w poletku i wyłamywał dojrzałe kaczany. Te z kolei wyrzucał, a naszym z Jurkiem zadaniem było je znaleźć i włożyć do koszyka. W kuchni mama szykowała duży garnek osolonej wody, a my w tym czasie zdzieraliśmy zielone liście osłonowe i męskie „czupryniki”. Zapach gotowanej kukurydzy rozchodził się po całej kuchni i czekaliśmy wszyscy zaślinieni na moment, gdy będzie gotowa. Na stole stało masło i każdy miał swoją solniczkę. Przez pewien czas słychać było tylko pracowite żucie, przerywane czasem zachwyconymi wykrzyknikami. Mama wolała miękkie młodsze kaczany, a mnie smakowały bardziej te pomarańczowe i do dzisiaj przedkładam kukurydżę bardzo dojrzałą nad bladą, młodą.

Nagadałem się o licznych specjałach, nie mówiąc już o świątecznym szaleństwie, niech się nikomu jednak nie wydaje, że codzienne obiady były bez deseru.

Słodkie desery były różne. Szczególnie lubiłem dwa z nich. Poza oczywiście obligatoryjnym kompotem z weka, poza sezonem najbardziej smakowały mi wyjęte z kompotu gruszki, do których mama robiła pyszny żółty waniliowy sos. W Niemczech nazywane jest to *Birne Helene*, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Innym deserem, który mi bardzo smakował, była ugotowana na słodko z żółtkiem na sztywno cholerna kasza manna polana rzadkim żurawinowym kisielem. Oczywiście galaretką też się czasem trafiała, ale ze względu na brak chłodnych miejsc była raczej deserem zimowym.

Dziadek od czasu do czasu mówił przedwojenny wierszyk:

*Fe kisielek ja jedynie  
Chcę Strójwasa jeść budynie.*

Budyń też lubiłem, jednak miał on znów coś w rodzaju mojego „ulubionego” kożucha. Z czasem pojawiła się wersja bardziej zbliżona do galaretki pod nazwą *krem*, która już tego kożucha nie miała.

Mama robiła sławne torty. Przy uroczystych okazjach jej największym hitem był tort bezowy z masą kawową, o który wiele lat później w dalszym ciągu upominali się goście. Mnie najbardziej smakował tort orzechowy, który był wilgotny i miał masę kakaową. Nie jest wykluczone, że smakował mi też dlatego, że biszkopt nasączony był czymś z zawartością alkoholu. Prawdopodobnie były to ślady wczesnego alkoholizmu.

Inny tort który, nie był uroczysty, nazywał się „tort z żółtym kremem”. Składał się z czterech placków z kruchego ciasta, z których pierwsze dwa przełożone były konfiturą z mirabelek, a pozostałe dwie przestrzenie wypełniał robiony tradycyjnie z żółtek mleka i wanilii, jak sama nazwa wskazuje, żółty krem. Całość pokryta była ubitą na sztywno pianą z białek zaprawioną jakąś konfiturą. Ten tort smakował wspaniale nie tylko w dzień ekspozycji, lecz na mój gust jeszcze lepiej następnego dnia, gdy wszystkie składniki odpowiednio się przegryzły. Wyjęty ze spizarki był po prostu bajkowy.

## Kontakt ze światem

W moim pokoiku na nocnej szafce stało stare radio Philips.



*To właśnie radio towarzyszyło mi przez wiele lat.*

Trzy kolorowe skale, fale długie, średnie i krótkie zawierały egzotyczne nazwy zagranicznych rozgłośni. Nie wiem dlaczego, ale zapadł mi w pamięć duński Kalundborg. Zwykle radio było ustawione na fale długie i program pierwszy polskiego radia. W ciągu dnia wydobywał się z niego skoczny Feliks Dzierżanowski na zmianę z Mazowszem, Śląskiem i muzyką operową czy poważną. W czasie modelarskich „dolegliwości” skazany byłem na te dźwięki, aby mama zajmująca się czymś w kuchni też mogła słuchać radia. Nie wiem, dlaczego południowy hejnał z Wieży Mariackiej działa na mnie jak czerwona płachta na byka.

Wieczorami i w weekendy przeżywałem z ojcem transmisje z meczów bokserskich z Pietrzykowskim czy Drogoszem lub piłki nożnej ze świetnym Ernestem Polem z Górnika Zabrze. Wieczorami były też słuchowiska, w tym dość przerażający kryminał o jakimś Feliksie Kojro, który zaginął bez wieści. Śnił mi się nawet potem parę razy.

Bywały też chwile tajemnicze, gdy ojciec szukał na falach krótkich Wolnej Europy czy Głosu Ameryki. Nie zdawałem sobie zbyt sprawy, o co chodzi, jednak duże wrażenie zrobiły na mnie dramatyczne sprawozdania z Budapesztu, gdy Imre Nagy wsiadł do autobusu i został wywieziony w nieznanym kierunku.

Z tym radiem związana jest pewna historia. Gdy rodzice wychodzili wieczorem, zostawałem jako opiekun Jurka, a „nadopiekunką” była sąsiadka Wanda. Cóż, gdy Jurka łóżeczko było w dużym pokoju i moją kłitkę dzieliła od niego wielka kuchnia i korytarz. Po zapadnięciu zmroku robiło się coraz ciemniej, a ja, mimo perswazji ojca, ciemności się bałem. Gdy Jurek zaczął płakać, bałem się ruszyć z mojego pokoiku i zacząłem wołać Wandę. Bezskutecznie. Stres narastał szybko – dzieciak płakał, Wanda nie przychodziła, a ja bałem się coraz bardziej. Na drewnianej obudowie

właśnie tego radia trzymał się, przyklejony kiedyś „na ślinę”, papierek od cukierka. Znienacka w ciszę, przerywaną jedynie płaczem Jurka i moim wołaniem, wdarł się znienacka obcy dźwięk. Był to szelest tego papierka, który postanowił się właśnie odkleić. Wywołało to mój atak paniki i wydobyłem z siebie wrzask, który Wanda usłyszała przez dwa przepierzenia i przybiegła, myśląc, że już po nas.

Poza tym jednym przypadkiem byliśmy zaprzyjaźnieni, bo radyjko towarzyszyło mi w czasie wykradzionych edukacji dni zwolnień chorobowych.

Potem pojawiła się w pokoju rodziców Aida – wielka skrzynia z magicznym okiem i adapterem. Ojciec prosił mnie o napisanie nazw utworów, o które mógł zapytać w sklepie z płytami. Napisałem to, co zrozumiałem z radia: fokstrot miror (*Milord Edith Piaf*) i *Mały Kwiatek*. Kupił *Petit Fleur* NRD-owskiej Amigi i oczywiście nie było żadnego „miror”, ale za to dostał czeskiego Suprafonu *Itsy bitsy tiny weeny* i wreszcie można było wypróbować adapter. Z wielkim nabożeństwem (bo igła była diamentowa i delikatna) ramię zostało spuszczone na krążek. Wydobyło się jakieś buczenie, bo płyta była na 33, a nie 78, ale udało się znaleźć zmianę biegu i z głośnika popłynęła sławna melodia Chrisa Barbera w mistrzowskim wykonaniu Monty Sunshine’a, ale o tym dowiedziałem się grubo później. Teraz mogłem już trochę bardziej samodzielnie dysponować starym Philipsem, ale jeśli chodzi o nasłuchy Wolnej Europy, był on nadal najlepszy.

Znów jakimś zrzędzeniem pantoflowej komunikacji pojawiła się informacja o możliwości wykorzystania archaicznej technologii kryształkowej. Wystarczyło zdobyć słuchawkę, zrobić jakąś antenę i uziemić drugi biegun. Pomiędzy nimi była dioda i można było słuchać bez problemu programu pierwszego polskiego radia. Cena słuchawek na szkolnej giełdzie wzrosła niepomiernie. Nie jest wykluczone, że niektórzy entuzjaści, posiadacze telefonów, demontowali domowe urządzenia, aby uzyskać upragnioną słuchawkę. Udało mi się też zdobyć całą telefoniczną, ale bez mikrofonu. Okazało się, że rzeczywiście można było słuchać programu pierwszego, podłączając poprzez diodę antenę i uziemiając drugi koniec przez połączenie z kranem zimnej wody. Byłem zachwycony. Postanowiłem zainstalować to komfortowe rozwiązanie na moim orzechu.

W swojej technicznej naiwności wbiłem w ziemię pod drzewem żelazny pręt i przeciągnąłem na samą górę cieniutki miedziany drucik, odwinięty z jakiejś cewki. Niestety nie było to wystarczające uziemienie i ze smutkiem stwierdziłem że „Ne funguje”.

## Wielkie wakacje

Stryj Tadeusz, nazywany później „Królem Bieszczadów”, był inspektorem bieszczadzkich parków konnych, które były w zasadzie PGR-ami do pozyskiwania drewna ze stoków zalesionych wzniesień. Wiedza stryja na temat koni, będących podstawową siłą służącą do wydobywania ściętych drzew z leśnych ostępów, niezwykła wprost charyzma i szczere, bezinteresowne zaangażowanie dawały mu prawo do bezspornego zasługiwania na to miano. Umożliwiało nam to uzyskanie taniego noclegu w barakach mieszkalnych na terenie któregoś z parków.



*Stryj Tadeusz w nieodłącznym mundurze leśnika, który mama nazywała kpiąco „pancerz”. Występował w nim we wszystkich sytuacjach oficjalnych.*

Już wcześniej byliśmy na wycieczce - wypożyczoną z ojca biura Warszawą - do Baligrodu (nie ze względu na niejakiego Waltera).



*Tu właśnie Świerczewski dostał kulę w wątrobę.*

Krajobraz był niezwykle! Po mazowieckiej równinie porośnięte stojącymi jak strażnicy jałowcami żółte, łagodne stoki wzgórz robiły nadzwyczajne wrażenie.

Dlatego na wieść, że na wakacje jedziemy w Bieszczady, byłem uszczęśliwiony. Nawet uciążliwa podróż do Jasła nie była w stanie zaćmić radości. Obyło się tym razem bez przesłuchań i plujących awanturników. Wręcz przeciwnie – skazany przydziałem miejsc na sąsiedztwo z jakąś Agatą, poczułem pojawiającą się obecność hormonów, które u Agaty były w pełnym rozkwicie. Czasem wydaje mi się, że marzę o niej do dzisiaj, ale to tylko wyidealizowane widmo miękkiej, ciepłej kobiecości.

Ruszyliśmy w dalszą szutrową drogę autobusem marki SAN wyposażonym w kierowcę i konduktora. Kierowca miał kręcić kierownicą, a konduktor stał w otwartych tylnych drzwiach i w momencie gdy silnik na podjeździe tracił parę, konduktor wyskakiwał i podkładał pod koła kamienie, żeby nie stracić już osiągniętej wysokości. Wtedy silnik łapał drugi oddech i jechaliśmy dalej. W Żmigrodzie odebrały nas konie i już bez podkładania kamieni dojechaliśmy na miejsce. Wszystko co nowe jest dla dzieciaka piękne, a tu było po prostu wszystko!

Ciocia Nuna – esencja szczerzej serdeczności, stryj, dostoyny, wysoki, w zielonym mundurze i oficerkach (mama nazywała ten mundur „pancerz”, gdyż niezależnie od warunków atmosferycznych był stryja zbroją), i wreszcie mój równolatek Marcin,



towarzysz nieskończonej ilości przedsięwzięć i przygód. No i KONIE, konie i ich zapach, zapach siana i wszystkich skojarzeń, po prostu niebo!

W pokoju nie było światła, ale były pękate, pachnące łąką sienniki i mały stoliczek z krzeselkiem, na którym mama smarowała nam pajdy chleba z dżemem na drugie śniadanie.

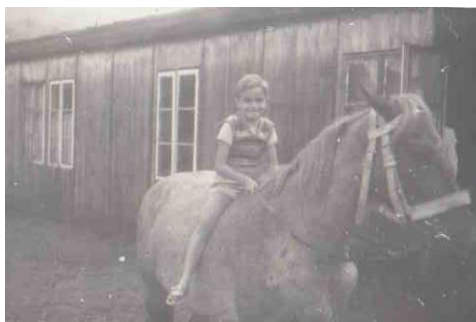
Brygadzysta Pan Wójcik rządził grupą wozaków, którzy mieli każdy po parze przypisanych koni i wyruszali z nimi na „zrywkę”, czyli ściąganie ściętych w zimie kłoców na plac składowy. W „Parku konnym” (bo tak nazywało się to gospodarstwo) był również kowal, stelmach i rymarz. W ten sposób zależność od jakichkolwiek dostaw wyrobów przemysłowych była ograniczona do minimum. We wsi znajdował się sklep, gdzie dwa razy w tygodniu dostarczano chleb, dżemy, mąkę, kaszę i trochę artykułów przemysłowych.

Płynącą obok Wisłokę poznaliśmy też bardzo szybko. Sierpniowa pogoda była piękna. Rzeka płynęła szerokim, kamienistym korytem i woda nagrzewała się błyskawicznie. Ojciec przemyślnie zaczął układać z kamieni barierę skierowaną przepustem w miejsce kąpielowe. W krótkim czasie główny strumień płynął przez łupkową płytę i tam wszyscy zażywaliśmy prawdziwego jacuzzi.



*Kryształowo czysta woda i sierpniowe słońce*

W samym „Parku” było masę interesujących miejsc. Przede wszystkim były to oczywiście KONIE. Zapach i sama ich obecność wywoływały jakieś atawistyczne uczucia. Wchodziłem bez obawy do boksów i głaskałem miękkie chrapy. Oczywiście możliwość, żeby wsiąść pierwszy raz w życiu na grzbiet, była dla nas (w sumie jednak trochę mieszcuchów) wielkim przeżyciem.



*Pełnia szczęścia*

W kuźni urzędował Cygan. Drobny, żyłasty gość ze stale przyklejonym do wargi niedopałkiem sporta. Przychodziłem do niego chętnie popatrzeć na precyzję, z jaką trafiał młotem w rozżarzony kawałek metalu. Brakowało mi jeszcze odwagi, żeby przytrzymać nogę konia przy kuciu, chociaż te wielkie, robocze konie były spokojne i flegmatyczne. Kowal czyścił kopyto specjalnym narzędziem, „przypalał” rozgrzaną podkowę i przybijał ją hufnalami do martwej części kopyta. Nie trzymałem wprawdzie nogi, ale kręciłem dmuchawą paleniska i tłukłem młotkiem koks na małe kawałki. Czułem się wtedy prawie uczniem kowala. Cygan był bardzo przyjacielski, ale krążyły opowieści, że jeżeli był naprany, to niedobrze było się do niego nawet zbliżyć. Wyłaziła z niego wtedy dzika natura. Było to tym bardziej niewskazane, że drzemała w nim potężna siła. Kiedyś, popisując się, wziął na ręce 150-kilowe kowadło i nosił je po kuźni!

W innym miejscu był warsztat stelmacha, pełen wiórów i zapachu świeżego drewna. Tutaj z kolei fascynowały mnie płynne ruchy hebla, po których pozostawała równa, gładziutka powierzchnia obrabianego kawałka drewna.

Nieopodał pracował jeszcze rymarz reperujący końską uprząż. Do „zrywki”, czyli wydobywania kłoców z porośniętych gęstym lasem bieszczadzskich stoków, konie nie używały chomąta, tylko „szorów”. Był to rodzaj ciasno przylegających szelek, które ułatwiały poruszanie się w leśnym gąszczu.

Wszyscy rzemieślnicy odnosili się do mnie bardzo przyjaźnie, jednak najlepiej czułem się u Cygana w kuźni. Przed wyjazdem wykuł na moją prośbę z resora sztylet. Stelmach dorobił do niego trzonek, a rymarz uszył pochwę. Mam go do dzisiaj, mimo że ulegał wielu modyfikacjom, zanim osiągnął ostateczną postać.



*Bieszczadzka stal, której na szczęście nigdy nie musiałem użyć zgodnie z przeznaczeniem.*

Ten nóż doczekał się licznego potomstwa, gdyż potem robiłem już sam rozmaite fantazyjne kompozycje z tego gatunku.

Nie wpadając w egzaltację, mogę powiedzieć, że chłonałem te niecodzienne warunki i żywiołową przyrodę całym sobą. Syn stryja, Marcin, był w moim wieku i spędzaliśmy razem wszystkie wolne chwile. Mimo wakacji nie wszystkie one były wolne. Musieliśmy odrabiać „pańszczyznę”, uczestnicząc w wyprawach na grzyby i leśne maliny. Z blaszanym kubkiem na pasku od spodni zbieraliśmy te maliny, aby potem mama i ciotka Nuna mogły gotować z nich sok na zimę. Z pozostałości gotowany był doskonały kisiel na deser.

Grzybów było dużo, bo przecież mało kto je zbierał. Do suszenia służyła konstrukcja z paleniskiem i kominem. Oceniając ją z dzisiejszej perspektywy, nadawała się bardziej do pieczenia niż suszenia, ale jeśli nie przesadziło się z dokładaniem drewna, można było uzyskać grzyby pieczono-suszone o specyficznym smaku. Najważniejsze, że były suche i można było je przechowywać przynajmniej do świąt.

Któregoś roku ojciec poza plecakiem miał jeszcze w drodze powrotnej do dźwigania 19 butelek soku malinowego, a mama worek suchych grzybów.

Ciotka Nuna była osobą o wielkim sercu i słabym wzroku. Miała grube szkła i mimo to zaofiarowała się gotować dla wszystkich posiłki. Aprowizacja była rzeczą skomplikowaną. Lokalna spółdzielnia dostarczała produkty podstawowe, tj. wódkę, chleb, mąkę, sól i cukier. O mięso trzeba było troszczyć się we własnym zakresie. Było nas razem przynajmniej dziewięć osób, a często była jeszcze jedna rodzina, i taka ilość gęb do wyżywienia stwarzała poważny problem. Kupowano zatem w okolicy całego cielaka lub owcę. Nie było prądu, a co dopiero mówić o lodówkach. Mięso złożone było w najchłodniejszym miejscu, tj. w piwniczce, w której przechowywano mleko. Ciotka odkrawała potrzebny na obiad kawałek i przyrządzała pyszne rzeczy. Pewnego razu na obiad były gołąbki. Jako głupi, ale wścibski dzieciak, zapytałem ciotkę, skąd dostała ryż do farszu, bo przecież w spółdzielni go pewnie nie mają. Ciotka spojrzała w moją stronę zza grubych okularów i zapytała: „Jaki ryż?”. W tym momencie ojciec zerwał się od stołu i wybiegł z baraku, a za nim podążyli inni stołownicy. Ja spokojnie dokończyłem swojego gołąbka i dopiero później dowiedziałem się, że to nie był ryż.

Korzystaliśmy z Wisłoki, której woda płynąc płaskim, kamienistym korytem, nagrzewała się w słońcu i kąpiel była fantastyczna. Niedaleko „Parku”, w miejscu, gdzie ojciec wybudował tamę, było wypłukane głębsze miejsce, w którym można było nawet popływać. Mieliśmy tam z Marcinem tratwę z desek, która mogła naraz utrzymać tylko jednego z nas, i „walki” o miejsce były świetną zabawą.



*Tym razem ja byłem na wierzchu, Jurek w gumowej zabie, a za Martą mama próbująca pływać.*

Po południu rozmiękczoną w wodzie skórę atakowały wszechobecne gzy, które stryj nazywał ślepce. Czasem rzeczywiście lepiej było nie wynurzać się z wody. Któregoś roku po paru deszczowych dniach Wisłoka zmieniła się nie do poznania. Kryształowa woda stała się mętna i brunatna. Rzeka wezbrała i prowadziła masy wody. Wzięliśmy z Marcinem dwie duże dętki od wozu i ruszyliśmy na spływ. W pewnym momencie

zauważyłem przed sobą topiel i chciałem wystraszony dobić do brzegu. Chwyciłem zwisające gałęzie i w tym samym momencie prąd wyrwał spode mnie dętkę. Jakimś cudem udało mi się zahaczyć ją jeszcze nogą i wgramolić się po puszczeniu tych zdradzieckich gałęzi. Spłynęliśmy jakieś pięć km i dumnie z dętkami na ramieniu wróciliśmy do domu. Do dziś nie mogę się nadziwić, że nocny bieg po krzyż harcerski był dla mamy zbyt niebezpieczny, natomiast pięciokilometrowy spływ wezbraną górską rzeką przeszedł bez komentarza.



*Ojciec spokojnie patrzy na wzburzoną rzekę, nie wiedząc, że niebawem nastąpi nasz spływ.*

Wakacje nie składały się jedynie ze zbijania bąków (końskich). Stryj zatroszczył się również o możliwość wykonywania przez młodzieńców sensownej pracy. Wzdłuż leśnych dróg leżały wydobyte z gąszczu i czekające na transport pnie. Wszystkie były spisane i obmierzone. Każdy z nich miał wybity stalowym stemplem leśniczego numer. Za okorowanie metra sześciennego drewna była określona cena. Dostaliśmy obydwaj korowaczki – był to jakby wąski, ostry szpadel na długim trzonku. Pnie należało oczywiście okorować ze wszystkich stron i do ich odwracania służył tzw. *kantak*. Był to hak z uchem i po włożeniu w to ucho jakiejś żerdzi można było kłoc obrócić. Zapisywaliśmy skrzętnie numery okorowanych pni. Świeżą korę jodeł było nietrudno usunąć. Gorzej, gdy była przyschnięta, i wtedy była to mordęga. Stryj pilnował, żeby robotę wykonywać starannie. Oczywiście im grubszy pień, tym więcej było płatnych metrów sześciennych. Jeden z pni miał średnicę prawie metra, a kora prawie sama oblaża, jednak miał numer. Podzieliliśmy się z Marcinem tą fuchą po połowie. W rezultacie po końcowym rozliczeniu okazało się, że mogę za te pieniądze kupić sobie pierwszy w życiu zegarek. Był to Delfin na 14 kamieniach!

W trakcie kolejnych wakacji wykonywaliśmy różne prace zarobkowe. Przecinka polegała na usuwaniu zbyt gęsto rosnących młodych drzew i chwastów w postaci wierzby iwy. Mieliśmy robocze maczety *fojisy* i w sumie była to robota przyjemna. Niestety moje delikatne rączki pokryły się w wielu miejscach pęcherzami. W krótkim czasie pęcherze pękły i zrobiło się krwawo. Owinąłem rękę szmatami i jako zawzięta zaraza walczyłem dalej. W końcu przy korowaniu grubszej iwy osłabiona ręka omsknęła się nieszczęśliwie i przeciąłem sobie prawy palec całkiem głęboko. Kolejna szmatka i dalej. Na szczęście był to prawy palec i mogłem dalej pracować moją „główną” lewą ręką. To była już druga trwała pamiątka na tym samym palcu (po pierwszej od nowego scyzoryka). Jakoś domęczyłem w końcu wraz z Marcinem wyznaczony obszar. Wynik był o wiele lepszy od korowania i mogłem po powrocie wynegocjować z ojcem dopłatę do nowego, dużego roweru. Jurek dostał

młodzieżówkę i mogliśmy odtąd jeździć w trójkę lub czwórkę na wycieczki. Byłem szalenie dumny, że potrafiłem zarobić na nowy rower.

Stryj opowiadał o zakwalifikowanym omyłkowo do dobrze płatnej przecinki obszaru 40 ha starodrzewu, gdzie można by wziąć pieniądze za nic, ale nikt z nas nawet o tym nie pomyślał.

Ostatnim zadaniem było odkrzaczanie leśnej łąki, aby nadawała się do mechanicznego koszenia i zbiórki siana.

Mieliśmy z Marcinem do dyspozycji wozaka, który koniem wrywał większe drzewo-krzaki. Ja siekierą wyrąbywałem sprężynujące nieznośnie w ziemi korzenie krzewów dzikiej róży. Marcin pracował z wozakiem i zapinał łańcuch zrywkowy u podstawy tych grubych krzaków. Łąka była już ręcznie skoszona i tylko kępy krzaczorów były dalej zarośnięte. Okolica obfitowała w żmije, które w obawie przed atakami z powietrza chroniły się właśnie w tych kępach. Ja miałem w ręku siekierę i mogłem się jakoś bronić, chociaż jedną tenisówkę, na którą nadepnął mi koń, przywiązałem jedynie sznurkami. Podziwiałem Marcina, który schylał się z tym łańcuchem w gęstwinę - bez szans na unik!!

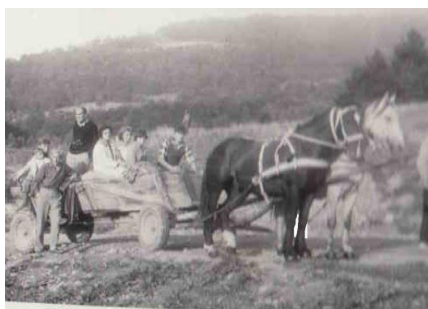
Łąka była bardzo daleko i trzeba było jechać wozem ponad godzinę. Gdyby któryś z nas „oberwał”, to nie byłoby mowy o natychmiastowej pomocy. Ostatniego dnia miałem pożyczone gumki i właśnie wtedy w gęstwinie poczułem jakby pukanie w tydkę. Okazało się, że żmija próbowała mnie ugryźć, ale odbijała się od cholewki. Na szczęście obyło się bez ofiar w ludziach, natomiast pięć żmij przypląciło kontakt z ludźmi życiem, a jedna z koniem, który na nią nadepnął.

Żmije dostarczały też innych emocji. Po siano jeździło się na odległe łąki do Zawoi. Po ukraińskiej miejscowości pozostała jedynie nazwa i urodzajne łąki. Siano ułożone w kopki ładowane było na wóz i hajda do „Parku”. Problem w tym, że żmije, podobnie jak na naszej łące, ukrywały się w tych kópkach. Świeże siano składowane było w wielkich, wysokich na 5–6 m brogach. Z wozu siano było podawane widłami do góry i zdarzało się, że wystraszona z ukrycia żmija spadała, wijąc się, w dół. Wozacy właśnie ze względu na ten opad zawsze mieli zapięte kołnierzyki i mankiety.

Zabawa na pełnym brogu w deszczowe dni była niepowtarzalna. Odurzający zapach trawy i ziół oraz całkowita swoboda były wspaniałe. Otwartą przestrzeń między dachem i stertą zatykaliśmy, zostawiając jedynie małe zamkowe okienka, i w tej atmosferze czuliśmy się u siebie. Opowiadaliśmy sobie wtedy rozmaite wyczytane i zmyślane historie.

Stryj organizował również wycieczki. Kiedyś wyruszyliśmy na całodniową wycieczkę końmi do pewnego oryginała. Wóz wymoszczony sianem i przykryty kocami był, mimo różnej drogi, dość wygodny.





*Cała czereda w drodze dokądś*

Powoził brygadzista z czerwoną od słońca twarzą. Po jakichś dwóch godzinach komuś „wytarło” się siano i woźnica poszedł do przydrożnej szopy po uzupełnienie. Był to po prostu dach na podmurówce. Wrócił po chwili dość biały. Okazało się, że gdy sięgnął po drugą przygarść siana, zobaczył tuż przed nosem uniesiony groźnie łeb żmii. Gdyby udało się jej ukąsić go w okolicę głowy, mógłby być problem z udzieleniem pomocy.

Niedługo odzyskał jednak rezon i charakterystyczny kolor twarzy. Dojechaliśmy na miejsce bez dalszych przygód. Miejscem tym było gospodarstwo niejakiego Sieraka, który mieszkał na odludziu i był z rodziną praktycznie samowystarczalny. Jak opowiadał, do cywilizacji jeździł raz albo dwa razy do roku po sól, igły itp., a poza tym wszystko miał swoje. Słodził miodem, mąkę molił w małym wiatraczku, a mięso hodował sobie sam. Poczęstował nas świeżym razowym chlebem z miodem z plastra i zsiadłym mlekiem z piwniczki. Miał też młodzieńczego konika hucutka, który był jak duża mięciutka zabawka.



*Piękny hucutek u Sieraka*

W przyszłości czasem zazdrościłem mu tego życia.

Stryj opowiadał czasem bieszczadzkie historie. Każdy z brygadzystów parków konnych był na swój sposób oryginałem.

Był np. Nosek, który był „na ty” z Jaroszewiczem.

Miał plugawą gębę i stryj mówił, że aby z nim porozmawiać, musiał go wysłać na dwór z zadaniem odmówienia kilku zdrowasiek i dopiero nadawał się do rozmowy. Otóż kiedyś premier Jaroszewicz upolował w lesie powyżej parku Noska niedźwiedzia. Ktoś ze świty zszedł na dół i poprosił o spokojne konie, żeby martwego zwierza ściągnąć z lasu. Był już wieczór, gdy cały orszak dotarł do parku. Ochroniarze świecili latarkami po ziemi i postanowiono trofeum zważyć. Na workową wagę dziesiątą był za wielki, więc ktoś wyjął drzwi i ułożono zwierza na wadze.



Nosek klęczał i dokładał odważniki, a potem wysłał kogoś do kuźni po więcej. Po chwili wyciągnął rękę za siebie i zawołał: „No dawaj!”. Nikt mu nie dał, więc już nieco zniecierpliwiony poprosił: „Nu dawaj kurwa! Czego stoisz jak chuj na weselu!”. Dalej nic nie dostał, więc obejrzał się, a za nim stał ciekawy wagi Jaroszewicz. Nikt nie protestował, więc Nosek uznał, że przeszedł z premierem formalnie na ty.

Nasz gospodarz Wójcik nie bardzo lubił lekarzy, a szpitala to już w ogóle. Weterynarzy też nie cierpiał, bo był zdania, że sam sobie ze wszystkim najlepiej potrafi poradzić. Nauczył młodą klacz kopać przednią nogą. Uprzedził weterynarza, żeby uważał, stojąc z przodu. Ten uśmieł się, bo jaki koń kopie w przód. Szybko przekonał się, że akurat ten to potrafi.

Wójcik radził sobie też z samym sobą. Zastrzał jest paskudnie bolesną rzeczą, ale nasz „pierwotniak” sam przeciął sobie palec, oczyścił kość, zabandażował i po problemie.

Innym razem po spożyciu sklepowego „lekarstwa na wszystko” potknął się i zleciał ze schodów. Rozwalił sobie kość policzkową i wyglądało to dość kiepsko. Gdy wytrzeźwiał, zapowiedział żonie, że jak go odda do szpitala, to zarąbie ją siekierą. Nikt nie miał wątpliwości, że obietnicy dotrzyma. Kiedy stracił przytomność, stryj uznał, że nie ma żartów, i używając swojego niekwestionowanego autorytetu, postanowił wezwać pogotowie. Przerażona żona powiedziała, że własną siekierę schowała, ale przecież mąż może pożyczyć drugą od stelmacha. Koniec końców Wójcik pojechał do oddalonego o 20 km powiatowego szpitala. Nie minęły dwa dni, gdy chory pojawił się w domu w szpitalnej koszuli. Na szczęście stryjowi udało się wyperswadować mu w końcu przeprowadzenie egzekucji i Wójcikowa mogła wyjść z kurnika, w którym się schowała. Przez parę tygodni wyciągał sobie jeszcze sam pozostałe odłamki kości, ale w szpitalu nie został.

Był też kierowca Bagan, o którym krążyły różne opowieści. Kiedy jeszcze woził dłużycę, przy wjeździe na przeprawę z promu wyskoczył człowieczek, włożył głowę pod koło i było po nim. Na szczęście na promie był przypadkiem prokurator, tak że kierowca nie miał z tego tytułu żadnych nieprzyjemności. Może poza jedną: musiał mianowicie ciało samobójcy zawieźć do najbliższego miasteczka i w ten sposób spędził ze swoją ofiarą, jako pasażerem, następane dwie godziny. Po przyjeździe do szpitala okazało się, że człowieczek był Żydem, który spieniężył swój interes, aby wyjechać za granicę. Tego dnia właśnie dowiedział się o definitywnej odmowie wydania paszportu. Było to powodem jego samobójstwa. Bagan dowiedział się później, że w kołnierzu jesionki jego ofiara miała zaszyte pół kilo złotych monet, które emigrant zamierzał zabrać ze sobą za granicę. Nie wiedział o tym nikt poza zmarłym i w ten sposób Bagan stracił okazję, aby stać się bogatym człowiekiem.

Oczywiście z drobniejszych przypadków był świadkiem porodu kobiety, którą w tym celu wiozł do szpitala. Mimo że bardzo się spieszył (a on potrafił bardzo się spieszyć), nie zdążył i zdrowy chłopak wypadł na siedzenie pikapa krótko przed osiągnięciem celu.

Szczególna opowieść dotyczyła przygody, której bohaterem był on sam. Kiedyś na placu składowym, na którym ciężarówki ładowane były pniami drzew, tenże Bagan

potknął się i przewrócił tak niefortunnie, że wpadł pod przednie koło, na szczęście jeszcze niezaladowanej, ciężarówce. Koło przetoczyło się w poprzek jego klatki piersiowej! Wszyscy wstrzymali oddech, tymczasem przejechany wstał, otrzepał się z igliwia i poszedł do swojej szoferki. Pytany potem, jak to się stało, że nie odniósł żadnego uszczerbku, Bagan z pełną szczerością odpowiadał: „No bo żem się tak jakosik wzdon”. Na jego szczęście plac składowy pokryty był grubą warstwą jedliny i koło wcisnęło go po prostu w ten miękki materac, ale co się „wzdon”, to się wzdon.

Wieczorami i w deszczowe dni starsi grali w brydża. Stryj i ciotka spowijali stół w obłoki dymu i gra szła ostro. Czasami miałem wrażenie, że specjalnie czekali na deszcz, żeby zasiąść do stolika.

Któregoś roku byli z nami starsi kuzynostwo, którzy mnie i Marcina zaczęli wdrażać w praktyczne arkana tej wspaniałej gry. Dotychczas w domu przyglądałem się jedynie, jak rodzice grali co sobotę w domowym składzie, a teraz wreszcie mogłem sam spróbować!

Ta pasja pozostała mi do dzisiaj i nadal staram się gimnastykować starzejący się mózg cotygodniowym treningiem.

W czasie jednej z wycieczek w przydrożnej kolibie kupiliśmy po jednym oscypku na rodzinę. Góral pokazywał, jak przygotowuje serki do wędzenia. W miękką kulę, którą wyjmował z solanki, wtykał słomki, którymi płyn w trakcie urabiania mógł swobodnie wypływać. Potem wkładał plastyczną masę w drewniane łubki i odstawiał do przeschnięcia. Po wyjęciu ustawiał je na belce pod stropem, a dym z płonącego stale na środku ogniska wędził je „na gotowo”. Stryjostwo byli z konieczności bardzo oszczędni. Stryj ze swoją lichą urzędniczą pensyjką, całkowicie niewspółmierną do roli, jaką w Bieszczadach odgrywał, musiał liczyć się z każdym groszem, jednak tym razem odżałował „do towarzystwa” ten nadliczbowy wydatek. Po powrocie posłyszeliśmy nagle krzyk ciotki. Okazało się, że nakryła Marcina, gdy rozprawił się już z większą częścią drogocennego oscypka.

Stryj miał w tym „parku” małego kumpla. Dwuletni synek kogoś z załogi ustawiał się przed siedzącym stryjem i czekał. Gdy stryj zaczynał nucić, mały podnosił brwi i śpiewał pełnym głosem do wtóru. Dostał przez to przydomek „biskup”.

We wsi był kościół, w którym na zmianę odbywały się nabożeństwa katolickie i unickie. Którejś niedzieli usadowiliśmy się z Marcinem wygodnie na chórze. Wtem przed ołtarz wystąpił nasz mały „biskup” i zaczął głośno wtórować księdzu, który z trudem próbował powstrzymać śmiech, natomiast my na tym chórze chichotaliśmy nieprzytomnie.

Kiedyś pojawił się uciekinier z miasta – pan redaktor X. Kupił krowę, a zapytany, jak zamierza przetrzymać ją przez zimę, wskazał na kopkę siana. Stryj powiedział, że musi się w zimie dobrze rozglądać, czy ten „pionier” nie będzie gdzieś przypadkiem wisiół na jakimś drzewie.

Innym okazem był mieszkaniec takiej starej, zapadniętej chaty. Matka musiała przestraszyć się niedźwiedzia, bo ten młody facet był wielki i włochaty. Był na swój sposób przystojny, bardzo proporcjonalnie zbudowany, więc może dlatego słusznie

nazywał się Kusibab. Był odpowiednio do wyglądu ponury i małomówny. Może kiedyś odkryły go żądne wrażeń turystki, ale wtedy był już pewnie za stary na igraszki.

Wydobyte z lasu drewno dzieliło się na dłużycę i papierówkę. Wąskotorowa kolejka dostarczała i jedne i drugie do zakładów w Rzepedzi. Składowany na stacjach bieszczadzkiej kolejki surowiec trzeba było załadować na wagoniki. Wykształciła się przez to profesja ładowaczy. Papierówkę ładowano ręcznie.



*Pracujący na górze musiał misternie układać metrowe klocki, aby ładunek się po drodze nie oblużował.*

Dłużycy ładowana była za pomocą linowych ręcznych wind. Każdą z nich obsługiwało dwóch ludzi, kręcąc synchronicznie korbami.

Oczywiście razem z Marcinem chcieliśmy spróbować, jednak panowie nie byli tym szczególnie zachwyceni. Bywało, że korba „odbijała” i można było przy okazji złamać rękę. O wiele bardziej niebezpieczne było zdarzające się czasem pęknięcie liny, która była w stanie rękę lub nogę po prostu obciąć. Świadomi konsekwencji wkręciliśmy się jednak do pomocy. Kręcenie korbą powodowało charakterystyczny ruch ciała i ojciec mówił: „Co, znów idziecie do tych gibaczy?”.

Któregoś roku pojawiła się ekipa filmowa z zadaniem nakręcenia filmu przyrodniczego. Było to oczywiście wydarzenie na miarę trzęsienia ziemi. Był reżyser, operator, aktorzy i pozostali członkowie zespołu. Stryj został od ręki zaangażowany do jednej ze scen jako leśnik, wuj odwiedzających Bieszczady dzieci. Wyglądał bardzo dostojnie w „pancerzu”, oficerkach, kapeluszu i z nieodłączną nabijaną ćwiekami grabową laską.

Nam z Marcinem przypadło operowanie prostokątnymi pokrytymi aluminiową folią ekranami. Zgodnie ze wskazówkami operatora „doświetlaliśmy” jakieś elementy scenarii.

Jedną z aktorek była młodziutka niedźwiedzica Diana. Po zdjęciach baraszkowaliśmy z nią w potoku, jednak ślady jej pieszczot na plecach paliły żywym ogniem.

Jednym z punktów programu była oczywiście przejażdżka bieszczadzką kolejką.



*Sapiąca i sypiąca iskrami (mimo filtru) lokomotywka pracownicy ciągnęła drewno i ekipę przez bajkowy bieszczadzki krajobraz.*

Było to wspaniałe urozmaicenie pobytu, który i tak był pełen wrażeń, a jednak było czymś wyjątkowym.

### ***To se ne vrati, czyli opowieści z dawnych czasów***

Ojciec ziemianin był w tamtych czasach osobą na indeksie. Różne przydomki, jak zapluty karzeł reakcji, krwiopijca, wyzyskiwacz i temu podobne, nie tworzyły specjalnie sprzyjającej atmosfery dla kogoś, kto został w sposób gwałtowny i bezwzględny pozbawiony tego, co było dla niego treścią życia.

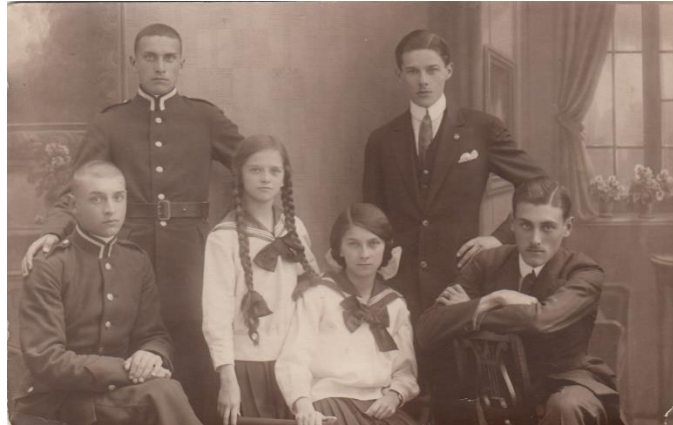
Pewnie dlatego też ojciec starał się kompensować sobie frustrację i żal, opowiadając mi, a potem nam obydwu, różne historie z przeszłości, przenosząc się wtedy myślą w tamte czasy. Były to siłą rzeczy wspomnienia pozytywne, które wywołały u mnie uczucie niesłabnącej nostalgii, przez co skłonny byłem spoglądać na to jak na raj utracony. Bezskutecznie walczyłem z potrzebą jakiejś formy rekonstrukcji. Długo, długo później mój przyjaciel w Niemczech, słuchając moich rzewnych wspomnień, starał mi się uświadomić, że ten świat już odszedł i nie powróci. Mimo to prześladowała mnie wizja posiadania jakiejś nieruchomości, a wobec niemożności jej realizacji wymyśliłem sobie wersję mini. Wyobrażałem sobie, że kiedyś ze skromnych posiadanych środków kupię na własność 100 m kwadratowych lasu, postawię na środku krzesło, usiądę na nim i powiem "Jestem u siebie".

Opowieści dotyczyły lat dzieciennych w majątku dziadka i później, po jego przejściu przez ojca, gospodarowania aż do momentu, gdy wyzwolicielska Armia Czerwona pozbawiła właścicieli ziemian ich własności i złudzeń. Nie wykluczam, że część tych historii jest w jakimś sensie subiektywna, jednak nie zamierzam tego w żadnym sensie weryfikować i przekazuję je tak, jak dotarły one do mnie wtedy.



*Stary dwór 17.. i chatka emeryta 2021; niby nic, a jednak podobieństwo?*

Ojciec miał trzech braci, przy czym najstarszy z nich, Janek, różnił się od pozostałej trójki bisurmanów łagodnym usposobieniem.



*Wyraz twarzy potomstwa dziadka na tym zdjęciu w zadziwiający sposób odzwierciedla charaktery całej szóstki.*

Niektóre z tych historii wydają się nam dzisiaj dramatyczne, jednak wtedy nie były czymś szczególnym.

Ojciec był najmłodszym z braci i zdarzało się, że dwaj pozostali mieli dziwne pomysły. Kiedyś postanowili chyba wypróbować, ile ten mały może wytrzymać, i wraz z chłopakami ze wsi zaczęli mu po prostu sypać w usta piasek. Ojciec stracił przy tej okazji przytomność. Pierwszą rzecz, jaką pamiętał, to gruby palec jakiegoś chłopca, który wygarnął mu z ust ten piasek. Ojciec już wtedy miał trudny charakter i żądza zemsty skłoniła go do egzekucji. Najpierw zaczął się na swojego starszego brata Jerzego przy dziurze w żywopłocie i zdzielił go w łeb motyką. Jerzy podobno całe życie nosił ze sobą ślad tego rewanzu. Jerzy, tylko dwa lata starszy od ojca, był mimo wszystko jego najlepszym przyjacielem. Kiedyś ojciec rzucił kamieniem w jakiegoś drogiego rasowego indyka (pewnie był agresywny – indyk, a może jednak ojciec?). Trafił go tak skutecznie, że ptaszysko padło na miejscu. Jerzy próbował go cucić wodą ze studni, żeby młodszy brat nie miał z tego powodu solidnego lania, jednak bez skutku. Trudno powiedzieć, czy rasa miała jakiś wpływ na smak pieczeni, ale ojciec tego Jerzemu nigdy nie zapomniał.

Na brata Tadeusza ten pomysłowy chłopczyk znalazł inny sposób. Gdy Tadeusz zasnął w ogrodzie, mój tatulek wgramolił się na drzewo z dużym kamieniem, który z impetem spuścił na leżącego brata. Tu obyło się bez stałych zniekształceń, jednak Tadeusz przeżył inną przygodę. W trakcie jakiejś zabawy połknął broszkę, która stanęła mu w gardle, i był o mały włos od uduszenia. Nie było oczywiście mowy o dotarciu na czas do jakiegoś lekarza i broszka została wydobyta przemocą, a w efekcie stryj Tadeusz potrafił przełknąć bez gryzienia całe jajko na twardo. Nie widziałem tego na własne oczy, ale wynikało to z opowieści ojca.

Życie trzech urwisów w całkowitej wiejskiej swobodzie zakończyło się po pójściu do szkoły. Dziadek był osobą niezwykle zdyscyplinowaną i bardzo troszczył się o wychowanie potomstwa. W trosce o kondycję synów po przeniesieniu się do szkół w Warszawie nabył metr sześcienny drewna opałowego i każdy z trzech chłopców dostał własną siekierkę, którą w piwnicy musiał to drewno rąbać.

Warszawskie mieszkanie składało się z kilku pokoi w amfiladzie. Dziadek, stosując swoje specyficzne metody wychowawcze, rozwiesił w różnych miejscach informacje,

które właściwie były czymś w rodzaju nakazu, i tak na przykład wisały karteczki z napisem: „Gaś światło!”, „Zamykaj za sobą drzwi!” albo „Nie spóźniaj się do stołu!”. Któregoś razu wszyscy zgromadzili się już w jadalnym, brakowało tylko Tadeusza. Zajmował on ostatni w rzędzie pokój, więc gdy upłynęło 10 minut, wszyscy ruszyli zobaczyć, co się stało. Zastali Tadeusza, który ze łzami w oczach kończył rąbać swoją siekierką drzwi do pokoju. Okazało się, że Tadeusz, spiesząc się na wyznaczoną godzinę obiadu, patrzył na kartkę z napisem „Zamykaj za sobą drzwi!”, te jednak były spaczzone i po każdej próbie otwierały się na nowo. Chłopiec znalazł się w kleszczach dwóch powinności, więc z rozpaczny chwycił siekierkę i zemścił się na wrednych drzwiach.

Po warszawskiej szkole ojciec ze swoim o dwa lata starszym bratem Jerzym został wysłany na dalszą naukę do korpusu kadetów w Modlinie. Jerzy był dla ojca wzorem dobroci i innych „wszechnót”. Właśnie z nim był najbliższym z całego rodzeństwa. Z czasów modlińskich, poza szeregiem zdjęć, pochodziła opowieść o niejakim Lucjanie Głodowskim, który znęcał się nad jednym z młodszych kolegów. Jerzy uprzedzał go, żeby dał z tym spokój, jednak maltretowanie trwało dalej. Pewnego razu ofiara i oprawca byli w zamkniętym pokoju, z którego dochodziły skargi młodego. Jerzy stracił cierpliwość, kopniakiem wyważył drzwi i tylko jeden raz uderzył tego Lucjana, który padł jak ścięty i odzyskał przytomność dopiero w izbie chorych.

Jerzy miał podobno słuch absolutny i potrafił powtórzyć każdą zasłyszaną melodię na otrzymanej na gwiazdkę okarynie.

Po maturze w Modlinie kontynuował zawód wojskowego w szkole lotniczej w Dęblinie. Zginął jako pilot RAF zestrzelony w czasie bombardowania Bremen.



*To zdjęcie Jerzego stało zawsze w naszych kolejnych mieszkaniach na poczesnym miejscu.*

Ojciec poszedł na studia na SGGW, które ukończył jako mgr inż. rolnik. Po pomyślnym odbyciu praktyki w majątku w łódzkim zajął się gospodarowaniem w rodzinnych Bobrownikach. Miał ambiwalentny w przeciwieństwie do braci stosunek do studenckich korporacji i nieraz podśmiewał się z „dekli” i pojedynkowych „schnittów”.

Jego opowieści zawierały migawki z codziennego życia w gospodarstwie oraz innych wydarzeń w sąsiedztwie. Bobrowniki leżały nad Pilicą, ale ziemia była licha i ojciec tylko dzięki zdyscyplinowaniu i wiedzy zdobytej na studiach zdołał jako tako wiązać koniec z końcem.



Wstawał o godzinie piątej, aby dojrzeć obrządku w stajni i oborze, a po śniadaniu (mówił o jajecznicy z 12 jaj, ale jakoś nie bardzo chce mi się w to wierzyć) oddawał się innym zajęciom. Dużo czasu spędzał na polowaniu. Wiele trofeów zręcznie preparował i wypychał.

Miał też zamiłowanie do broni, które po nim w jakimś sensie odziedziczyłem. Mówił o kawaleryjskiej szabli czy pięknym czerkieskim nożu, które w czasie powstania warszawskiego gosposia wyniosła w ruiny w obawie przed rewizją. Miał również dwa pistolety i trochę broni myśliwskiej. W małym sztucerku na sarny był wręcz zakochany.



*Ojciec na tle, widać również nóż czerkieski i rosyjski bagnet z pierwszej wojny.*

W sąsiedztwie leżała posiadłość hrabiego Niemojewskiego, z którym ojciec i bracia byli w zażyłych stosunkach. Pan Niemojewski był, podobnie jak jego ojciec Sergiusz (zamordowany przez kłusowników), entuzjastą polowania. W swoich lasach utrzymywał wielu gajowych, którzy troszczyli się o utrzymanie i zwiększanie pogłowia zwierzyny łownej.

Polowania były celebrowane i kończyły się z reguły hucznym przyjęciem. Około północy rozochoczone towarzystwo zapraszano na ganek, aby się przewietrzyć. Pod gankiem czekali już ludzie z osiodłanymi końmi. Uczestnicy w różnych stanach nieważkości wdrapywali się na siodła i ruszali galopem w pola i lasy. Ta zabawa nie była szczególnie lubiana przez właścicieli tych pól, ale cóż, pan hrabia miał taką fantazję. Podobno dostawali jakieś odszkodowania, ale to tylko moje przypuszczenie.

Któregoś razu po powrocie na dalszy ciąg biesiady na miejsce dotarł tylko koń bez mojego stryja Tadeusza. Zaniepokojony gospodarz wysłał natychmiast na poszukiwania ludzi z latarniami. W pewnym momencie któryś potknął się o leżące w poprzek drogi czyjeś nogi. Buty oficerki były z pewnością Tadeusza. Stryj ze względu na swój ponadnormatywny wzrost wystawał ponad szyję konia bardziej od pozostałych uczestników. Pech chciał, że właśnie na tej wysokości rósł dość solidny poprzeczny konar. Podstępna gałąź zdjęła jeźdźca z konia, a ten, nie bardzo wiedząc, co się stało, postanowił się chwilkę zdrzemnąć, oparł się o pień i zasnął. Na

szczęście długie nogi naprowadziły poszukujących na ślad delikwenta. Poza solidnym guzem nic poważniejszego się nie stało i ofiara mogła przyłączyć się do uczestników libacji.

Gospodarstwo żyło swoim spokojnym wiejskim życiem. W lecie pod lipą rozstawiano stolik, przy którym ojciec, czasem któryś z gości, ksiądz i nauczyciel tworzyli klasyczną czwórkę do brydża.



*Letnia partyjka*

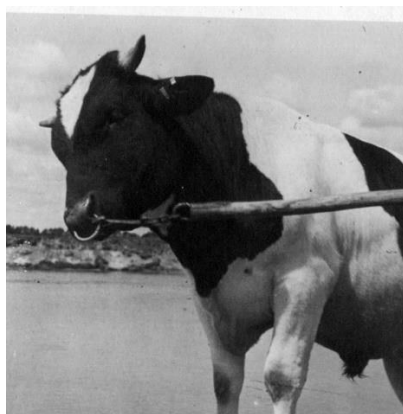
Nierzadko gościły tam również obydwie młodsze siostry.

Pewnego razu byk zerwał się z uwięzi i rycząc, biegał po podwórzu. Obydwie ciotki schroniły się przed tym groźnym zwierzęciem na dachu obory.



*Uciekinierzy*

Nikt za bardzo się nie kwapił do pojmania tego wyraźnie podnieconego wolnością bydlaka. W opowieści ojca niebezpieczeństwo zażegnał kowal, który zaskoczył zdyszanego byka od tyłu i chwycił go swoimi wielkimi łapami za miejsce, które mężczyźni znają jako bardzo bolesne. Byk w miarę zaciskania kleszczy przestał ryczeć, wyciągnął się jak struna i zamarł w bezruchu. Wtedy oborowy mógł mu bezpiecznie założyć z powrotem kółko w nosie.



*Młodszy kolega z kółkiem*

Nie wiem, czy ojciec od tego czasu czuje respekt przed bykami, ale długo, długo później znalazł się sam w podbramkowej sytuacji. Pracując jako inżynier meliorant, przemierzał łąki i nieużytki, biorąc za pomocą dwumetrowego stalowego świdra próbki gleby. Przeskakiwał niefrasobliwie kolejne ogrodzenia, gdy wtem zorientował się, że w zagrodzie, którą zamierzał przebyć, znajduje się dorodny samotny byk. To, że był sam, wskazywało na typa agresywnego, i rzeczywiście, zwierzak wydał z siebie znajomy ryk i grzebiąc wściekle przednią nogą, szykował się do szarży.

Ojciec był prawie pośrodku zagrody, także nie miał żadnych szans, żeby schronić się za ogrodzeniem. Z rozpaczy chwycił jedyną broń, jaką miał przy sobie, to jest ostry stalowy świder, wystawił go przed siebie jak kopię i rycząc ze strachu, ruszył na byka. Ten zdumiony zwolnił, opuścił sterczący ogon, zatrzymał się i spokojnym truchtem ruszył do swojego kąta. Ojciec na drżących jeszcze lekko nogach dotarł do ogrodzenia i dopiero tam odetchnął z ulgą i otarł zimny pot z czoła.

We wsi odbywały się czasem zabawy.



*Na dechach*

Któregoś roku utworzyła się paczka młodzieńców, którzy podpiszy sobie, zaczęli rozróbę. Włazili na „parkiet” i komenderowali: „A teraz zabawa na naszą komendę!”. Wrywali tańczącym ładniejsze dziewczuchy, a jeżeli ktoś protestował, mógł po prostu oberwać w nos. Zaczęło to być uciążliwe, ludzie się skarżyli, więc ojciec wybrał paru sprytnych chłopaków, którzy mieli za zadanie pojedynczo, bez zwracania uwagi, wyławiać tych rozrabiaków. Zamykano ich po kolei piwniczkę, a na drugi dzień ojciec

zwołał dziewczyny z całej wsi, otworzył piwniczkę i kazał im wyłazić. Niektórych trzeba było wyciągać siłą, a cała wieś miała z tego niezły ubaw. Burdy skończyły się jak nożem uciął.

A propos cięcia, był we wsi facet, który był bardzo "bitny". Niejeden raz różni śmiałkowie próbowali z nim zacząć i zawsze udawało mu się wyjść z tego zwycięsko. Kiedyś chłopci zebrali się we czterech i stłukli go do nieprzytomności. Gdy omawiając zwycięstwo, stali i palili papierosy, ofiara ocknęła się, dopadła ich i dołożyła wszystkim czterem. Społeczność wiejska nie dała za wygraną i wreszcie stłukli go luśniami i kłonicami, tym razem prawdopodobnie na śmierć. Ojciec miał nocnego stróża, którego sam nazywał zbójem. Tenże zwykłym kozikiem poderżnął ubitemu gardło, mówiąc z uśmiechem: „Tero to un jus nie wstonie”.



*Odwiedziny lotnika Jerzego w majątku były zawsze sensacją.*

Ukochany pies ojca, Nero, towarzyszył mu krok w krok.

Kiedyś miał kontakt z wilkiem, który był już w ostatniej fazie wścieklizny. Wilk został złapany i zabity, a badanie weterynaryjne potwierdziło wściekliznę. Zgodnie z ówczesnymi przepisami również Nero powinien być zabity. Niebawem pojawiło się dwóch policjantów, którzy mieli dokonać egzekucji. Pies był już w tym czasie odizolowany w specjalnie na ten cel zrobionej drewnianej klatce. Policjanci mimo to nalegali na spełnienie swojego urzędowego obowiązku, a jeden z nich zaczął nawet odpinać kaburę. Wtedy ojciec wyciągnął swój pistolet i zagroził, że każdy, kto spróbuje zabić jego psa, również może stracić życie. Policjanci trochę się odgrażali, ale w końcu wynieśli się jak niepyszni, a Nero po odbyciu przepisowej kwarantanny okazał się zdrow jak ryba.

Ojciec pielęgnował go do ostatniej chwili, robiąc mu okłady na reumatyzm, i obiecał sobie, że po nim już nigdy psa miał nie będzie. Rzeczywiście mimo wielu możliwości i naszych prośb nigdy nie mieliśmy swojego psa.



*Przyjaciele*

Sielanka skończyła się z wybuchem wojny. Fala uchodźców przemieszczających się z zachodu na wschód porwała ze sobą również ojca. Ruszył swoim samochodem zatłoczonymi drogami w towarzystwie zaufanego gajowego (nie Maruchy).

Gdzieś w lubelskim na jednym z postojów w gościnnym majątku ojciec był jednym z nielicznych mężczyzn. W tym czasie rozeszła się wieść o ataku ZSRR na Polskę od wschodu. Uciekinierzy poczuli się jak w potrzasku. Niejedną noc ojciec spędził w okolicznym parku, gdyż co chwila ktoś pukał do drzwi jego pokoju z prośbą, aby pomógł zakopać kosztowności. Być może część z nich leży tam do dzisiaj, ale nigdy nawet nie rozmawialiśmy o tym, gdzie to było.

W obliczu zagrożenia przez Armię Czerwoną obydwaj panowie wsiedli do samochodu i ruszyli w drogę powrotną. Niebawem napotkali ślady wojny i w pewnym momencie, dojeżdżając do jakiegoś dworca kolejowego, zobaczyli po prawej stronie ogrodzenie z drutu kolczastego, za którym było już sporo ludzi. Nadzorowało ich kilku niemieckich żandarmów, a na drodze był punkt kontrolny.

Gajowy zrobił się zielony ze strachu, zwłaszcza że mieli przy sobie ojca pistolet. Tutaj, podobnie jak w przygodzie z bykiem, ojciec postanowił użyć pewnego rodzaju bezczelności. Zatrzymał samochód i ruszył wolnym krokiem w kierunku stacji kolejowej. W młodości uczył się niemieckiego i potrafił posługiwać się nim całkiem nieźle. Wkroczył więc energicznym krokiem do pomieszczenia z napisem „Komendantura”, odsunął na bok wartownika, który próbował zagrozić mu drogę, i wszedł do pokoju, w którym za biurkiem siedział niemiecki oficer. Ojciec przywitał się grzecznie i zwrócił się do Niemca z lekkim wyrzutem, że zabrakło mu benzyny, a tutaj nie ma nawet gdzie zatankować. Czy tak będą wyglądać teraz niemieckie porządki?! Oficer uśmiechnął się i powiedział, że bardzo mu przykro i że da się temu jakoś zaradzić. Wezwał wartownika i polecił mu pokazać ojcu, gdzie może zaopatrzyć się w paliwo. Ojciec grzecznie podziękował, zielonemu gajowemu powiedział, żeby się nie przejmował i siedział cicho, podjechał pod cysternę i z pełnym bakiem ruszył do punktu kontrolnego. Pot spływał mu lekko po karku, ale podjechał, prawie nie zwalnając, do szlabanu. Stojący tam żandarmi, którzy widzieli całą operację na dworcu kolejowym, bardzo szybko podnieśli belkę i salutując, przepuścili pozornego „vipa”. Po półgodzinie gajowy nabrał kolorów i powiedział jedynie: „Ale pan dziedzic to jest!”.

Okupacja przebiegała na wsi znacznie mniej drastycznie niż w miastach.

Świnie bito potajemnie, bo niemeldowany ubój obłożony był drakońskimi karami. Niestety okazało się, że we wsi jest jakiś kapuś, i parę razy tylko cudem udało się usunąć ślady świńskiego mordu. Ojciec postanowił zrobić z tym porządek. Pojechał do Kreislandwirta i uzyskał formalne pozwolenie na ubój jednej świni. Operacja przeprowadzona była jak zwykle w najgłębszej tajemnicy i rzeczywiście następnego dnia pojawiła się żandarmeria. Ucieszeni Niemcy odkryli wreszcie ślady przestępstwa i dopiero gdy zamierzali przystąpić do aresztowania, ojciec pokazał im dokument upoważnienia. Żandarmi podziękowali, przeprosili i poszli bezpośrednio do jednej chałupy we wsi. Konfident zebrał solidny wycisk i od tego czasu zapanował spokój.

Nie zawsze jednak sprawy kończyły się bezkrwawo. Uciekający przed Niemcami Żyd zakopał się w sianie w stodole. Niemcy nie bardzo kwapili się do wejścia, bo nie wiedzieli, czy przypadkiem nie jest uzbrojony. Nagle spośród gapiów wyskoczył ochotnik. Schwycił widły i zaczął dźgać nimi w siano, mrużąc: „Już ja cię \*\*\*\*\* znajdę”. I rzeczywiście, wymacał nieszczęśnika. Niemcy zabrali go ze sobą, a paru gapiów rozeszło się spokojnie do domów. Przedstawienie skończone.

Noce rzadko bywały spokojne i należało być bardzo czujnym, gdy ktoś pukał do okna. Były trzy rodzaje nocnych gości: albo partyzanci, albo zwykli bandyci, albo też niemieccy prowokatorzy. Trzeba było mieć rzeczywiście niesłychane wyczucie, ale i szczęście, żeby właściwie rozróżnić nocnych gości w ciemnościach.

Pomału zbliżał się front i słychać było coraz wyraźniej dudnienie artylerii. Coraz więcej złachanych jednostek niemieckich szło na zachód. Pewnego dnia na drodze pojawił się pędzący galopem niemiecki tabor. Zaraz za nim jechały sowieckie czołgi, które jakby dla zabawy wjeżdżały od tyłu na wozy, miażdżąc ludzi i konie. Szpica czołgistów pojechała dalej, a na pobojowisku pozostały zmasakrowane resztki taboru. Ludzie ze wsi wylegli, żeby zabrać coś przydatnego, a niektóre baby posuwały się do tego, że nożem odcinały przymarznięte do ciał zabitych koszule. Pluton czołgów zatrzymał się w majątku i załogi zachowywały się w miarę przyzwoicie, pytając jedynie o zegarki, a przy stole wygarniali masło z maselniczek rękami. Trwało to krótko, bo wkrótce pociągnęli dalej i pojawiły się tabory. Tym razem spotkanie wyglądało zupełnie inaczej. Sześciu czerwonoarmistów przetrzepało zabudowania bardzo skrupulatnie. Wywrócili wszystko do góry nogami, zabrali to, co wydawało im się wartościowe, i powrócili z łupem do wozów. Na odchodnym bagnietami poprzecinali wiszące w stodole woreczki z wyhodowanymi wieloma odmianami traw. Zsypali wszystko na jedną kupę i posadzili swoje kupy na czubku.

Krótko po tym przyszedł jakiś sowiecki porucznik i spojrzawszy na chaos, który pozostawili po sobie rabusie, zapytał, czy coś się tu stało. Ojciec odpowiedział spokojnie, że to ich wojsko tu było. Porucznik uniósł się honorem i zawołał: „W zębach to tu z powrotem przyniosą! Którzy to byli?”. Ojciec ostrożnie powiedział, że trudno no i koniec, ale porucznik nie dawał za wygraną. Tutaj włączył się tym razem nasz rumiany gajowy, który powiedział: „Ja pokażę”.



Ojciec widział potem przez okno, jak porucznik, wymachując pistoletem, podszedł do tej szóstki, która widocznie zajęta była podziałem łupu. Wkrótce pistolet zniknął w kaburze, natomiast z wozu wyłoniła się butelka, która okrążyła całą siódmkę ze dwa razy, i oficer oddalił się dyskretnie, a szóstka ruszyła w kierunku dworu. Wyciągnęli ojca, klnąc i szturchając, postawili pod ścianą stodoły i brali się już za pepesze. Wtedy z dworu wybiegła służąca i lżąc bandziorów, zasłoniła sobą ojca. Zdezorientowało to oprawców, a gdy od wsi pojawiła się grupa chłopów z widłami i siekierami, wycofali się i wmieszali w tłum przy taborach.

Było dość poważnie, ale na szczęście skończyło się na strachu.

Ojcu nie pozostało nic innego jak pozostać w majątku, zwłaszcza że dziadek był już umierający. Niestety nie było mu sądzone umrzeć przed reformą rolną i musiał patrzeć na parcelację rodzinnego majątku. Chodziły pogłoski, że UB zaczęło wyłapywać dziedziców. Ojciec przygotował sobie na tę okoliczność pod wysoką skarpą Pilicy kajak z ubraniem i jakimiś konserwami. Rzeczywiście wkrótce pojawił się patrol. Ojciec wymknął się tylnym wyjściem i pobiegł przez sad nad Pilicę. Wskoczył do kajaka, lecz w tym samym momencie ujrzał na wysokim brzegu żołnierza, który mierzył do niego z pepeszy.

No i, jak to się mówi dzisiaj, stary poszedł siedzieć. Fibrowa walizeczka, w której miał jakąś zmianę bielizny i przybory toaletowe, służyła mu za poduszkę. W celi było ich kilkunastu, a wśród nich chłop z jakiejś wsi o nazwisku Dziańot. Miał facet pecha, gdyż nazywał się tak jak administrator majątku, który kolaborował z Niemcami. Nieszczęśnik przy każdej wizycie wartownika błagalnym głosem wołał: „Panie, ja nie tyn Dziańot!”, ale niewiele to skutkowało. Gdy ojciec wychodził, to ten biedak jeszcze siedział, a władze dalej sprawdzały, czy to „tyn”.

W celi stało wiadro o przeznaczeniu ściekowym, natomiast potrzeby fekalne zaspokajane były raz dziennie na komendę wartownika: „Pirsych piunciu do sroca”.

Nie było za bardzo o czym rozmawiać, a poza tym mogli być między nimi jacyś podsłuchiwalcy, więc większość pensjonariuszy siedziała, tępo patrząc w przeciwległą ścianę. Po pewnym czasie wykształciła się pewna forma rozrywki. Łapano wszechobecne wszy i rzucano je na trzymane nad świecą denko od pasty do butów. Ta procedura powodowała za każdym razem malutki dymek i wygrywał ten, którego był największy (oczywiście dymek).

Na tym kończą się opowieści z dawnych czasów. Proszę traktować je z należytyym sceptycyzmem, a czasem z przymrużeniem oka, jednak stanowią one mimo wszystko jakieś świadectwo tamtych zdarzeń.

## *Hormony atakują*

Z grzecznego chłopca ze spinką we włosach, której nienawidziłem, i w zrobionej przez mamę na drutach pilotce, w której wyglądałem jak baba, zaczął wykluwać się nastolatek.



*Ta przekłeta spinka kosztowała mnie masę zdrowia.*

Na imię miała, jak pisałem, Agata.

Podróżowaliśmy jak zawsze zatłoczonym nocnym pociągiem na południe. Siedziałam obok sporo starszej ode mnie dziewczyny. Wszyscy drzemali, zmęczeni walką o miejsca. Mnie spać się nie chciało, a na dokładkę poczułem jakieś dziwne, nieznane dotąd uczucie. Narastało stopniowo, ciepło i przyjemnie. Dzisiaj powiedzielibyście pewnie, że to gęstniejący strumień feromonów. Znałem wtedy jedynie termon u babci w pokoju i o żadnych feromonach nie miałem pojęcia. Przysuwać się do siebie nie było potrzeby, bo i tak byliśmy ściśnięci jak śledzie w beczce, ale zwykły kontakt z sąsiadem w pociągu przestał być mi nagle obojętny. Zapragnąłem tego dotyku. Przestałem słyszeć sapanie i pomruki innych pasażerów. Spytała, jak się nazywam, i dowiedziałem się, że ma na imię Agata. Zaczęliśmy szeptać rozmawiać i przytuliłem się do niej z wzajemnością. Trzymaliśmy się za ręce i szeptaliśmy, aż zmorzył nas sen. Rano pożegnaliśmy się jak gdyby nigdy nic, jednak doznanie czułości wiązało się dla mnie odtąd z imieniem Agata.

Ojciec podpuszczał mnie, wyciągając zeznania, które dziewczynki z mojej klasy są najładniejsze, żeby potem się podśmiewać. Nasza prymuska Marysia była najczęstszym obiektem jego indagacji. Kiedyś w maju zaprosiłem córkę naszego dostawcy pomidorów i mistrza rękawiczek, Magdę, na wycieczkę do lasu na konwalie. Pojechaliśmy na rowerach i swoje uzbierane konwalie dałem jej w prezencie. Oczywiście opowiedziałem o tym w domu i od tego czasu ojczulek zadreślał mnie głupimi pytaniami: „No, jak tam Madzia?” itp. Nie miałbym nawet co odpowiadać, bo na konwaliach się skończyło.

Nauczony na wakacjach w Kijanach, mogłem już nieśmiało tańczyć na imieninowej imprezie dyrektora. Nie zawsze miałem odwagę poprosić którąś z koleżanek, ale czasem się udawało.

Piotrek bardziej interesował się zajęciami w Pałacu Młodzieży i budował swoje prawdziwe radio. Jeździliśmy tam razem. Można było dostać nieodpłatnie diody, oporniki i kondensatory, ale jakoś nie pociągało mnie to specjalnie i moje radio skończyło się na samej winidurowej obudowie, którą na dokładkę przypaliłem żelazkiem, rozgrzewając przy zginaniu.

W siódmej klasie przyszła do naszej klasy Maryla. Może była trochę starsza, a może po prostu „przyspieszona”. Kręciłem się trochę koło niej i w czasie wycieczki do kina w Pruszkowie zadbałem o to, żeby usiąść obok niej. Filmu nie pamiętam, gdyż pochłonięty byłem cudem wyczuwalnych przez materiał fartuszka późno

dziewczęcych piersi Maryli. Głaskałem jej ramię, czując jednocześnie miękkość czegoś podniecającego. Maryla, zajęta filmem, nie zwracała na to specjalnie uwagi, a mnie było po wszystkim po prostu głupio.

Innym razem umówiłem się, tym razem z Grażyną, na wspólne odrabianie lekcji u niej w domu. Wtedy zaczynałem mieć już wyobrażenia, ale nie miałem śmiałości.

Na ścianie jej pokoju wisiał obrazek, na którym pośród szarego tłumu głów była jedna kolorowa ziewającego mężczyzny. Grażyna powiedziała, że obraz ten jest tak sugestywny, że trudno jest patrząc nań, opanować ziewanie. Rzeczywiście, wrażenie było niesamowite. Wielu tematów do rozmowy nie udało się nam znaleźć, więc ziewnąłem kilka razy i wróciłem do domu.

W bieszczadzkich klimatach, jadąc kiedyś bryczką, przysłuchiwałem się, jak Tomek, starszy brat Marcina, bałamucił śliczną córkę nadleśniczego, podśpiewując jej studencką piosenkę o dziurkach. Leśniczanka nie zdawała się specjalnie zakłopotana, a ja oczywiście nie miałem pojęcia, o co chodzi.

Patrząc teraz z dystansu na te chwile, nie mogę powstrzymać się przed zacytowaniem fragmentu piosenki Zenona Laskowika:

*„Z pokoiku wyszedł Zdzisio  
Gdzie do Lidki się sposobił  
I do Stasia mówi cicho:  
"Stachu...! Stachu...!  
"Co?!"  
"Jak to się robi..."*

Na tym kończy się pierwsza część mojej galerii obrazków z dzieciństwa. Jeśli uda mi się opanować *mañanę*, która jest moją boginką prokrastynacji, to być może będę kontynuował liceum, studia, a nawet wyczyny zawodowe.

Wielokrotnie powtarzałem, że napiszę kiedyś książkę pod tytułem „Jak udało mi się rozliczyć budowę cementowni Nowiny II”, ale to były tylko czcze przechwałki.

Teraz widzę to troszkę inaczej, ale przez wzgląd na *mañanę* muszę być z obietnicami dość ostrożny.